

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



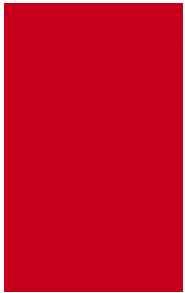
FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

- Pomruki Tuska i Hołowni to spektakl
- Nowa gwiazda niemieckich populistów
- o. Dostatni: Robimy z Boga współnika z biznesu
- Rothko wydziera flaki



WYSOKIE
OBCASY

Paulina Bownik
Superbohaterka
na granicy

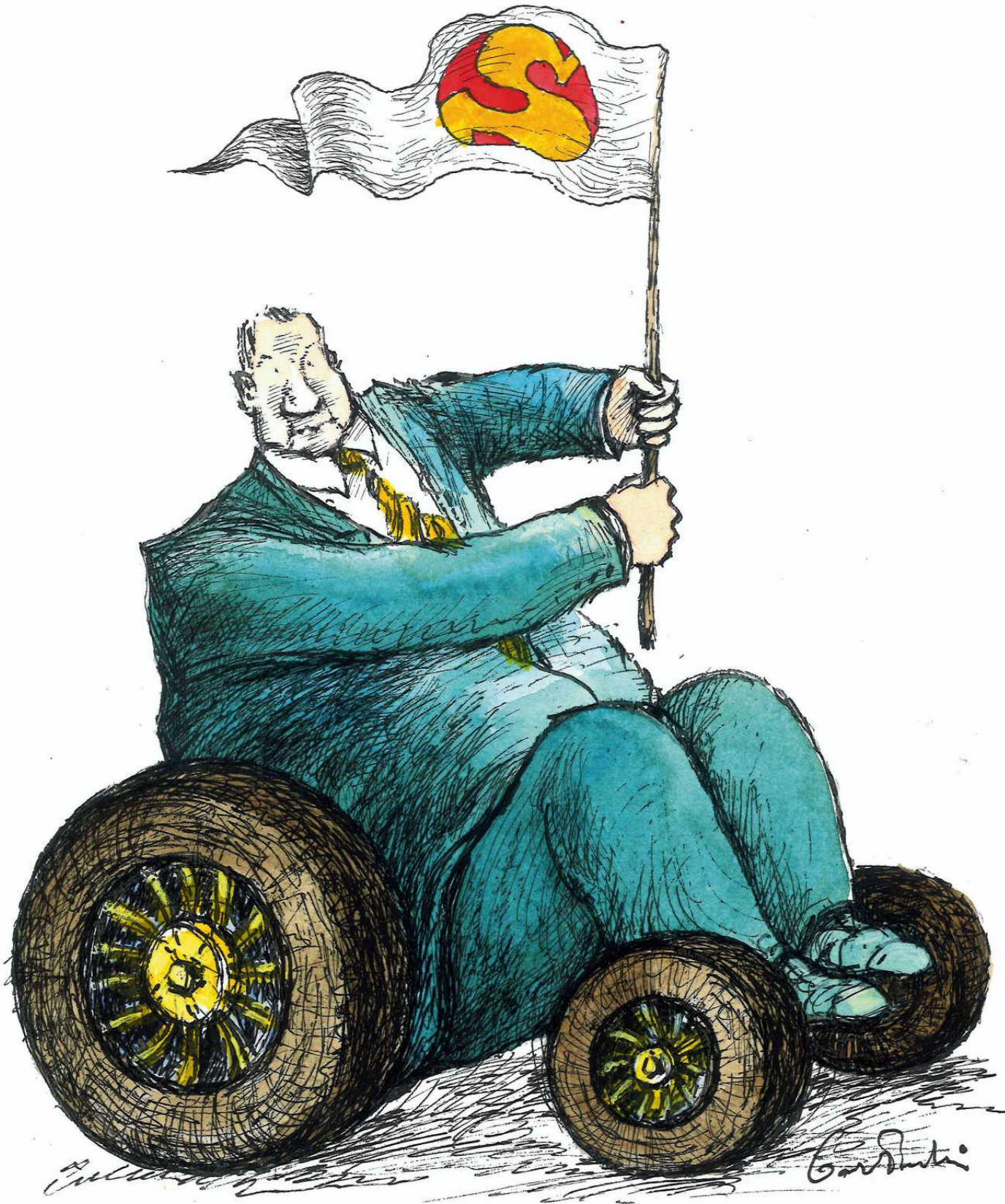


GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Polska samorządowa

Burmistrz po 15 latach rządów sam napisał hymn na swoją cześć

RYŚ: JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Psychuszki dla wrogów ludu
Nieprawomyślnych zamykał w nich i car, i pierwszy sekretarz



Dlaczego liczymy kalorie
Wielu uwierzyło, że mięso może zastąpić cukier

Ktoś tonie
A ty stoisz w tłumie. Od czego zależy, czy pomożesz? ► 30

Agnieszka
KublikKomisje śledcze bez
rasowych śledczych

A wielu przed tym przestrzegano. By nie biec za szybko. Brak pośpiechu u śledczego to nie wada. Czekanie na zamówione roztropnie dokumenty, ślęczenie na nimi to istota śledztwa. Ale tak, w ogóle nie widowiskowa.

Komisje śledcze – kopertowa, wizowa i pegasusowa – pracują ciężko. Ale za dużo w tym szarpaniny, złośliwości, uszczypliwości, pretensji, oskarżeń. I niestety chamstwa. Śledczy i świadkowie prześcigają się żenadzie. Chamstwo nie wymaga żadnych umiejętności, więc każdy może w to grać.

Komisja Rywina prowadzona przez Tomasza Nałęcza powinna być dla dzisiejszych sejmowych śledczych przedmiotem pogłębionych studiów. Jak przy dziesiątkach kamer unikać mizdrzenia się do widzów. I jak formułować pytanie, by zeznał coś istotnego.

Dziś śledzenie obrad boli. Nieudolność posłów w zadawaniu celnych pytań poraża. W większości wygłaszają niezborne komentarze, ciągle oceniają świadków, upokarzają. Nikt nikomu nie pozwala dokończyć myśli. Tak, często świadkowie zeznają tak, że to nie trzyma się kupy (to cytat z Jana Rokity z rywinowskiej), ale żeby do nich bez przerwy werbalnie strzelać?

Komisja kopertowa. Tu dzieje się najgorzej. Jej szef Dariusz Joński pozwolił na bezustanne zaczepki świadków, zaczepki po-

i

**Komisje pracują ciężko.
Ale za dużo w tym
szarpaniny, oskarżeń.
I ordynarnego chamstwa**

wstyd panu, że pan kłamał?

Przemysław Czarnek do Jońskiego: To nie jest pytanie, to jest chamska sugestia.

Joński do Sobonia: Z panem wytrzymał mi kilka godzin i niech mi pan wierzy to nie było dla nas wszystkich zdrowe.

Soboń do Jońskiego: Proszę nie zgrywać prokuratora.

Soboń do Magdaleny Filiks: Mam wrażenie, że pani sobie sama zabiera czas.

Filiks: Pana wrażenia mnie w ogóle nie interesują. Mnie interesują odpowiedzi na pytania.

Soboń: Istotnie to nie jest moje zmartwienie.

Anita Kucharka Dziedzic do Sobonia: Halo, tu ziemia. Sam pan powiedział, że „nie jest pan głupi”.

Soboń do Filiks: Pani kłamie w żywe oczy.

Filiks: Niech się pan hamuje.

I tak na okrągło.

A przecież mimo tych zenujących przepychanek komisje coś już odkryły. Na przykład kopertowa złapała na kłamstwie prokurator Dudzińską – to ona błyskawicznie umorzyła śledztwo w sprawie zagrożenia wyborami kopertowymi. Komisja odnalaźła dokument, z którego wynika, że wybory miały kosztować Poczcie Polską 88 mln zł a nie 70. No i złapała Sobonia na mijaniu się z prawdą.

Komisja wizowa odtwarza procedurę zamawiania w MSZ wiz. A pegasusowa wydusiła z Jarosława Kaczyńskiego przyznanie, że w 2017 r. miał „dostęp do wiedzy”, co robia służby specjalne, że chcą kupić Pegasus, ale brakuje im pieniędzy. Choć jako szeregowy poseł nie miał prawa do takiej wiedzy.

Ale i w tym przypadku naszą uwagę od istotnego odkrycia odciągnęły impertynencje i chamskie popisy. Trudno się dziwić, że Kaczyński zwracając się do posłów per „członek” lub „pan członek” jest atrakcyjniejszy niż pozornie blahe naruszenia administracyjne czy kompetencyjne, których kluczowe znaczenie trzeba dopiero wyjaśnić i zrozumieć.

Wytrawni śledczy umieliby pociągnąć za te nitki, nie pozwoliliby odciągać uwagi widzów od najważniejszych tropów. ●

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Kiedy umieram

Co się dzieje z kimś, kto czuje, że umiera? Bo ja kilka miesięcy temu miałem zawał, i wtedy właśnie czułem, że umieram.

Tomasz Kwaśniewski rozmawia z Marią Jędrzejewską, psycholożką, psychoterapeutką, psychotraumatolożką.

Wiosna
Pustynia zakwitła

FOT. REUTERS/DAVID SWANSON

Żółte pustynne słoneczniki wabią stęsknionych za wiosną do Anza-Borrego Desert State Park w Kalifornii. U nas jeszcze nie czas na słoneczniki, ale na wiosnę tak. Potrwa do lata, do 20 czerwca.

Kod dostępu
do Wyborcza.plSeks
na olimpiadzie

300

TYSIĘCY

• **prezerwatyw przygotowanych dla mieszkańców wioski olimpijskiej w Paryżu.** Igrzyska odbędą się między 26 lipca a 11 sierpnia, a paraolimpijskie będą trwały od 28 sierpnia do 8 września.

Tajemnice Hollywoodu
Nowe ciało agenta 007

Nie Tom Hardy, nie Henry Cavill. Faworytem do roli Jamesa Bonda jest teraz Aaron Taylor-Johnson, 33-latek, który złamał serce Annie Kareninie. Jak podają brytyjskie źródła, aktor miał już dostać oficjalną propozycję wcielenia się w agenta w służbie Jej Królewskiej Mości.

Ten, kto przejmie po Craigu rolę Bonda, przejdzie do historii kina, ale zostanie agentem 007 do końca życia. Wiele kosztuje odejście od Bonda. Wie o tym Craig, który ostatnio wystąpił w dwóch częściach kryminałów „Na noże” jako pozornie niegramotny, queerowy detektyw. Wiedział też Roger Moore, któremu nigdy z wizerunkiem Bonda zerwać się nie udało.

Taylor-Johnson zaczął jako 13-latek dużą rolę w komedii przygodowej „Rycerze z Szanghaju”. Grał spryciarza, który okazuje się młodym Charliem Chaplinem. Przełomowa była rola w dwóch częściach komedii „Kick Ass” – o nastolatku, który postanawia zostać super-



FOT. JADAMS/BE&W

bohaterem, choć nie ma nadprzyrodzonych mocy. Dwa lata później był już hrabią Wrońskim, oficerem, który zawrócił w głowie Annie Kareninie o twarzy Keiry Knightley.

Chwilę później dołączył do grona gwiazd zasilających szeregi superbohaterów Marvela. Jako Pietro Maximoff wystąpił m.in. w filmach „Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz” i „Avengers: Czas Ultrona”. Po drodze zagrał w nowej „Godzilli”.

Ale Złoty Glob dla najlepszego aktora drugoplanowego dostał za rolę paskudnego czarnego charakteru: gwałciciela i mordercy w filmie „Zwierzęta nocy” Toma Forda. Udo- wodnił nią, że interesuje go poważne aktorstwo. ●

Marta Górna

Andrzej rysuje



Chiny wykorzystują Rosję do testowania Zachodu

Putin ma z tego mniej, niż by chciał

Zachód nie powinien powstrzymywać Moskwy przed zbliżeniem z Pekinem, tylko budować, jak pół wieku temu, specjalne relacje z Chinami, myśląc o zwycięstwie w nowej zimnej wojnie z Rosją.

W
n
o
z
i
e
m
c
e
w

Chiny w stosunkach z Rosją zachowywały zawsze pewien dystans, mimo zapewnień o strategicznym partnerstwie. Niemal natychmiast po dojściu Władimira Putina do władzy Rosja zaczęła zabiegać o sojusz z Chinami, a pod koniec pierwszej dekady XXI w. mówić o „wektorze wschodnim”. „Zwrot na Wschód” wydaje się nieco śmieszny, bo udając się z równoleżnika Moskwy na wschód, trafimy do kanadyjskiego Edmontona, brytyjskiego Newcastle, duńskiej Kopenhagi i litewskiego Wilna, a nie Pekinu czy Szanghaju – ale chodziło o „odwrócenie się tyłem” do kolektywnego Zachodu.

W uzasadnieniu tego podejścia pojawiły się nuty ideologiczne – w 2014 r. pisałem, że Putin widzi się w roli Aleksandra Newskiego, który uznał potęgę Ordy, ale walczył z katolicką Europą. Dziś już Kreml powołuje się na tę ideologię bez ogródek. Jednak nie doszło do oczywistej tak szybkiego uzależnienia, gdyby nie wojna z Ukrainą.

Przykra niespodzianka

W 2019 r. na Chiny przypadło zaledwie 16,5 proc. rosyjskiego handlu zagranicznego, niecałe 3 proc. inwestycji i 5,5 proc. ruchu turystycznego. W odróżnieniu od UE, z którą handel sięgał 47 proc., skąd napływało ponad 65 proc. bezpośrednich inwestycji zagranicznych w rosyjskiej gospodarce i gdzie ponad 4 mln Rosjan miało prawo stałego pobytu i nieruchomości, Chiny nie uchodziły za wzór do naśladowania, ani „plan B”.

Przez ledwie pięć lat sytuacja zmieniła się radykalnie – przede wszystkim ekonomicznie, ale nie tylko.

W 2023 r. Chiny, z 33,8 proc. obrotów w handlu zagranicznym, umocniły pozycję największego handlowego partnera Rosji. Stały się też niemal wyłącznym partnerem Moskwy w sektorze finansowym – juan jest jedyną walutą, którą władze rosyjskie zasilają fundusz rezerw, a obroty nią na moskiewskim parkiecie przewyższają obroty dolarowe i euro. W zeszłym roku jego udział wzrósł do 42 proc., z 1 proc. w styczniu 2022 r.

Chiny zyskały pozycję monopolisty na kluczowych rynkach rosyjskich – w zeszłym roku odpowiadały za 77 proc. importu rosyjskich samochodów i 61 proc. sprzedaży nowych aut na rynku rosyjskim, a w przypadku smartfonów odpowiednie dane wyniosły 79 i 75 proc. Chiny wsparły Gazprom, który wskutek wojny z Ukrainą stracił europejski rynek, zwiększając import rosyjskiego gazu z 10,4 mld m³ w 2021 r. do 22,7 mld w 2023 r. i zachowując pozycję lidera zakupów rosyjskiej ropy (107 mln ton w zeszłym roku). Jednocześnie Pekin nie spieszy się inwestować w Rosji, oferować kredytów rządowi i firmom, ani lokować tam znacznego potencjału produkcyjnego. Patrząc trzeba na to w kontekście chińskich inwestycji w Pas i Szlak, które od 2013 r. sięgnęły biliona dolarów i pożyczek udzielonych przez Pekin krajom globalnego Południa przekraczających już 1,2 bln dolarów.

Najogólniej mówiąc, rozwój stosunków rosyjsko-chińskich od wybuchu wojny z Ukrainą jest dla Putina przy-



• Każde spotkanie Putina z Xi kończy się rozczarowaniem

krą niespodzianką. Nie przypadkiem na kilka tygodni przed inwazją odwiedził on Pekin.

Chiny formalnie nie potępiły rosyjskiej agresji i ponawiają rytualne apele do wszystkich stron o pokój, jednak od pierwszych dni wojny stało się jasne, że nie kwapią się zostać finansowym dobroczyńcą Rosji, nie pomogą jej w omijaniu sankcji i nie zajmą się objętym sankcjami mieniem (np. samolotami) ani firmami (np. rosyjskimi bankami). Co więcej, Pekin nie reaguje entuzjastycznie na ponawiane propozycje Moskwy budowy nowych gazociągów, które pozwoliłyby „wznowić” eksport rosyjskiego gazu. Każde spotkanie na szczycie – m.in. wizyta przewodniczącego Xi w Moskwie w marcu 2023 r. – kończy się rozczarowaniem.

W ramiona Pekinu

O polityce Chin decydują, moim zdaniem, dwie okoliczności. Z jednej strony Pekin gotów jest inwestować w kraje i regiony dostarczające surowców chińskiej gospodarce, zapowiadające się atrakcyjnie jako rynki zbytu i główne węzły szlaków tranzytowych, a jednocześnie łatwe w „zarządzaniu” (tzn. otwarte na chińskie żądania i życzenia). Z tej perspektywy Rosja okazuje się trudnym partnerem – władze lokalne nie pozwalają chińskim firmom budować i zarządzać infrastrukturą (jak bywa tu i ówdzie w „trzecim świecie”). Już przed wojną było jasne, że możliwości technologiczne i organizacyjne nie pozwalają Rosji marzyć o budowie wielkich szlaków tranzytowych, a po 2022 r. stała się ona tym bardziej komunikacyjnym ślepym zaułkiem, zrazem możliwości oddziaływania na Kreml są ograniczone, o czym świadczą choćby rychłe fiasko chińskiego planu pokojowego dla Ukrainy.

Z drugiej strony Chińczycy stratedzy nigdy nie planowali lokować zagranicą pełnych cykli produkcyjnych (Europejczycy zostawili ich w Rosji aż nadto), woleli raczej importować lub kraść technologie niż dostarczać je sojusznikom. Stało się to jasne po 2008 r., kiedy Rosja i Chiny ogłosiły nową strategię współpracy na Dalekim Wschodzie – Chińczycy chcieli inwestować w rosyjski przemysł surowcowy, a u siebie budować zakłady przetwórcze. Dlatego w przypadku Chin trudno mówić o silnych więziach ekonomicznych, takich jakie łączyły Rosję z Europą.

Zarazem kraje Zachodu nie mogą liczyć, że uda im się popsuć obecne relacje rosyjsko-chińskie. Przez ostatnie dwadzieścia lat amerykańscy i europejscy eksperci powtarzali, że nie należy marginalizować Rosji, żeby nie „wepchnąć jej w ramiona Pekinu”. Ostatecznie Rosja zmarginalizowała się sama – nie pozostał jej żaden inny poważny sojusznik. Bliskość Rosji i Chin bierze się z nieufności obu krajów do Zachodu, a wzmacnia ją upodobanie rosyjskich i chińskich polityków do autorytarnych metod rządzenia.

Sojusz dwóch antyzachodnich mocarstw jest jednak szczególny. Z jednej strony Rosja jest ekonomicznie zależna od Chin, jej głównego dostawcy produktów high-tech i największego odbiorcy rosyjskich surowców, który oferuje też kanały komunikacji finansowej z resztą świata. Z drugiej ChRL docenia wysiłki Rosji w konfrontacji z Zachodem – jest ona dla nich jak tralowiec, który porusza się przed czołgiem, biorąc na siebie wszelkie trudy przeprawy przez pole minowe. Chińczycy wnikliwie analizują wszystkie rosyjskie niepowodzenia, m.in. w wojnie morskiej, do której Pekin może się szykować snując marzenia o Tajwanie.

Niektóre pojawiające się ostatnio napięcia – m.in. niechęć chińskich banków do otwierania Rosjanom rachunków korespondencyjnych – przypisałbym obawom Chin przed przetestowaniem ich relacji z USA i Zachodem w sytuacji znacznego ich uzależnienia od amerykańskich technologii i stabilności finansowej USA (największe w świecie chińskie rezerwy wynoszące 3,46 bln ułokowane są w aktywach dolarowych). Zakładam, że wszystkie te problemy zostaną rozwiązane, bowiem Chiny rozumieją, że sektor finansowy jest de facto jedynym, w którym liczy się przychylność Rosji – chodzi o monopolistyczną pozycję juana w rosyj-

■
Chiny doceniają wysiłki Rosji w konfrontacji z Zachodem – jest ona jak tralowiec, który porusza się przed czołgiem, biorąc na siebie wszelkie trudy przeprawy przez pole minowe.

skim systemie finansowym, prowadzącą do wzrostu jego udziału (choć nie powyżej 2,5 proc.) w rezerwach światowych banków centralnych i szerszego wykorzystania tej waluty w handlu międzynarodowym (obecnie 4,6 proc. transakcji denominuje się w juanach). Chiny na ogół przestrzegają sankcji nałożonych na Rosję w handlu bronią i choć zachodni politycy chcieliby zacieśnienia współpracy w „zmuszeniu Moskwy do pokoju”, wszystkich satysfakcjonuje obecna sytuacja.

Nadchodzi wielki kryzys

Najciekawsze są dziś perspektywy rosyjsko-chińskiego sojuszu. Po 2017 r., wraz ze wszystkim, co składało się na tak zwaną wojnę celną USA-ChRL, wybuchem pandemii i reelekcją przewodniczącego Xi na trzecią kadencję, gospodarka Chin stanęła przed wieloma finansowymi, technologicznymi i społecznymi wyzwaniami. W kraju rosła bańka zadłużenia – obciążenia budżetów samorządów urosły do 12,6 bln dolarów (!), banki oferowały deweloperom i przedsiębiorstwom państwowym kredyty bez wystarczających zabezpieczeń, ceny nieruchomości (nie sprzedano łącznie 650 mln m²) poleciały w dół. Eksport produktów przemysłowych zamiera – w zeszłym roku Stany Zjednoczone po raz pierwszy w historii zaimportowały więcej towarów z Meksyku niż z Chin, a popyt krajowy coraz szerzej zaspokajają przedsiębiorstwa państwowe.

Od dwóch lat spada populacja Chin. W latach 2015-23 średni wiek wzrósł z 35,6 do 39,5 lat, co stwarza poważne problemy w zakresie zabezpieczenia socjalnego i emerytalnego. Do tego dochodzi wyczerpanie się zasobów taniej siły roboczej na wsi – szerzej, zakończenie procesu urbanizacji. Wielu ekspertów mówi o nieuchronnym wielkim kryzysie gospodarczym prowadzącym do politycznej destabilizacji.

W latach 2014-22 Putin nauczył Rosjan cenić „sukcesy” geopolityczne bardziej niż poziom życia. W Chinach ten ostatni wskaźnik jest nadal najważniejszy, więc spadek koniunktury ekonomicznej może katastrofalnie podważyć zaufanie do rządu.

W Moskwie najwyraźniej nie zwraca się uwagi na takie „drobiazgi”. Od początku zeszłej dekady w oficjalnej prasie rosyjskiej praktycznie zanikły odniesienia do Chin w negatywnych kontekstach – tematy te rzadko wypływają w przestrzeni publicznej. Tak samo jest w Chinach, gdzie krytyka Rosji, a nawet opis jej problemów gospodarczych przyniosły się w całości do blogosfery. Dla Kremla nie ma dziś alternatywy, a Putin może mieć tylko nadzieję, że Chiny nie pomylą się w swoich gospodarczych oraz geopolitycznych kalkulacjach i w nadchodzących latach będą dla Rosji może nie bankiem ani fabryką zbrojeniową, ale przynajmniej niezawodnym zapleczem.

Zważywszy sytuację tandemu Chiny-Rosja, Zachód nie powinien powstrzymywać Moskwy przed zbliżeniem z Pekinem, tylko budować, jak pół wieku temu, specjalne relacje z Chinami, myśląc o zwycięstwie w nowej zimnej wojnie z Rosją. ●
Władisław Inoziemcew
tłum. Sergiusz Kowalski

GMINA TO Ja

Jakie znaczenie dla 30-latka ma nowa droga, parking czy nawet basen, gdy nie da się tu oddychać, nie ma żłobka, i jeszcze nie ma pediatrii, bo została zamknięta

Z **ANDRZEJEM ANDRYSIAKIEM***,
ZNAWCĄ SAMORZĄDU, WYDAWCĄ
PRASY LOKALNEJ,
ROZMAWIA
PAWEŁ KRYSIAK**



PAWEŁ KRYSIAK: Mamy czas kampanii wyborczej. Niedawno „Press” informował, że w Bydgoszczy samorząd za darmo kolportuje w Biedronkach biuletyny, które przypominają gazety. Czy to pana dziwi?

ANDRZEJ ANDRYSIAK: Proponuję ćwiczenie z wyobraźni. Przychodzi prywatny przedsiębiorca do Biedronki i mówi: chciałbym, żebyście mój produkt rozdawali tutaj za darmo. Wezmą go za wariata.

Podejrzewam, że w Bydgoszczy po prostu ktoś z samorządu kogoś znał w Biedronce, zaproponował dystrybucję gazetki i sieć się zgodziła. Oczywiście w dobrej wierze. Natomiast wydawca niezależnego portalu się denerwuje, bo to dla niego nieuczciwa konkurencja. Ale przeciętny mieszkaniec za bardzo nie wie, czemu się czepiamy tych gazet samorządowych, które przecież informują o tym, co się dzieje w mieście.

Jak by pan scharakteryzował te gazety?

– To jest Gierek. Rządziej propaganda à la TVP Info Jacka Kurskiego, czyli ataki i szczucie na przeciwników władzy. Kraina, którą opisuje samorządówka, jest miodem i mlekiem płynącą. Kwiatki kwitną, drogi się budują, a prezydent jest doskonały.

I to działa na mieszkańców?

– Jakby nie działało, to nikt by tego nie robił. Największy ostrzał w ostatnich latach poszedł z dużych miast: Kraków, Łódź, Poznań, Gdańsk. Kraków wydał w ciągu roku na dwie spółki, które zajmują się działalnością wydawniczą, aż 52 miliony złotych. Dla niezależnych mediów to skala niewyobrażalna. Z kolei w Łodzi, stolicy mojego województwa, pani prezydent w 2022 r. stwierdziła, że podległa jej biblioteka będzie trzy razy w tygodniu wydawała gazetę miejską. Gazeta jest dystrybuowana w miejscach związanych z urzędem, ze spółkami miejskimi, w komunikacji miejskiej itp.

I teraz każdy mały samorządowiec oskarżany o łamanie zasad zdrowej konkurencji, natychmiast odbija piłeczkę: a co robią tam na górze? Oni to dopiero mają rozmach. Oni mogą, a ja nie?

Wyjaśnijmy najprościej, jak się da, co w tym zle-go, że samorządy wydają swoje gazety?

– A nie wydaje się panu dziwne, że po 35 latach wolnej Polski takie rzeczy trzeba tłumaczyć? Gdy opowiadam o tym problemie dziennikarzom z Warszawy, to pierwsza reakcja jest „ale o co ci chodzi, po prostu biuletyny wydają”. Oczywiście, mnóstwo gmin wydaje biuletyny, zwykle na kredowym papierze, 16, czasami 24 strony. Ukazują się co dwa miesiące, czasami trzy razy w roku. Z punktu widzenia niezależnych mediów lokalnych to nie jest problem.

Problem się zaczyna wtedy, gdy samorząd wchodzi w sferę stricte informacyjną. Gdyby pisali tylko o tym, że rada się zebrała i uchwaliła to i to, że pod takim adresem można składać wnioski o zapomogi itp., słowem, gdyby zamieszczali komunikaty z urzędu, wszystko byłoby OK. Ale tam są opisywane wypadki, stłuczki, przedstawia się sylwetki ludzi, zamieszcza długie wywiady, relacje z budowy. To już jest gazeta, a nie biuletyn urzędowy. I co ważne, oni nie robią tego z przypadku, z potrzeby zaspokojenia głodu informacyjnego u mieszkańców.

Często ludzie wyobrażają sobie, że samorząd to społecznicy, jakieś ideowe drużyny harcerskie pracujące dla dobra gminy. A samorząd to władza jak każda inna. Ludzie idą do samorządu, żeby władzę zdobyć i ją utrzymać. I użyją do tego celu wszystkich narzędzi politycznych, jakie znają, także propagandy.

Władza samorządowa wydaje gazetę, aby wejść w sferę informacyjną, całkowicie zaanektować lub zająć jak największe pole.

I nie chodzi tylko o papierowe gazety, ale o portale, telewizję, radio. W moim regionie jest radio wydawane przez grupę samorządów. Słuchacze nawet nie wiedzą, kto jest wydawcą. Są tygodniki wydawane przez samorząd, za które trzeba płacić, np. w Nowej Soli czy Sandomierzu. Skala tych przedsięwzięć wydawniczych jest olbrzymia.

Spójrzmy przez lupę na jeden wybrany samorząd, w którym ten problem widać w całej jaskrawości.

– Bardzo proszę. Przyjrzyjmy się Trzebnicy. W tym 30-tysięcznym mieście mieszka Daniel Długosz. Świetny dziennikarz patrzący władzy na ręce, wydawca „Nowej Gazety Trzebnickiej”. Nigdy nie odpuszcza. Po drugiej stronie jest burmistrz Marek Długozima, z dużym poparciem mieszkańców.

Burmistrz jakiś czas temu wymyślił, że uruchomi samorządową gazetę – „Panoramę Trzebnicką”. Nakład 15 tys. egzemplarzy, 40-48 stron. Połowę wydania zajmują ogłoszenia zbierane z rynku, zbierane po dumpingowych cenach, plus ogłoszenia spółek miejskich. Druga połowa to teoretycznie informacje o tym, co się dzieje w mieście. A praktycznie o tym, co robi burmistrz. Na jednej stronie są np. cztery zdjęcia burmistrza, a na tych wszystkich 24 stronach redakcyjnych jest ich 40. Wszędzie burmistrz, burmistrz, burmistrz. I to jest wydawane za publiczne pieniądze.

I teraz proszę sobie wyobrazić, z jaką machiną zderza się niezależna gazeta Długosza.

W gazecie burmistrza ogłoszeń jest tam naprawdę bardzo dużo. Nie dlatego, że jest świetna, super czytana. Przedsiębiorcy dostają sugestie, że mają się tam ogłaszać. A jeśli robią interesy z władzą, startują w przetargach, wykonują jakieś prace dla gminy, to się tam ogłaszają.

Przelóżmy to na poziom ogólnopolski. Za rządu PiS było tak, że TVP mogła stosować dowolne ceny reklam, a wszystkie spółki skarbu państwa miały nieformalny obowiązek się tam ogłaszać. Jak to wpłynęło na rynek? No tak, że cała rządowa propaganda telewizyjna była utrzymywana z pieniędzy państwowych spółek. A inne telewizje musiały orać w poszukiwaniu pieniędzy.

Ten sam mechanizm polityczny działa na dole. Ale jak opowiadasz o tym komuś z wielkiego miasta, to on się dziwi. No jak to, przecież samorządowcy generalnie są dobrzy. Nie?

Przypomniała mi się Świdnica. W pana podcaście jeden z bohaterów, obserwując zaangażowanie prezydentki w ogólnopolską akcję obro-



ny wolnych mediów, skomentował: Są chyba jakieś granice robienia z człowieka głupka.
– To powiedział niezależny wydawca, który tam le-dwie zipie.

Na manifestacji w obronie TVN pod hasłem „Wolne media” prezydentka Świdnicy opowiadała, że sobie nie wyobraża rzeczywistości np. bez rozmów Piaseckiego. Czyli bronisz wolnych mediów, gdy są daleko. Jak są blisko, to już nie, bo tylko przeszkadzają w rządzeniu.

Skąd u samorządowców aż takie parcie na media? Przecież nie tylko z próżności.
– Żeby narzucić własną opowieść o mieście, miasteczku, powiecie gminie. To się wyborczo opłaci. Media niezależne są odcinane nie tylko od pieniędzy, ale także od informacji. Urząd zwleka z odpowiedzią przez dwa tygodnie albo dłużej. Bo ich gazeta musi napisać pierwsza. Wtedy mieszkani-cie sobie myśli: oni napisali pierwsi, to chyba są lepsi.

Samorządowcy się spotykają na zjazdach, kongresach, na spotkaniach związku miast polskich, tam wymieniają doświadczeniami, także tymi z me-diami.

Przekazują sobie know how.
– Erupcja tego typu wydawnictw to ostatnie parę lat. Próbowałem policzyć skalę. Otóż tylko dziesięć największych miast wydaje na to minimum 140 mi-lionów rocznie. Gmin jest 2,5 tysiąca. Samych wy-dawnictw samorządowych papierowych jest 850. To dane Biblioteki Narodowej za 2021 r. Tych sa-morządówek jest o 100 więcej niż wszystkich pozo-stałych, czyli na poziomie lokalnym samorządy są większym wydawcą niż sektor prywatny. Do tego dochodzą portale, telewizje, radia. I mediów nieza-leżnych ubywa, a samorządowych przybywa.

Minister Adam Bodnar jako Rzecznik Praw Obywatelskich zawsze był za tym, aby zakazać samorządom wydawania gazet.

– Tak było. Ale czy tak będzie? Jak ktoś jest w innym miejscu niż rządzący, to jest przeciwko. Ale przypo-minam, że za tym, aby zakazać samorządom wy-dawania gazet, był nie tylko RPO ale także Izba Wy-dawców Prasy, stowarzyszenia wydawców, Sieć Oby-watelska Watchdog Polska. Wszystkie środowiska eksperckie mówiły jednym głosem.

To jak z artykułem 212 KK, w którym grozi się dziennikarzom więzieniem za zniesławienie. Wszyscy zawsze byli przeciw, a rządzący go nigdy nie wykreślili.

– W niemal wszystkich większych miastach rządzą prezydenci związani w jakiś sposób z PO. A kto mo-że zdecydować o tym, żeby ten zapal wydawniczy sa-morządów ukrócić? Rząd, większość sejmowa.

Ale nawet rozumiem tych posłów z większości sejmowej. Wyobraźmy sobie, że poseł dostaje do ho-lowania projekt zmiany ustawy samorządowej z ja-snym zapisem, że „samorządy i jednostki powiązane nie mogą prowadzić działalności wydawniczej w ro-zumieniu prawa prasowego”. Przedstawia projekt na konferencji prasowej, a zaraz potem dzwoni do niego prezydent miasta z jego okręgu: Co ty wypra-wiasz, pomagamy ci w kampanii, popieramy zawsze, a ty mi tu próbujesz zabrać najlepsze narzędzie poli-tyki informacyjnej.

Przez osiem lat panowało przekonanie, że sa-morządy są bastionem demokracji, a PiS chce je zniszczyć. Ale jak się czyta lokalne niezależne gazety czy portale albo słucha pana podcastów, to widać, że wewnątrz niektórych zagnieździł się autorytaryzm.

– Społeczeństwu przez osiem lat nie przeszkadza-ły standardy rządzenia PiS, bo ludzie je wcześniej poznali w swoich małych społecznościach i się do nich przyzwyczaili. Wyciszenie mediów, zatrud-nianie swoich, kliki, skoki na publiczną kasę, prze-wały – myśmy na co dzień to wszystko przerobili. To wszystko w samorządach było od dawna.

Nim wróciłem do Radomska, pracowałem prawie 20 lat w Warszawie, pod koniec w „Dzienniku Gaze-cie Prawnej”, który się naprawdę dużo zajmował sa-morządem. W mediach centralnych patrzymy na sa-morządy przez pryzmat dużych miast. I przez ostat-nie lata tam samorządowcy rzeczywiście walczyli, byli ostoją demokracji. Zabierali głos w obronie pra-worządności, głośno wypowiadali się przeciw antyu-nijnej retoryce PiS. Tylko dużych miast mamy 15-16, tych powyżej 100 tys. mieszkańców – kilkadzie-siąt, a wszystkich miast jest ponad 1000, gmin bo-daj 2490. Oczywiście można wybrać ten fragment wielkomiejski i o nim opowiadać. Ale to nie jest peł-ny obraz polskiej samorządności. Radar ustawiony na bardzo wąską grupę – to podstawowy ból tej dys-kusji.

Nie uważam, że samorząd trzeba zaorać i zbu-dować od nowa, i absolutnie nie chcę, żeby jakiś na-czelnik jako pełnomocnik rządu decydował o Polsce gminnej. Samorząd jest świetny. To jedyny sensowny system zarządzania lokalnymi społecznościami.

Tylko zwróćmy uwagę: nowy rząd działa od grud-nia, już odbywały się dyskusje o programach szkol-nych, in vitro, religii w szkołach. Są jakieś sfery, o których reformie dyskutujemy – bo jest decyzja po-lityczna, wola zmiany. A o samorządzie cicho sza od 1999 r., czyli od ostatniej reformy rządu Buzka. Jakby to był jedyny segment polskiej rzeczywistości, która nie wymaga żadnych zmian, ma się świetnie.

Nie ma takiego systemu, którego nie trzeba dogła-dać sprawdzać i poprawiać, a tylko sfera samorzą-du jest wyjęta z mechanizmu kontroli i audytu poli-tycznego. Mimo że upływa 25 lat od reformy admi-nistracyjnej!

Słucham w podcaście, jak chodzi pan po Trzebnicy, z ważnym pytaniem w głowie: skąd się bierze te 71 proc. poparcia dla burmistrza? Jak tłuma-czyć to trwanie? Karl Popper pisał, że największą



Żyje sobie w gminie obywatel, chodzi po ulicach, zastanawia się nad swoimi decyzjami, ma wątpliwości. Nagle zostaje radnym i natychmiast nabiera przekonania, że przybyło mu 30 punktów ilorazu inteligencji. Wczoraj nie miał, teraz ma

zaletą demokracji jest możliwość odsunięcia w wyborach złej władzy. A w takiej Trzebnicy to nie działa.

– Wracamy do mechanizmów czysto politycz-nych. Każda władza, poza zarządzaniem, admini-strowaniem, zajmuje się utrzymaniem swojej wła-dzy. A więc zajmuje się także konkurencją. Stara się ją zneutralizować, przejąć pod swoje skrzydła albo zbudować mur, nakazać ostracyzm czy przypiąć łat-kę oszołomów. To znane mechanizmy. A im mniej-sza społeczność, tym trudniej o przeciwników wójta. I nie dlatego, że tam nie ma chętnych, ale dlatego, że buntowników łatwiej spacyfikować.

Koszty wejścia do walki politycznej z mocno osa-dzonym burmistrzem są olbrzymie. Koszty przede wszystkim osobiste. W lokalnych społecznościach nie ma dużych stowarzyszeń aktywistów. To nie Warszawa, Wrocław czy Poznań. W małej gminie nie masz grupy, która za tobą stanie. Wszystko się odbywa w takiej konfrontacji jednostkowej. Bardzo prawdopodobne, że ktoś z twojej rodziny jest zwią-zany zawodowo z samorządem, matka, żona, córka. To jest potencjalne pole nacisku na ciebie.

Skąd jeszcze bierze się siła wójtów, burmistrzów i prezydentów?

– Z nierównowagi systemowej. Przy wójcie wyłania-nym w bezpośrednich wyborach, z bardzo silnym mandatem i wielkimi uprawnieniami, radni niewiele znaczą. Burmistrz rządzi jednoosobowo i praktycznie z gwarancją nieusuwalności do końca kadencji, bo referendum wymaga wysokiego progu frekwencji.

Teoretycznie rada pełni funkcję kontrolną. Ale jak ma ją pełnić, skoro połowa radnych pracu-je w jednostkach samorządowych podległych bur-mistrzowi? A nawet jeśli radny się uprze, to co z te-go, że może wejść do jednostki samorządowej i zro-bić kontrolę, na wzór kontroli poselskiej, gdy słyszy: a bo tajemnica spółki, a bo nie możemy wydać doku-mentów. I co można zrobić burmistrzowi? Nic.

Jeśli burmistrz nie robi jakiegoś spektakularne-go przewалу, nie przejedzie zakonniczy w ciąży na pa-sach, to jest nieodwołalny. Nawet jeśli jest sprawa w prokuraturze, to ona latami, a potem jeszcze sądy, pierwsza, druga instancja.

Afery powinny wyborcom dać do myślenia.

A nie dają.

– W Trzebnicy pokazywałem afery, tu w Radomsku też ujawnia my afery. Ze dwa razy w roku publikuje-my porządne śledcze materiały. Powinny być konse-kwencji, ale nie ma.

To powie panu każdy wydawca, który zajmuje się patrzeniem władzy na ręce. Afera musi gdzieś trafić, mieć ciąg dalszy.

Po naszych artykułach kilka razy śledztwa by-ły wszczynane – i umarzane. Mam przekonanie, że prokuratury lokalne robią wiele, żeby nie dotykać spraw związanych z władzą lokalną. I to jest system niezależny od partii. On trwa od bardzo dawna. Nie wiem, z czego to wynika. Może z tego, że elity ma-łych miast są małe?

Przykład prostej afery u nas w mieście. Jest re-montowana ulica. W specyfikacji napisano, że trze-ba posadzić 30 drzew 6-metrowych o obwodzie 30 cm. Czyli dużych. Remont zakończony, drzewa są, ale mają 3,5 metra i 14 cm w obwodzie. Dzienni-karz sprawdza koszty. Jedne kosztują 900 zł a inne dziesięć razy tyle. Patrzysz w protokoły, jest odbiór. W protokole jest napisane, że wszystko zgodne ze specyfikacją. Najprostsze, łopatologiczne przestęp-stwo urzędnicze, czyli poświadczenie nieprawdy. I tu nie jest istotny powód. Prokuratura wszczyna śledz-two, mija miesiąc, drugi, trzeci, szósty. Nieoficjalnie prokurator prosi, abyśmy wstrzymali się z pisanie-m, bo wysyłają właśnie zawiadomienia o postawieniu zarzutów, nie chcą, żeby podejrzani dowiadywali się z gazety. OK, czekamy.

Pełnym przypadkiem w międzyczasie zmienia się koalicja, bo wcześniej prezydent rządził z Platfor-mą, ale wyrzucił PO i teraz rządzi z PiS. Dzwonisz do prokuratora, co się dzieje. A on, że pojawiły się nowe okoliczności, że muszą zbadać jeszcze jeden wątek. Tak mija kolejne pół roku. A potem umorzenie z ta-kim mniej więcej uzasadnieniem: Co prawda niepra-widłowość związana z podpisem jest, ale po publika-cjach gazety i po ujawnieniu sprawy miasto napra-wiło szkodę i wystawiło mniejszą fakturę. Siedzisz i ręce ci opadają.

Wspomniał pan o wójcie jako najważniejszym pracodawcy w gminie. Szkoły też są przeciw jego. Zawiązuje się komitet wyborczy w kontrze do władzy. Wchodzi do niego aktywna społecznie na-uczycielka. Jest pełna entuzjazmu, ale po trzech

godzinach rezygnuje, bo uświadomiła sobie, jakie to niebezpieczne.

– Ale dlaczego sobie to uświadomiła? Dostała telefon: albo się bawisz w politykę, albo w szkołę. Wybieraj. My wiemy, że byli u ciebie z takiego a takiego komitetu.

Nauczyciele to dobry przykład, jak skrzywiony peryskop mają media ogólnopolskie. Zna pan opowieść o tym, że w Polsce brakuje nauczycieli. To prawda. Brakuje. Tylko dodajmy, że chodzi o duże miasta. W małych miasteczkach i gminach taką pracę się załatwia. Trzeba mieć blogo-slawierstwo wójta czy burmistrza.

W Radomsku starostwo zamówiło audyt na temat szkół średnich. Wyszło, że średnio nauczyciele pracują na 0,9 etatu. W normalnym systemie powinni pracować w wymiarze 1,2 lub 1,4, czyli normalny etat plus nadgodziny. A u nas nauczyciel średnio nie wyrabia nawet pensum. Bo ta praca jest tutaj super pożądana, jest załatwiana, wychodzona.

Dodam do tego własny obrazek. Nie-długo po przejściu władzy przez PiS w Lublinie zorganizowano ogólnopolską debatę o zagrożeniach dla kultury. Jeden z warszawskich artystów oskarżał swoje środowisko o wygodnictwo. Pytał retorycznie: Czy ktoś z nas ma odwagę wyjść na prowincję i w wiejskiej szkole uczyć dzieci, jak rozumieć sztukę nowoczesną? Stać nas na to? Gdy to usłyszałem, zaśmiałem się głośno, bo oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak ów artysta przybywa na wieś z kagankiem oświaty i psuje wójtowi kolejkę do zatrudniania znajomych w szkole.

– Mieszkańcy dużych miast tego nie rozumieją. I te rozjazdy narracyjne to jedna z przyczyn zwycięstwa PiS w 2015 r. Słuchasz jakiejś opowieści w telewizorze, dajmy na to, o nauczycielach. Siedzisz w małej miejscowości, patrzysz i co sobie myślisz? Ale te media kłamią. Przecież twoja córka chciała pracować w szkole, ale odbiła od ściany, bo kolejka jest na pięć lat.

Czyli załatwianie pracy jest sednem władzy samorządowej. Samorząd – spółdzielnia pracy.

– Praca to narzędzie polityczne, do utrzymania władzy.

Zacznijmy od specyfiki rynków pracy. W większości małych miejscowości nie ma teraz problemów z bezrobociem. Ale zwykle praca jest niskopłatna, na produkcji, w usługach. Lepiej wynagradzaną albo łatwiejszą, taką z pewnością jutra, można znaleźć w instytucjach publicznych. Pokażmy ten mechanizm na przykładzie Radomska.

Miasto ma teraz 38-39 tys. mieszkańców, statystyki GUS podają większą liczbę, ale nas interesują ludzie, którzy tu faktycznie mieszkają. Wszystkich pracujących jest około 27 tys. Miejsc pracy podległych samorządowi miasta i powiatu około 3 tys. Połowa należy do prezydenta, połowa do starostwa powiatowego.

W przypadku miasta to urzędy, jednostki powiązane, ośrodki pomocy społecznej, biblioteki oraz spółki miejskie. Starostwo ma urząd, kilka jednostek w rodzaju Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie oraz szpital. W tych 3 tysiącach miejsc pracy są też szkoły – około 1200 posad na powiat i miasto. Zostaje nam 1800 stanowisk. I one służą do uprawiania polityki na poziomie samorządu.

Samorząd dobrze płaci na górze. Prezydent, sekretarz, naczelnicy, szefowie jednostek. Ta najlepiej płatna praca jest dystrybuowana zwykle z klucza politycznego. O konkursach nawet nie będę opowiadał, bo wiadomo, że to fikcja. My w „Gazecie Radomszczańskiej” publikujemy czasami z dwutygodniowym wyprzedzeniem listę zwycięzców. I zawsze trafiamy w dzięsiałkę. Wiadomo, że decyduje układ polityczny.

Niżej samorząd płaci słabo, w strefie przemysłowej w Radomsku można zrobić dwa razy więcej niż w urzędzie, ale

i tak duża grupa ludzi wybiera urząd. Bo tam jest spokojnie, są wczasy pod gruszą, jak zajdziesz w ciążę, to na ciebie poczekają. Jak to się u nas mówi, praca kodeksowa. Więc prezydent, mając możliwość „dawania pracy”, nie wiem jakim idealistą musiałby być, żeby z niej nie korzystać. Ludzie dostają robotę i są wdzięczni.

Czyli każdy prezydent na starcie ma w Radomsku około 2,5 tys. głosów. A im niżej, tym gorzej, bo w gminie z 5 tysiącami mieszkańców, wójt może mieć nawet 600 miejsc pracy. I to kolejna odpowiedź na pytanie, dlaczego oni są długowieczni. Nikt nie bryka, bo jak pan Czesław czy pani Krysia będą trwali, to będzie praca, a przyjdzie pan Marcin czy pani Zosia i wymieni kadry. Głosujemy zatem na pana Czesława czy panią Kysię i kadencja po kadencji nic się nie zmienia.

Oczywiście, można powiedzieć, co w tym dziwnego? W centrali, w rządzie od dekad robią tak samo, a już PiS doprowadził ten mechanizm do perfekcji.

No właśnie, coraz częściej myślę, że ta akceptacja załatwiania pracy, to jest jednak sprawa kulturowa.

– Może rzeczywiście. Kiedy studiowałem w latach 80. socjologię na KUL, miała z nami zajęcia naukowczyni z USA, która przyjechała do Polski, aby napisać książkę o tym, jak funkcjonuje w realnym socjalizmie słowo „załatwić”. PRL upadł 35 lat temu, a nadal „załatwiamy”.

– W „Gazecie Radomszczańskiej” mieliśmy cykl materiałów o nepotyzmie. Ujawniliśmy, że pewien dyrektor zatrudnił córkę, że syn starosty dostał robotę po znajomości. W kilku tygodni powstało chy-

mencie wyboru zachodzi w nich przemiana. To dotyczy nie tylko radnych, także szefów spółek, redaktorów naczelnych itp.

Często te poszukiwanie uzasadnień dla swojej doskonałości przybiera formy komiczne. Burmistrz Trzebnicy po 15 latach rządów sam napisał hymn na swoją cześć do melodii przeboju Franka Sinatry „My way”. Odśpiewano go podczas otwarcia hali sportowej. „Dziękuję wam, że jestem tu i buduję dla was szczęście” – tak zaczynała się pieśń. A dalej było jakoś tak: „Nie poddam się, gdyż dobry Bóg wybrał to miejsce właśnie dla mnie”.

Ojej! Burmistrz jako pomazaniec Boży.

– Miasto to ja. Tak o sobie myślą i to ich cecha wspólna. Cecha ludzi, którzy trafiają na świecznik – a samorząd to jest świecznik. Zapraszają ich na imprezy, odczytują ich nazwiska, dziękując, że uświetnili, podchodzą, żeby się przywitać.

Ludzie idą do samorządu z różnych motywacji. Po pierwsze, bo lubią rządzić. Ta motywacja jest dla mnie jakoś zrozumiała. Po drugie, idą po władzę, bo mają w tym interes. Chcą zadbać, żeby ich nie zwolnili z pracy, żeby zapewnić stanowiska rodzinie i znajomym, albo żeby zabezpieczyć swoją firmę, która współpracuje z gminą. Też jasne. Trzecia motywacja jest najrzadsza. Ktoś wchodzi do samorządu bo jest ideowcem. Chce zmieniać miasto na lepsze. I zwykle po jednej kadencji mówi „no way”. Obserwuję to od lat.

Że strawestują tytuł słynnego filmu braci Coen, to nie jest ratusz dla ideowych ludzi. Ma pan pomysł, jak naprawić samorząd?

Nie możemy powiedzieć, że jak Kurski i PiS mają gazetę, telewizję, portal, to źle, a jak samorząd to dobrze. Mechanizm jest identyczny

– Przede wszystkim chciałbym, żeby nad tym dyskutowali specjaliści z wielu dziedzin, a nie samorządowcy.

Często w debatach o problemach samorządowców dyskutują sami samorządowcy. A to oni są częścią problemu. Dziwi mnie, że głos naukowców jest tak mało słyszalny. Oni mają wszystko dobrze zdiagnozowane, ale nie mogą się przebić ze swoimi raportami do sfery politycznej. Czytają to między sobą, referują na akademickich konferencjach, czasem jakiś dziennikarz robi z nimi wywiad. Ważna praca się odbywa, ale żeby coś tych raportów i wyników badań wynikło, potrzebna jest decyzja polityczna: aha, mamy kolejny kawałek państwa do naprawy.

I bez wątplenia potrzebna jest dwukadencyjność.

To już się przecież stało.

– Tak, dwukadencyjność jest uchwalona.

To dlaczego się pan uśmiecha?

– Bo nie wiemy, co będzie dalej.

Czytałam treść porozumienia wszystkich ugrupowań opozycyjnych z samorządowym Ruchem dla Polski Jacka Karnowskiego, podpisanym bodaj w 2020 r. na wiosnę, w którym napisano, że partie opozycyjne będą wspierać samorząd. Super. To jest pierwsza strona. Na drugiej czytam, że zlikwidują dwukadencyjność.

Ale uwaga, dwukadencyjność jest potrzebna nie tylko na poziomie wójtów, burmistrzów, prezydentów, ale także na poziomie radnych. Mamy nie tylko wójtów, którzy rządzą od 1990 roku, także radnych z nie mniejszym stażem.

Dwukadencyjność wymusza zmianę. A zmiana jest dobra. Samorządowcy, gdy z nimi o tym rozmawiam, stawiają veto. Ich argument jest taki: Przecież, kiedy wszedłem do samorządu, to się przez pierwszą kadencję uczyłem, jak on działa, a dopiero w drugiej kadencji wiedziałem, z czym to się je. Mnie ten argument bawi. Nie wiem, czy jest na świecie jakaś firma, w której przedsiębiorca cię zatrudni i powie: panie kochany, ja panu będę przez 5 lat płacił, pan się przyucza, a dopiero później będzie pan normalnie pracował.

Samorządu można się szybko nauczyć. Mamy otwarte sesje, posiedzenia komisji. Są transmisje online. Prawo jest dostępne i dobrze opisane. To można ogarnąć przed decyzją o kandydowaniu. Tylko trzeba chcieć

Samorząd – spółdzielnia pracy. Da się ten mechanizm jakoś prawnie ograniczyć?

– Podczas prac nad reformą administracyjną w 1998 r. był concept, aby wprowadzić do urzędu niezależnego, nieodwoływalnego sekretarza, wybieranego w kompromisie między radą a burmistrzem. Byłby taką służbą cywilną i to on decydowałby o zatrudnieniu, a nie burmistrz. Pomysł upadł, bo PSL powiedział, że nie tędy droga.

Pisze pan w „Lokalsach”, że w kampanii samorządowej nie ma starcia wizji. Dlaczego?

– W „Gazecie Radomszczańskiej” mieliśmy kiedyś czołówkę zatytułowaną „Czterech kandydatów, jeden program”. Porównaliśmy programy i okazało się, że trudno znaleźć różnice, wszyscy mówią o tym samym.

Sprawdziliśmy samorządność do administrowania i budowania. Jak rozmawiasz z samorządowcami, to każdy opowiada o pieniądzach, że obcięto finansowanie, że tu trzeba coś wybudować, naprawić, zainwestować. Jasne, to istotny aspekt działalności samorządu. Ale miliardy z UE płynęły przez lata do Polski lokalnej i większość z tego, co mieliśmy wybudować, już wybudowaliśmy. Natomiast samorząd nie potrafi rozmawiać o innych problemach, np. o edukacji. A w małych miejscowościach jej poziom jest często tragiczny. Między innymi z powodu braku świeżej krwi i załatwianiu pracy po znajomości.

Fakt. Obserwowałem wiele kampanii samorządowych i poprawy jakości edukacji na sztandarach nie widziałem.

– I nie zobaczy pan. Bo drogą się pochwalisz w wyborach. A szkołą? Tylko jeśli wybudujesz albo wyremontujesz budynek, ocieplisz. Ale poziom mentalny, kompetencyjny, programowy? To dla samorządowca zbyt skomplikowane. I samorządowiec nie lubi takich miękkich działań, bo są nieefektywne wyborczo.

Wielu ekspertów i naukowców mówi, że czas samorządowców budowniczych się skończył. Trzeba zająć się poważniejszymi sprawami, które dotyczą jakości życia. A nie tylko hala, basen droga, parking. Najgorsze, że samorządowcy skutecznie przekonali mieszkańców, że władza lokalna jest tylko od budowania i remontowania.

Spójrzmy jeszcze raz na moje miasto. Jakie znaczenie dla 30-latka ma nowa droga, parking czy nawet nowy basen, gdy po pierwsze, nie da się tu oddychać, po drugie,

nie ma żłobka, i jeszcze nie ma pediatrii, bo została zamknięta. Nie ma podstawowych rzeczy dotyczących jakości życia. Jeśli mia-
sto się tym nie zajmuje, to mieszkańców
będzie ubywać. Są proste wskaźniki, które
decydują, czy człowiek zostaje w mieście.

I tu kłania się mieszkalnictwo. Jakoś sa-
morządowcom z tym tematem jest zawsze
pod górkę.

To nie my, od tego są deweloperzy.

– Tak. Mieszkanie, powietrze, edukacja,
opieka nad dziećmi. Samorząd woli się tym
nie zajmować. Samorząd się zajmuje budo-
waniem. Następnych parkingów.

**Pisze pan, że mieszkaniec, które jest
przeciwnikiem budowy kolejnego base-
nu, raczej nie ma w samorządzie swoje-
go reprezentanta.**

– Prezydent zapowiedział, że wybuduje no-
wy basen. Był zrobiony projekt na rozbu-
dowę starego, ale on chciał wybudować no-
wy. Bo basen poprawi jakość życia i spowo-
duje, iż ludzie będą chcieli do nas przyjeź-
dzać. Argument dość absurdalny, bo trudno
znaleźć związek między jednym a dru-
gim. Ale gdy decydowano o budowie, radni
byli jednogłośni. Ani jeden nie powiedział
tego, co mówiła spora część mieszkańców:
rozbudujemy stary i już, wydajmy 15 mi-
lionów, nie 32, a pieniądze przeznaczymy
na coś innego. Zastanawiano się tylko, czy
elewacja ma być czerwona, czy bordowa.
A dlaczego nie powiedział? Bo nawet jeśli
jakiś radny jest sceptyczny, to boi się reak-
cji wyborców. Koło się zamyka.

Miękkie projekty są dla samorządow-
ców mało interesujące. Mam tu gdzieś pod
ręką typową samorządówkę. Na ostatniej
stronie jest podsumowanie półrocznych
działań związanych z kulturą: Miejski Dom
Kultury odwiedziło tyle a tyle osób, odbyło
się tyle a tyle wydarzeń, seansów, średnia
na seans taka i taka. Muzeum odwiedziło
tyle i tyle osób. To jest opowieść samorzą-
du o kulturze. Chwalenie się liczbami.

**Opisuje pan w książce, jaką się płaci cenę
za aktywizm w małym miasteczku. Ktoś
rozmawia z aktywistą, nagle jedzie bur-
mistrz, zatrzymuje się i opuszcza szybko.
I ten ktoś ucieka. Aktywizm niszczony
w zarodku. Skąd się zatem mają brać
krytycy władzy?**

– Oni się znajdują, ale muszą mieć ochro-
nę i wsparcie. Jeżeli są niezależne gazety,
to aktywista wie, że może pójść, nagłośnić
sprawę i nie zostanie sam. Ale tych me-
diów nie ma w co najmniej 1/3 powiatów.

Oczywiście samorządowcy lubią obywa-
telskie działanie, tylko musi być pozytywne
dla nich, albo firmowane przez ich ludzi.
Natomiast gdy jest kontrujące, gdy pokazu-
je jakiś problem...

**Zamiast przyjść do mnie, sami zaczę-
li działać!**

– To też, ale przede wszystkim aktywiści
mówią, że coś źle działa.

Przykład. Radomsko jest w pierwszej
dziesiątce najbardziej zasmogowionych
miast. Kilka lat temu byliśmy na 26 miej-
scu w Europie. U nas między październi-
kiem a marcem nie da się wychodzić z do-
mu.

Nasza gazeta zaczęła się tematem zaj-
mować około 2017 r. Najpierw opubliko-
waliśmy dane z czujników i złapaliśmy
się za głowę. Matko Boska, to jest aż tak
źle? Zaczęliśmy grzebać, sprawdzać. Rzu-
ciliśmy pomysł zawiązania Alarmu Smo-
gowego. Wynajęliśmy salę, ustawiliśmy
krzesła w krąg. Przyszło około 50 osób,
czyli dużo. Była burza mózgów, poda-
ły konkretne pomysły, główne związane
z edukowaniem. Tak sobie siedzieliśmy,
gadaliśmy ze dwie godziny i nagle przy-
szedł przedstawiciel władzy. Słuchał, słu-
chał, słuchał i nagle mówi tak: To jest ze-
branie polityczne przeciwko władzom
miasta. W Radomsku nie ma problemu
ze smogiem, jest tylko zanieczyszczenia
z Belchatowa.

Powiedział to i wyszedł.

Jak reagują ludzie, kiedy wysoki urzęd-
nik z ratusza mówi: widzę was, jesteście
przeciwko władzy? Z 50 osób zostało 15.
Ludzie mają jednak jakiś szacunek dla
władzy i trochę się jej boją. Potem z tych
15 zrobiło się mniej niż 10. Ale oni już nie
mieli żadnych wahań. Działali. Założyli-
śmy stowarzyszenie, oplakatowaliśmy mia-
sto, przeprowadziliśmy akcję edukacyjną,
u znajomych przedsiębiorców zawisły bill-
boardy. Sprawa zrobiła się głośna, ludzie
reagowali pozytywnie. Aż pojawił się po-
mysł, aby powstał miejski program wymia-
ny pieców. Stowarzyszenie napisało projekt
uchwały – który nawet nie dotarł na radę
miasta. Z ratusza przyszło pismo z prawni-
czym belkotem na sześciu stronach. Po ja-
kimś czasie prezydent ogłasza: Mam świet-
ny pomysł. Słuchajcie, uruchomimy pro-
gram wymiany pieców.

Z punktu widzenia aktywistów, super.
Bo nieważne, kto jest bohaterem, grunt, że
sprawa załatwiona. Ale prezydent powie-
dział: „mam program”, nie „oni mają pro-
gram”. Bo „oni” nie są „nasi”, nie należą do
jego kręgu.

I to się dzieje w kilkudziesięciotysięcz-
nym mieście. A wyobraźmy sobie, że po-
wstaje 10-osobowa grupa w małej gminie
i ma pomysł, który nie odpowiada burmi-
strzowi. A matka głównego aktywisty pra-
cuje w urzędzie. A żadnej niezależnej gaze-
ty tam nie ma.

**Jeżeli ma być trwały parasol mediów
niezależnych, nad aktywistami to po-
trzebne jest finansowanie ze strony
państwa. Pan to postuluje.**

– W imieniu Stowarzyszenia Gazet Lokal-
nych.

**Finansowanie mediów lokalnych przez
państwo. Czy to nie jest kuriozum?**

– Nie finansowanie, tylko wspieranie. Zda-
ję sobie sprawę, że pierwsza reakcja będzie
albo nieufna – „o matko, państwo ma da-
wać pieniądze na gazety, to na pewno bę-
dzie rządowa kontrola, utrata niezależno-
ści” – albo balcerowiczowska: „państwo
znowu ma dawać pieniądze na coś, co jest
czyimś biznesem?”. Ale Izba Wydawców
Prasy, z którą blisko współpracujemy, przy-
gotowała opracowanie na temat progra-
mów wsparcia mediów lokalnych w róż-
nych krajach Europy. Okazało się, że ta-
kie programy istnieją od dawna, co więcej,
większość w krajach starej Unii. Dla tych
państw utrzymanie niezależnych lokal-
nych mediów jest kluczowe, bo to najwa-
żniejsza instytucja demokratyczna kontro-
lująca władzę.

Są różne sposoby wspierania. Jedne
państwa robią to poprzez dopłaty do dys-
trybucji, inne wprost do dziennikarskich
etatów, jeszcze inne ogłaszają konkursy.
Dlaczego to u nas budzi taki opór? Prze-
cież państwo, czasami poprzez samorzą-
dy, wspiera różne dziedziny życia publicz-
nego – domy kultury, kluby piłkarskie, im-
prezy rozrywkowe, festiwale. Ale uparcie
utrzymuje, że niezależne media lokalne nie
są ważne.

Bez wsparcia systemowego media nie-
zależne, które są małymi redakcjami, mo-
gą nie przetrwać. Działają na małych ryn-
kach, z małymi wpływami, wyrasta im
konkurencja w postaci gazetek burmistrza,
a cyfrowa transformacja generuje olbrzymie
koszty. Przecież ja muszę sobie zrobić
aplikację na iOS i na Google’a, co kosztu-
je niemal tyle samo, co aplikacja, którą ro-
bi duży koncern.

Problem utrzymania niezależności też
da się rozwiązać. Izba Wydawców Prasy
jest niezależna, ma autorytet w branży i to
ona mogłaby przeprowadzić konkurs, we-
ryfikować zgłoszenia i dbać o rozliczenia.

Mówimy oczywiście o wsparciu me-
diów informacyjnych, a nie plotkarskich
czy wędkarskich. Niech to działa tak, jak
np. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

**Stowarzyszenie Gazet Lokalnych napisa-
ło w tej sprawie do premiera Morawiec-
kiego.**

– Oraz do ministrów Dworczyka i Gliń-
skiego. Nie wnioskowaliśmy o finansowa-
nie mediów lokalnych, tylko o rozpoczę-
cie w ogóle dyskusji. Od części dziennika-
rzy zebraliśmy wtedy burę, że idziemy do
PiS po pieniądze. My jednak uznajemy, że
rząd to rząd. Po ośmiu miesiącach dosta-
jemy od Glińskiego odpowiedź, że prze-
cież on wspiera media i już jest taki pro-
gram. Sprawdziliśmy. Dotyczył gazetek pa-
rafialnych.

**Pokutuje też stare przekonanie, że gaze-
ty powinny utrzymywać się z reklam.**

– Ale przecież można to obywatelom
w prosty sposób wyjaśnić. Wszyscy prze-
szli do internetu, tam są czytelnicy.

Owszem, wydania papierowe na po-
ziomie lokalnym są istotne, wciąż czy-
ta je dużo ludzi, ale generalnie przyszło-
ścią jest internet. A tam jest dwóch mono-
polistów: Google i Facebook. Tych dwóch
graczy ma 60 proc. rynku. 40 proc. zosta-
je na wszystkich pozostałych. Wielki kon-
cern, który ma miliardowe odsłony, mo-
że na reklamie programatycznej – czyli ta-
kiej kupowanej automatycznie, przez algo-
rytm – trochę zarobić, ale na poziomie lo-
kalnym? Ja mam portal, działamy na tere-
nie powiatu. To około 100 tys. ludzi, mie-
sięcznie mamy 80 tys. użytkowników, czy-
li pokrycie prawie całkowite. Ale ja na re-
klamie programatycznej nie zarobię. Mógł-
bym pójść w kompletny tabloid i odsłoni,
a więc reklam, byłoby więcej, ale to nie
jest dziennikarstwo lokalne. Bo prawdzi-
we dziennikarstwo lokalne to informacja,
a nie rozrywka, którą może zająć się każ-
dy, zewsząd.

**Teraz wszyscy dyskutują, co zrobić z me-
diami publicznymi, czyli radiem i telewi-
zją. O gazetach lokalnych nikt nie mówi.**

– A dla standardów demokratycznych me-
dia lokalne są ważniejsze niż telewizja pu-
bliczna. Może nie być telewizji publicznej,
nic się nie stanie. Ale jeśli nie będzie me-
diów lokalnych, to demokracja napraw-
dę znacznie się chwiać. Władza degeneruje,
a bez kontroli społecznej degeneruje bar-
dziej, szybciej i głębiej. A państwo znajduje
pieniądze na wszystko, na piłkę nożną, na
żużel, tylko nie na media lokalne.

**Za chwilę mamy wybory samorządowe,
Czy one są wolne i równe, skoro tyle
samorządów ma własne media i puszcza
je w ruch?**

– A czy wolne i równe były wybory prezy-
denckie w 2020 roku? Jeżeli odpowiemy,
że nie, bo media publiczne uprawiały pro-
pagandę na rzecz władzy i jej kandydata,
to podobną miarę musimy stosować do sa-
morządów, które mają własne gazety.

Nie możemy powiedzieć, że jak Kur-
ski i PiS, to źle, a jak samorząd to dobrze.
Mechanizm jest identyczny. Taka sytu-
acja oczywiście wypacza wynik wyborczy.
Zwłaszcza w tych gminach, miasteczkach,
gdzie nie ma niezależnych mediów albo są,
ale abdykowały z funkcji kontrolnych. Je-
żeli nikt nie patrzy władzy na ręce, to skąd,
poza plotkami, wyborca ma wiedzieć o nie-
prawidłowościach.

**Zarzut do pana jest taki, że podcasty
i książka dotyczą wybranych samorzą-
dów, a więc obraz nie jest reprezenta-
tywny.**

– Nie chciałbym, żeby wyszło, że ja mam
ochotę zaorać samorząd. Ja bym chciał, że-
by ktoś się nad nim pochylił i go naprawił.

Owszem, w „Lokalsach” nie opisałem
dziesięciu ani stu samorządów, opisałem
jeden wybrany, przez szkiełko powiększa-
jące. Czy te mechanizmy są w innych mie-
scach? Na to odpowiada czytelnik. No więc
czytelnicy, czy to na spotkaniach autor-
skich, czy w mailach, powtarzają do znu-
dzenia jedno zdanie: A u nas też tak jest.

W ogóle nie uważam radomszczań-
skiego samorządu za jakiś specyficzny. To
samo dotyczy samorządów pokazanych
w „Małej władzy”. Każdy odcinek opowia-
da o innym problemie. Jedno miasto – je-

den problem. Nie opowiadam o całym sa-
morządzie świdnickim, bo go na tyle nie
znam. Zbadałem tylko wątek mediów sa-
morządowych. W Przedborzu najbardziej
mnie interesował wątek relacji władzy
z aktywistami. Wybieram wycinki, a czytel-
nicy i słuchacze odpowiadają na pytanie,
czy one są powszechne, czy nie. Wychodzi
na to, że niestety powszechne.

**Pamiętam, że po jednym z odcinków
„Małej władzy” w TOK FM rozdzwoniły
się telefony z całej Polski. Ludzie opowia-
dali, jak trudno rozbić lokalne układy.
W końcu dziennikarz zapytał jednego
z narzekających, no dobrze, więc co ro-
bić? Co pan proponuje? Odpowiedź był
krótka: trzeba się dostosować.**

– Czy zmiana władzy rozwiązuje problem?
Nawet jeśli przyjdą lepsi, jacyś ideowcy,
profesjonaliści, to czy za kilka lat nie bę-
dą grali tak samo? Żeby wygrać kolejne wy-
bory i dalej robić swoją robotę, będą mu-
sieli budować tę spółdzielnię pracy, szu-
kać sprzymierzeńców do przepchania wła-
snych projektów itp.

Wiele problemów – niejasne procedu-
ry zatrudniania, fikcyjne konkursy, wyda-
wanie gazet samorządowych – jest zaszy-
tych w prawie i je trzeba najpierw usprawni-
ć. Dwukadencyjność to świetny przykład
takiego uzdrawiania poprzez prawo. Jeże-
li się utrzyma, to będzie ostatnia kadencja
wielu długowiecznych samorządowców.

Dlatego najbliższe pięć lat to najlepszy
czas, żeby zrobić porządny audyt polskiego
samorządu. Odbyć wielką debatę i wyregu-
lować prawo. Tak, żeby w 2029 roku nowi
prezydenci, burmistrzowie i wójtowie we-
szli już w nowe buty.

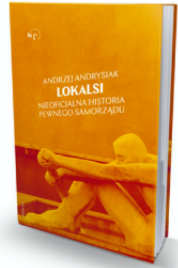
Jeśli tego nie zrobimy, znów ktoś kiedyś
będzie chciał uderzyć w samorządy. Poja-
wi się kolejna siła polityczna z zacięciem
centralistycznym, która umieści na sztan-
darach hasło naprawy samorządu. Będzie
tak, jak z PiS-owskim atakiem na sądy. I co
wtedy? Też się będziemy zastanawiać, dla-
czego ludzie tak niechętnie stają w obronie
samorządów? ●

*Andrzej Andrysiak

• wydawca Gazety Radomszczańskiej, prezes
Rady Wydawców Stowarzyszenia Gazet
Lokalnych. W przeszłości między innymi
redaktor naczelny tygodnika „Kulisy” i „Życia
Warszawy” oraz zastępca redaktor naczelnej
„Dziennika Gazety Prawnej”. Nominowany do
Grand Press, nagrody im. Torąńskiej, nomi-
nowany i nagradzany w konkursie SGL Local
Press. Ekspert fundacji Media Forum Rozwój
Lokalny. Felietonista magazynu „Pismo”.
Autor powieści „Zasada nieoznaczoności”
i książki reporterskiej „Lokalsi. Nieoficjalna
historia pewnego samorządu”. Autor serialu
podcastowego „Mała władza”, który jest
dostępny na stronie radia TOK FM.

**Paweł Krysiak

• od 1993 r. dziennikarz „Wyborczej”, kierował
redakcjami lokalnymi w Gorzowie, Zielonej
Górze, Częstochowie i Lublinie. Współtwórca
Akademii Opowieści – społecznego projektu
„Wyborczej” i Ośrodka Brama Grodzka
– Teatr NN.



„Lokalsi” Andrzeja Andrysiaka dostępni
w dobrych księgarniach, na stronie wydawcy
– Krytyki Politycznej – i w formie e-booka
na Publio.pl.



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL, GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ścieżki rowerowe, książki dla bibliotek, ławki, wymiana latarni – czy samorządowcy naciągają budżet partycypacyjny?

Arkadiusz Gruszczyński

Nowe książki do osiedlowej biblioteki, kwiaty na miejskich skwerach i nowa ścieżka rowerowa – dlaczego te ważne sprawy są finansowane z budżetów partycypacyjnych, skoro powinny być wpisane do standardowego miejskiego budżetu?

Biblioteki powinny mieć po prostu pieniądze na regularne uzupełnianie zbiorów w księgarniach, miejscy ogrodnicy mogliby lepiej planować nasadzenia – konieczne w czasach katastrofy klimatycznej – jeśli na początku każdego roku znalazłyby budżety, a podstawowym obowiązkiem urzędników i burmistrzów jest rozbudowa infrastruktury rowerowej, utrzymanie miejskiej zieleni czy chodników. Wniosek: budżet partycypacyjny stał się wydumską.

Postawmy diagnozę: jeśli przez szereg lat do budżetu obywatelskiego/partycypacyjnego (używam tych dwóch określeń zamiennie, oznaczają to samo) są zgłaszane dosłownie te same propozycje, to powinny być one finansowane z ogólnego budżetu. To raz.

Dwa – czy projekty zgłaszane przez szkoły, domy kultury, a nawet przychodnie powinny być brane pod uwagę? Nie, ponieważ stoją za nimi najczęściej dyrektorzy szukający dodatkowego (a coraz częściej, w związ-

ku z cięciami, wręcz podstawowego) finansowania na ważne inwestycje.

Po trzecie – budżety obywatelskie jako jedyne narzędzie zwiększające partycypację obywatelską w polskich miastach nie spełniają pokładanych w nich nadziei.

Z tymi teza zgłosiłem się do trójki badaczy. Ale najpierw trochę historii.

Pierwsze polskie miasta, gdzie wprowadzono budżet obywatelski, to Sopot, Bydgoszcz i Elbląg. Mówimy o okolicy 2010 roku. W Warszawie własne pomysły, które są opłacane z miejskiej kasy, możemy zgłaszać od 10 lat. W gminach na prawach powiatu budżety partycypacyjne są obowiązkowe, a środki przekazane pod głosowanie nie mogą być niższe niż pół procenta całego budżetu miasta. W Warszawie zaczynało od 26 mln zł, teraz to ponad 100 mln zł. W Głogowie to kwota 2,6 mln zł, a w Zamostcu – ponad 3 mln zł.

Ale początki budżetów obywatelskich sięgają lat 90. i brazylijskiego miasta Porto Alegre. Tamtejszy budżet partycypacyjny wyglądał zupełnie inaczej niż (w założeniu) jego polski odpowiednik. Mieszkańcy spotykali się w świetlicy i rozmawiali o kanalizacji, mieszkaniach, budowie chodników i dróg, pomocy społecznej, przychodniach, szkołach, komunikacji publicznej, a także o instytucjach kultury.

Następnie – jak pisze w opracowaniu „Budżet partycypacyjny. Jak mieszkańcy mogą współdecydować o budżecie miasta?” dr Marta Szaranowicz-Kusz – musieli wskazywać priorytetowe obszary dla danej dzielnicy. „Bardzo istotnym elementem procesu budżetu partycypacyjnego była polityka informacyjna o wydatkowaniu środków publicznych. Od 1990 roku w Porto Alegre funkcjonuje sieć placówek informujących o strukturze i składnikach budżetu, zasobach administracji i planach inwestycyjnych”. W pierwszym roku w spotkaniach

wzięło łącznie udział niespełna tysiąc osób, w 2004 roku – ponad 50 tys. Choć oczywiście trzeba przypomnieć, że w Porto Alegre mieszka 3 mln osób.

Statystyki jasno pokazują obszary, jakie na początku lat 90. interesowały Brazylijczyków:

- w 1989 r. kanalizację miało zaledwie 49 proc. populacji Porto Alegre. W wyniku decyzji mieszkańców w 2001 r. zapewniono ją 98 proc. populacji miasta,
- liczba uczniów szkół podstawowych i średnich wzrosła w tym czasie o 240 proc.
- dostęp do wody i elektryczności jest bardziej powszechny niż w innych miastach,
- w 1990 r. nie było w mieście żadnej spółdzielni pracowniczej. W 1998 było ich już 51.
- wpływy do budżetu z lokalnych podatków wzrosły na przestrzeni lat o 144 proc.

Sukces Porto Alegre był najważniejszym argumentem aktywistów miejskich w Polsce, którzy zaczęli pojawiać się w naszym krajo-brazie mniej więcej w połowie pierwszej kadencji rządu Donalda Tuska. Skoro z kranów zaczęła płynąć ciepła woda, to bardziej świadomości mieszkańców, z odpowiednim kapitałem kulturowym i licznymi kontaktami w mediach, zaczęli się zastanawiać nad przyszłością miast. A mówiąc konkretniej: społecznicy szukali sposobu na zwiększenie społecznego udziału – pardon, partycypacji – w procesach podejmowania decyzji w miastach.

A używając bardziej ludzkiego języka: aktywiści chcieli, żeby jak najwięcej ludzi kontrolowało władzę, brało udział w konsultacjach czy chodzili na sesje rad miasta.

Aż do połowy poprzedniej dekady powszechnie sądzono, że decyzje urzędników są niepodważalne, a jedynym zadaniem mieszkańców jest udział w wyborach. Aktywiści potem stali się politykami, a ich agenda została wchłonięta przez Platformę Obywatelską, a nawet PiS, ale to zupełnie inna opowieść. Interesuje mnie coś innego: skoro

wiemy, jak raptem przez dekadę wypaczyła się idea obywatelskiego współdecydowania o finansach w Polsce, a wszystko zaczęło się w Porto Alegre, sprawdźmy, jak tam działa budżet obywatelski w 2024 roku?

Mówiło się, że budżet obywatelski został tam zlikwidowany, ale tak naprawdę był przez jakiś czas zawieszony – informuje mnie Borys Martela, badacz z Obserwatorium Polityki Miejskiej i Regionalnej IR-MiR. Do zmian doszło, kiedy w brazylijskim mieście przestała rządzić Partia Pracowników, a ich prawicowi następcy nie przepadali za ideą oddawania mieszkańcom jakiegokolwiek władzy. – Bez wątpienia jednak brazylijskie budżety są w kryzysie. Wiele miast z nich zrezygnowało. A te, które zostały, coraz bardziej przypominają polskie odpowiedniki. Spada znaczenie lokalnych i dzielnicowych dyskusji, a decyzje w większym stopniu zapadają w internecie – precyzuje Martela.

To sprawdźmy, jak działa budżet obywatelski nad Wisłą. Główny Urząd Statystyczny zaczął trzy lata temu zbierać o nim informacje. Co roku taki budżet organizuje około 300 gmin. Pomijając pandemię, zmiany są raczej niewielkie. Równie stabilne jest finansowanie. – Z naszych badań wynika, że mieszkańcy decydują średnio o 0,35 proc. budżetu gminy. Ten odsetek rośnie w większych miastach, a spada w mniejszych. Niemal wszędzie jednak projekty wybiera się w podobny sposób. Czyli najpierw ludzie zgłaszają pomysł, przechodzi on weryfikację w urzędzie, następnie odbywa się głosowanie i na koniec ratusz zleca jego realizację – opowiada Martela.

Ludzie zgłaszają różnorodne projekty. Od warsztatów dla dzieci po nowe przejścia dla pieszych, siłownię plenerową, remont boiska. Mieszkańcy chcą sadzić nowe drzewa i krzewy, zdarzają się pomysły takie, jak edukacja seksualna, czy odbudowa słynnej



▲ Listopad 2022, Częstochowa, otwarcie wybiegu dla psów przy ul. Niedługiej

◄ Listopad 2021, Kraków, kolorowe schody w dzielnicy Stare Podgórze, odnowione w ramach budżetu obywatelskiego

◄ Maj 2023, Sopot, ławki na plaży przy molo, kupione z budżetu obywatelskiego

▼ Wrzesień 2020, Street Workout w parku miejskim



tęczy na Placu Zbawiciela. Pytanie jest inne: czy marzenia aktywistów sprzed ponad dekadę zostały zrealizowane?

– Początkowo sporo osób związanych z ruchami miejskimi wyobrażała sobie, że budżet obywatelski może być narzędziem, które doprowadzi do większych zmian społecznych. I te oczekiwania nie zostały spełnione. Aktywiści sądzili, że do Polski zostaną przeniesione metody z Porto Alegre, że ludzie będą spotykali się w świetlicach i żywo dyskutowali o lokalnych inwestycjach z przedstawicielami urzędów. Ponad 10 lat temu oczekiwano, że dzięki budżetom partycypacyjnym zaktywizują się rzesze mieszkańców, którzy będą decydowali o swoich miastach. A skończyło się na zwykłym głosowaniu – odpowiada Martela.

Dodaje, że w Porto Alegre udało się głównie zaktywizować osoby pochodzące z klas ludowych, a nie tylko średniej, tak jak to ma miejsce w Polsce. – Budżet brazylijski wiązał się z ideałami sprawiedliwości społecznej, zadbaniu o peryferyjne dzielnice i poprawie losu grup wykluczonych. To się w Polsce nie wydarzyło.

Z budżetu obywatelskiego jest zadowolona socjolożka (oraz aktywistka miejska, m.in. obrończyni lokatorów czy niedochodowych obiektów użyteczności publicznej) dr Joanna Erbel. – Mało kto pamięta, ale jakoś do 2015 roku największe polskie miasta były zarządzane w sposób technokratyczny, przez kilka lat jako aktywistki miejskie wywierałyśmy presję polityczną na prezydentów, którzy w końcu zrozumieli, że mieszkańcy domagają się partycypacji – opowiada mi Erbel. Urzędnik był nieomylny, mieszkańcy mogli w ratuszu załatwić wyłącznie sprawy formalne, a prezydenci miast inwestowali w strefy ekonomiczne i rozbudowę dróg, a nie w miękkie działania.

– Urzędy przeszły transformację. Ich pracownicy musieli nauczyć się rozmowy z mieszkańcami, którzy chcieli zrobić coś na terenie należącym do miasta. I w pewnym momencie przejąć kontrolę nad zgłoszonym projektem. Poprawiła się więc komunikacja między urzędem a mieszkańcami – mówi Erbel. I faktycznie, urzędnicy nauczyli się odpowiadać sprawnie na maile, odbierać telefony i prowadzić uprzejmą rozmowę bez wywyższania się. To na pewno po części zasługa budżetu partycypacyjnego, ale też większej świadomości społecznej czy rozwoju mediów społecznościowych, w których można opublikować krytykę urzędu.

Moja rozmówczyni podaje jeszcze jeden sukces: projekty składane do budżetów wyznaczają nowe miejskie trendy. – 10 lat temu wszyscy krytykowali domki dla owadów zapyłających, dzisiaj są na każdym kroku, tak samo jak inne pomysły związane z bioróżnorodnością w mieście. Chociażby łąki kwietne, nasadzenia roślin w każdej części Warszawy. To samo można powiedzieć o fali projektów rowerowych. Kiedy osiągnięto masę krytyczną, urząd zaczął z własnej ini-

cyjatywy wyznaczać nowe ścieżki, uruchomił system rowerów miejskich czy uporządkował ruch na Świętokrzyskiej – wylicza Erbel.

Ulica, o której opowiada, przeszła metamorfozę dzięki debacie, jaką zapoczątkowali aktywiści i dziennikarze. Dzisiaj jest wzorcową częścią miasta z szerokim chodnikiem, ścieżką rowerową i zwężoną ulicą. Wszystko tonie w zieleni.

Prof. Przemysław Sadura, socjolog związany z Uniwersytetem Warszawski, który ponad 10 lat temu razem z Fundacją Pole Dialogu testował budżet obywatelski w stołecznym Domu Kultury Śródmieście, krytycznie ocenia to, co zostało z ideałów partycypacyjnych. – To oczywiste, że mieszkańcy powinny mieć wpływ na decyzje podejmowane w urzędach. Trzeba jednak zweryfikować obecne założenia budżetów obywatelskich. Krytycznie podchodzę do stosunkowo niewielkich kwot, jakie są przekazywane do dyspozycji mieszkańców. To oznacza, że realizowane są wyłącznie mniejsze projekty, takie jak budowa krótkiego odcinka ścieżki rowerowej, zamontowania kilku nowych latarni czy nasadzenia krzewów – opowiada Sadura, a ja od razu zwracam mu uwagę, że zdarzają się nieco większe

Słynny budżet partycypacyjny w Porto Alegre wiązał się z ideałami sprawiedliwości społecznej, zadbaniu o peryferyjne dzielnice i poprawie losu grup wykluczonych. To się w Polsce nie wydarzyło

projekty, takie jak nowe i duże place zabaw czy kilkaset drzew w całym mieście.

– Jasne, ale mieszkańcy nie mogą zdecydować o naprawdę wielkiej inwestycji. Budżety partycypacyjne nie zakładają budowy tramwaju, wyznaczenia nowej trasy autobusu czy postawienia od zera osiedlowej biblioteki – odpowiada profesor i po chwili dodaje, że mieszkańcy raz w roku uczestniczą w karnawale obywatelskim, który zmienia znacząco miast. – Ludzie zgłaszają małe projekty, które oczywiście mają sens, ale urzędnicy powinni jednocześnie zaprosić mieszkańców do realnego kształtowania tego, czym jest współczesne miasto – zaznacza Sadura. Mówiąc inaczej: w budżecie partycypacyjnym powinna pojawić się nowa kategoria dużych, drogich projektów rozłożonych na lata.

Na to wszystko nakłada się niedofinansowanie instytucji publicznych, które usiłują naciągnąć koldrę a to na szyję, a to na stopy, rywalizując w interesie swojej klienteli.

– Z jednej strony seniorzy chcą nowej ławki w parku, a z drugiej o te same pieniądze stara się szkoła, która chciałaby wyremontować salę komputerową, albo dom kultury, który chciałby zbudować podjazd dla osób z niepełnosprawnościami. Dyrektorzy instytucje mogą szybciej i łatwiej mobilizować mieszkańców, którzy w trakcie głosowania oddadzą głos na szkołę i dom kultury, a nie na jedną ławeczkę w sąsiednim parku – obrazuje prof. Sadura.

Władze samorządowe powinny widzieć te problemy – starego sprzętu w sali komputerowej czy niedostosowania budynku dla osób poruszających się na wózkach – i przekazywać im fundusze z normalnego budżetu, który przecież po coś jest. Socjolog: – Došlo do skolonizowania budżetu obywatelskiego przez instytucje publiczne. Choć na pewno pracownicy bibliotek, szkół czy domów kultury muszą utrzymywać tym samym bliższe relacje z mieszkańcami.

Sadura krytykuje również metodę głosowania, która oznacza rywalizację, dzieli ludzi na wygranych i przegranych. Przypominam sobie o corocznej gali organizowanej przez warszawski ratusz, w trakcie której prezydent miasta ogłasza zwycięzców. – W miejsce głosowania można wyobrazić sobie panel obywatelski, w którym biorą udział wybrani mieszkańcy i mieszkanki, mający wyrobioną opinię w omawianej kwestii. A może nie trzeba likwidować głosowania, tylko połączyć je z kilkoma panelami, gdzie dyskutowano by o najważniejszych potrzebach osiedla czy dzielnicy? – zastanawia się Sadura.

Rozmawiam z socjologiem, więc na koniec nie mogło zabraknąć nieco teorii. – Rozróżniamy dwa modele kapitału społecznego: inkluzywny i ekskluzywny, czyli włączający i łączący. Obecna formuła budżetu obywatelskiego, w którym wszyscy rywalizują o ograniczone środki, nie sprzyja budowaniu pomostów, nie buduje inkluzywnego kapitału społecznego. Mamy więc do czynienia ze społecznym klejem, a nie ze smarem. Mówiąc inaczej: zamiast budować współpracujące ze sobą społeczeństwo, obserwujemy rywalizację licznych małych plemion.

Martela twierdzi jednak, że to, o czym rozmawiamy, zauważają wyłącznie niektórzy aktywiści i badacze. Mieszkańcom budżet partycypacyjny raczej się podoba. – Zwykli ludzie narzekają raczej na niskie kwoty, jakie mogą przeznaczyć na zrealizowanie wymarzonego projektu albo na niejasne kryteria weryfikacji na poziomie urzędów – mówi. Dopowiada, że w polskich miastach średnio co dziesiąty mieszkaniec uczestniczy w wyborze projektów zgłoszonych do budżetu obywatelskiego.

Według Marteli to całkiem przyzwoity wynik, szczególnie jeśli się go porówna do frekwencji w wyborach do rad osiedli. – Ludzie cenią budżety obywatelskie, ponieważ dają poczucie sprawczości. Można przetestować jakieś progresywne rozwiązanie lub powiedzieć władzom o potrzebach, które były dotąd pomijane.

Martela nie krytykuje projektów zgłaszanych przez instytucje publicznego, ponieważ chodzi o ten sam budżet gminy. – Czy to kupno książek do biblioteki i remont chodnika, założenie parku i dofinansowanie zajęć dla uczniów, czy wybudowanie nowych boisk albo pomoc dla schroniska dla zwierząt – to są wszystko zadania gminy. I nie ma różnicy, jaką metodą zostaną zrealizowane. Budżet to też rozmowa o tym, co jest ważne dla mieszkańców. I głosowanie na projekty to w jakiejś mierze pokazuje.

Pytam, czy coś należałoby poprawić w budżecie, czy na pewno dobrze działa. Badacz odpowiada, że samorządy powinny mieć większą swobodę w wyborze modelu budżetu obywatelskiego. Utrudnia to obowiązujące prawo wymuszające podobne rozwiązania dla wszystkich. – A przecież projekty można wybierać w różny sposób. Jedni mogą głosować, inni prowadzić dyskusje w dzielnicach, a kolejni eksperymentować jeszcze w inny sposób. Czy wybór projektów przez panel obywatelski to dobry pomysł? Nie wiem, ale dobrze byłoby to sprawdzić. Pozwoliłbym też gminom wprowadzić dolną granicę wieku. Teraz głos może oddać nawet 2-letnie dziecko. To absurd, bo budżet obywatelski ma wiążący charakter. To coś więcej niż konsultacje.

Problemem, zdaniem Marteli, jest też konieczność wyboru zadań tylko jednorocznych. To też należałoby poluzować.

Erbel podaje przykład Bierunia, gdzie działają dwa budżety obywatelskie. Pierwszy dotyczy wyłączonej projektów ekologicznych, drugi całej reszty. – Urzędy mogłyby co roku wydzielać jeden z obszarów i pytać mieszkańców, co chcieliby zmienić w mieście. Warto też zastanowić się nad mniejszymi projektami – odpowiada.

A czy skolonizowanie budżetu przez instytucje jest problemem? – Nie, ponieważ pokazuje priorytety, jakie powinien realizować ratusz. Wraz z projektami zgłaszanymi przez biblioteki czy szkoły powinna odbyć się dyskusja o realnych potrzebach, w której powinni brać udział radni i urzędnicy. Skoro mieszkańcy chcą mieć więcej nowych książek, to radni powinni w przyszłości przekazać dodatkowe pieniądze do budżetów bibliotek – twierdzi Erbel.

Socjolożka opowiada mi, że budżet obywatelski należałoby potraktować jako diagnozę lokalnych potrzeb. – Skoro ktoś zgłasza postulat doświetlenia konkretnej części dzielnicy, to być może jest tam widoczny problem z bezpieczeństwem. Jeśli mieszkańcy chcą przejścia dla pieszych, to trzeba zbadać, dlaczego.

Poza tym urzędy mogłyby zachęcać aktywnych społecznie mieszkańców do jeszcze większego zaangażowania.

– Skoro ktoś poświęca wolny czas na zebranie podpisów, a potem na promocję swojego projektu, to może chciałby wziąć udział w kolejnych konsultacjach albo pracować jako wolontariusz w domu seniora? Ta osoba mogłaby przecież aktywizować innych – zauważa Erbel.

I apeluje: samorządy powinny w tej kwestii jak najszybciej zacząć działać, ponieważ 15 października ujawniła się nowa, społeczna energia. – Okazało się, że zaproszono nas współtworzenia demokracji, a teraz nie wiadomo, co dalej. Wydaje się, że społeczeństwo wzięło sprawy w swoje ręce, a lokalna demokracja jest najlepszym miejscem na spożytkowanie tej energii – uważa.

Oczywiście – dodaje – nie wszyscy muszą się angażować. – Istnieje świetnie opisane prawo do świętego spokoju. I te postawy też należy szanować – uśmiecha się socjolożka.

I ta myśl jakoś mnie ciekawi: skoro w głosowaniach bierze udział mniej więcej 10 proc. mieszkańców, to cała reszta nie interesuje się sprawami lokalnymi. Albo: nie ma czasu na zajmowanie się samorządem, ponieważ ma pracę, kredyt, rodzinę i chorych rodziców. Czy w czasach dorobku zaangażowanie obywatelskie jest możliwe? Tak, pokazała to rekordowa frekwencja 15 października. ●

100 dni rządu

O WSZYSTKIM
DECYDUJE KIEROWNIK

Groźne pomruki Tuska, Hołowni, Kosiniak-Kamysza w sprawie aborcji i składki zdrowotnej to głównie spektakl. Naprawdę kłócą się o atom – i o nudną ustawę o działach administracji rządowej

Dominika Wielowieyska

Napięcia w koalicji rządzącej to w dużej mierze teatr na użytek wyborów samorządowych. Nie są tak głębokie, jak można sądzić. A największe konflikty dotyczą nie aborcji, lecz podziału wpływów wewnątrz rządu i ustawy o małym emocjonującym tytule: „o działach administracji państwowej”.

Lewica alarmowała, że marszałek Sejmu Szymon Hołownia nie kieruje projektów ustaw dotyczących aborcji do rozpatrzenia i oburza się, że uczyni to dopiero po wyborach samorządowych. Lewica doskonale wie, że prezydent Andrzej Duda zawetuje każdą ustawę i miesięczna zwłoka nie ma większego znaczenia. Oczywiście i Lewica, i Koalicja Obywatelska wołałaby, aby ustawa była gotowa i gniew kobiet skierowałby się wtedy przeciwko Dudzie. Tyle że ustawa w ich wersji – z legalną aborcją do 12. tygodnia – nie ma większości w Sejmie. Blokującymi będą PSL i jedna trzecia klubu Polski 2050.

Hołownia to wie. Uznał, że czyjś wniosek o odrzucenie projektów w pierwszym czytaniu może przejść, bo ludowcy go poprą. Będą obawiali się, że proboszczowie w powiatach i gminach będą wyklinać na ich kandydatów. A po wyborach tego zagrożenia nie będzie i część np. nie przyjdzie na głosowanie.

Główny cel koalicji jest taki, by wszystkie projekty dotyczące aborcji, i te liberalne, i ten przywracający tzw. kompromis, znalazły się w komisji sejmowej Lewicy czy KO, ale byłoby tu pole do porozumienia na etapie prac komisji sejmowej. Niemniej mało kto wnika w te szczegóły, bo twarzą partii jest Hołownia i dlatego PL2050 jest postrzegana jako konserwatywna. Tusk na to właśnie zwraca uwagę. W wyborach 15 października faktycznie część wyborców wsparła Trzecią Drogę, bojąc się, że nie przekroczy progu. W innym przypadku głosowałaby na KO. Teraz takiej obawy nie ma.

Poza tym najprawdopodobniej sondaże wewnętrzne pokazały, że nie jest pewne, iż w wyborach do sejmików wojewódzkich, a więc najbardziej zbliżonych charakterem do parlamentarnych, KO prześcignie PiS. Sondaże jeszcze kilka tygodni temu pokazywały trend, który wskazywał na zwycięstwo partii Tuska. Ale teraz KO i PiS idą lew w lew. Według sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski największym poparciem cieszy się obecnie PiS, na które chce zagłosować 29 proc. ankietowanych. KO chce poprzeć 28 proc., Trzecią Drogę – 13,5 proc. Dalsze miejsca zajmują Konfederacja (8,6 proc.) i Nowa Lewica (7,6 proc.). Inne sondaże pokazywały zwycięstwo KO, ale

na zawsze, nie na 100 dni. Polacy chcą od rządu efektów: reformy szpitali, lepszej szkoły i prostych podatków. To cel zapisany w 12 gwarancjach Trzeciej Drogi i Polski 2050. Panie Premierze, dość kłótni – do przodu”. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił coś w podobnym duchu, choć było to raczej rytualne zajęcie stanowiska niż żywa reakcja na Tuska. Robert Biedroń, wiedząc, że wpis premiera w gruncie rzeczy dotyczy aborcji, też się dołączył: „Taktyczne głosowanie części zwolenników Lewicy na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach jedynym kryterium będą nasze własne przekonania”. Adriana Porowska, kandydatka Trzeciej Drogi na wiceprezydentkę Warszawy, odpowiedziała Biedroniowi: „Taktyczne zagrania Lewicy to jedyne, co macie do zaoferowania. Marzenia o wielkiej polityce przysłoniły Wam problemy zwykłych ludzi. I to dlatego są z nami”. To z kolei doczekało się złośliwej riposty bardzo aktywnej w mediach społecznościowych szefowej klubu Lewicy Anny Marii Żukowskiej.

Takiego boksowania w mediach społecznościowych jest sporo, ale nie ma to większego znaczenia.

Wpis Tuska nawiązywał do sporu wokół aborcji, bo elektoraty KO oraz Polski 2050 są w dużej mierze podobne. A Tusk wie, że olbrzymia część wyborców PL2050 jest za liberalnym prawem aborcyjnym. Chciał im pokazać, że ich głosowanie na Trzecią Drogę to głosowanie na konserwatystów. Dlatego zachęca do poparcia KO.

Większość PL2050 – około 20-25 posłów z 32-osobowego klubu – jest za prawem bardziej liberalnym niż tzw. kompromis. Może nie chcą popierać ustawy w wersji Lewicy czy KO, ale byłoby tu pole do porozumienia na etapie prac komisji sejmowej. Niemniej mało kto wnika w te szczegóły, bo twarzą partii jest Hołownia i dlatego PL2050 jest postrzegana jako konserwatywna. Tusk na to właśnie zwraca uwagę. W wyborach 15 października faktycznie część wyborców wsparła Trzecią Drogę, bojąc się, że nie przekroczy progu. W innym przypadku głosowałaby na KO. Teraz takiej obawy nie ma.

Poza tym najprawdopodobniej sondaże wewnętrzne poka-



• **Premier Donald Tusk i ministrowie w Sejmie. „Nie ma co się łudzić, że ktoś może coś ugrać bez zgody Tuska”**

zały, że nie jest pewne, iż w wyborach do sejmików wojewódzkich, a więc najbardziej zbliżonych charakterem do parlamentarnych, KO prześcignie PiS. Sondaże jeszcze kilka tygodni temu pokazywały trend, który wskazywał na zwycięstwo partii Tuska. Ale teraz KO i PiS idą lew w lew. Według sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski największym poparciem cieszy się obecnie PiS, na które chce zagłosować 29 proc. ankietowanych. KO chce poprzeć 28 proc., Trzecią Drogę – 13,5 proc. Dalsze miejsca zajmują Konfederacja (8,6 proc.) i Nowa Lewica (7,6 proc.). Inne sondaże pokazywały zwycięstwo KO, ale

ostatnio coraz częściej pojawiały się badania, w których jednak PiS nieznacznie wyprzedza KO. A ma to duże psychologiczne znaczenie, nawet pół procenta może zdecydować o kolejności komitetów wyborczych. Stąd ofensywa Tuska, by wzmocnić KO kosztem koalicjantów.

Ale owszem, te wybory będą tak czy owak triumfem Koalicji 15 Października.

Wynik poprzednich wyborów samorządowych był następujący: PiS rządziło w ośmiu sejmikach wojewódzkich – samodzielnie lub w koalicji. W pozostałych ośmiu

większość miała KO i PSL. Na Śląsku PiS zyskał władzę dzięki zdradzie Wojciecha Kałuży, ale pod koniec kadencji partia Kaczyńskiego straciła ten sejmik.

Teraz PiS prawie na pewno straci część sejmików, może obroń się tylko na Podkarpaciu, Lubelszczyźnie i w Małopolsce. Pod znakiem zapytania jest Świętokrzyskie i Podlasie.

Niemniej dla Tuska bardzo istotne jest nie tylko to, by odbić jak największą liczbę sejmików, ale to, by to KO przyszła jako pierwsza na metę, jeśli chodzi o zbiorowy wynik. To dałoby KO potwierdzenie dobrego trendu przed wyborami europejskimi

FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

i prezydenckimi. Przegrany przez PiS wybory europarlament może oznaczać dezintegrację tego obozu, a to wzmocni Tuska.

Ostatni wpis premiera na X brzmi: „Zostawili nam rekordowy dług, wszechobecną korupcję, zdeprawowane media, partyjną prokuraturę, chaos w sądach, tysiące krewnych i znajomych w spółkach, bałagan w rolnictwie, skompromitowaną dyplomację, wetującego prezydenta i partyjniaka w NBP. Kończymy porządki i przyspieszamy!”. To ma ma wzmoczyć wyborców i nadać kampanii nową dynamikę.

Bo ostatnimi czasy rządzący znaleźli się w defensywie. W KO źle postrzega się ostatnie posiedzenie komisji śledczej ds. Pegasusa. Powszechnie uważa się, że jej szefowa Magdalena Sroka (Trzecia Droga – PSL) nie zapanowała nad rokoszem polityków PiS. W piątek odbyło się przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego i członkowie komisji byli bezradni wobec poczynani lidera PiS. Kaczyński odmówił złożenia pełnej przysięgi, nie dał się sprowokować, wyśmiewał się z komisji i jego partia ogłosiła triumfalnie, że prezes ze starcia wyszedł zwycięsko. Wyborcy Koalicji 15 października skupili się na prostackim języku i jeszcze bardziej Kaczyńskiego zniechęcili. Jednak on zdołał przekonać swój elektorat, że stary wróbel nie da sobie dmuchać w kaszę.

Poza tym przewodnicząca powinna szybko reagować na harce posłów PiS i stosować ostrzeżenia, a następnie ich wykluczać, bo z premedytacją rozbijali posiedzenie. Zrobiła to za późno, dopiero gdy wniosek złożył Marcin Bosacki (KO).

Sytuację wizerunkowo próbował ratować jeden z najbliższych współpracowników premiera, minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz, który na X napisał: „Zmiana ról: Kaczyński tłumaczy się z Pegasusa przed komisją śledczą, a Tusk skutecznie walczy o polskich rolników w UE. Właśnie tak miało być”. Do tego media społecznościowe obiegu zdjęcia, na którym Tusk w piątek maszeruje z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem i kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem. Przekaz: Tusk jest jednym z głównych rozgrywających w Unii Europejskiej (co zresztą jest prawdą). Jednocześnie premier próbował ośmieszyć Kaczyńskiego. Prezes PiS dowodził na komisji, że aby zeznawać, musi mieć pozwolenie premiera. Tusk napisał więc: „Podobno prezes Kaczyński czeka na moją zgodę, aby zacząć zeznawać. No więc proszę mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Przed każdą komisją i w każdej sprawie. Zezwalam”. (Tak na marginesie, gdy Kaczyński będzie zeznawał na posiedzeniu niejawnym, taki kwit z kancelarii premiera, jako dopełnienie procedur, będzie gotowy. Pytanie, dlaczego prezydium komisji nie przygotowało się na taki manewr Kaczyńskiego przed pierwszym piątkowym posiedzeniem.

Kontrofensywa Tuska i Sienkiewicza nie zatarła złego wrażenia. Triumf Kaczyńskiego to zła wiadomość dla KO, mobilizacja elektoratu PiS po takim występie może być większa. Stąd szybka zmiana agendy i informacja o tym, że koalicja już szykuje się

postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Ogłosił to sam premier. Nowa władza zarzuca prezesowi NBP nieumiejętną walkę z inflacją i zaangażowanie na rzecz PiS w kampanii wyborczej: chodzi m.in. o kłamstwa na temat wyników finansowych NBP za zeszły rok.

Obserwujemy przepychanki lub groźne pomruki poszczególnych koalicjantów. Problemem jest nie tylko aborcja, ale także składka zdrowotna. Trzecia Droga stawia tę sprawę na ostrzu noża. – Zmienimy zasady poboru składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. To jest bezwzględna i niepodlegająca negocjacom koalicyjnym umowa. Jeśli tego nie będziemy mogli zrealizować, nie podpiszemy się pod innymi projektami – zapowiedział szef ludowców. Poparł go Hołownia. Chodzi o zmiany wprowadzone przez PiS, które sprawiają, że podatnicy nie odliczają składki od podatku – i płacą więcej. To uderzyło w drobnych przedsiębiorców, którzy są rozgorzчени, że nic w tej sprawie się nie dzieje. Tymczasem KO składkę umieściła na liście „100 konkretów na 100 dni”.

A te sto dni właśnie minęło. Ministra zdrowia Izabela Leszczyna i minister finansów Andrzej Domański zapowiadają, że zaraz pojawiają się konkretne propozycje zmian. Pytanie, jakie te zmiany będą. Bo Lewica nie pali się, by ulżyć przedsiębiorcom i twardo zapowiada, że owszem można zmienić system stworzony PiS, ale nie ma powrotu do stanu sprzed Polskiego Ładu rządu Mateusza Morawieckiego. I ci przedsiębiorcy, którzy mają wysokie przychody, powinni podwyższoną składkę płacić.

podatku, która miała wynieść aż 60 tys. zł.

Kto się z kim najbardziej kłóci w Koalicji 15 Października? PSL żyje dobrze z Tuskiem, bo te partie mają rozdzielne elektoraty, nie wchodzą sobie w drogę. Dlatego ich sojusz w sejmikach był i jest bardzo trwały, podobnie jak trwały był w latach 2007-15. PSL nie szkodzi, że inni wyklinają jego konserwatywne poglądy. Wręcz przeciwnie, jeśli Tusk podszczypuje Trzecią Drogę, to ludowcy są zadowoleni, bo uważają, że samym faktem, iż blokują zmiany w ustawie aborcyjnej, przyciągną umiarkowany elektorat konserwatywny. PSL staje się nadzieją na blokowanie radykalnie antykościelnych i lewicowych projektów, więc lepiej wzmocnić ich pozycję – mogą pomyśleć umiarkowani wyborcy PiS spoza twardego elektoratu.

Poza tym ludowcy są wyluzowani, bo w wyborach samorządowych zazwyczaj wypadają nieźle, a teraz dodatkowo notowania PiS osłabły.

Tusk z kolei dba o Kosiniaka-Kamysza, nie chce, aby politycy PiS tacy jak Morawiecki w dłuższej perspektywie kusili PSL współpracą.

Gdy szefowa resortu edukacji Barbara Nowacka już na samym początku urzędowania ogłosiła, że zamiast dwóch lekcji religii będzie tylko jedna i ona może to zrobić w drodze rozporządzenia, zagotował się nie tylko episkopat, ale także niektórzy ludowcy – i Tusk poprosił Nowacką, aby na razie ten pomysł odłożyła na półkę. Stąd wzięło się rozporządzenie, które mówi tylko o tym, że ocena z religii nie będzie wliczana do średniej. Ludowcy doce-

do – ale też wzmoczenie medialnych działaczy PiS, którzy prowadzili debatę, było nastawione na pognębienie Tuska, dzięki czemu lider PL2050 mógł za-błysnąć.

Co ostatecznie zdecydowało o takim, a nie innym wyniku TD? Pewnie wszystko po trochu. Niemniej w Polsce 2050 są ludzie, którzy odeszli z PO z powodu rozczarowania tą partią. Dlatego są bardziej drażliwi, jeżeli chodzi o wpływy Tuska. Obawiają się dominacji silniejszego partnera. I losu Nowoczesnej, która została wchłonięta przez KO.

Jednym z przykładów takich napięć jest projekt ustawy o działach administracji rządowej. Tytuł ustawy brzmi nudnie, ale w rzeczywistości wzbudza wiele emocji. W Polsce 2050 buzuje.

Już w styczniu objawił się spór pomiędzy ministerstwem klimatu i środowiska, którym kieruje Paulina Henning-Kloska z PL2050, a ministerstwem przemysłu, na którego czele stoi wskazana przez Tuska prof. Marzena Czarnecka. Poszło o to, kto będzie nadzorował rozwój energetyki jądrowej. Tusk ewidentnie nie chce tego oddawać koalicjantom, bo to strategiczna działka ściśle powiązana z polityką graniczną. Przed rządem kluczowe decyzje: trzeba zdecydować co dalej z projektem elektrowni, który mają realizować amerykańskie firmy Westinghouse i Bechtel. Czy mamy budować drugą, a jeśli tak, to z kim? Z Francuzami (koncern EDF) czy Amerykanami? I czy rząd nadal będzie wspierał projekt Zygmunta Solorza i Koreańczyków? A jeszcze jest pytanie o małe reaktory atomowe, przedsięwzięcie Micha-

kę i surowce, za poprzednich rządów był zaskakiwany rozmaitymi decyzjami i teraz chce to całkowicie kontrolować. Argument jest taki, że Hennig-Kloska dała się już raz wpłatać w awanturę wokół wiatraków. Chodziło o wrzutkę do ustawy zamrażającej ceny energii, w której pojawiły się przepisy liberalizujące warunki budowy farm wiatrowych – m.in. skrócono dystans, jaki może dzielić budynki mieszkalne od wiatraków (z 700 do 300 metrów). Ostatecznie zdecydowano, że te kwestie rozwiąże osobna nowelizacja ustawy. Wniosek KO: Hennig-Kloska może sobie nie poradzić z tak wrażliwą materią, jak energetyka jądrowa czy strategiczna infrastruktura.

Inna zła wiadomość dla ministrowi z Polski2050: PSL walczy o Lasy Państwowe dla ministerstwa rolnictwa, którym kieruje ludowiec Czesław Siekierski. Dziś leśnictwo podlega resortowi klimatu.

Sporo jest też napięć, jeśli chodzi o nominacje, zależne od rządu. Nawet jeśli poszczególne partie koalicji mają swoje pomysły personalne, to jednak polityką kadrową twardą ręką zarządza Tusk i jego najbliżsi współpracownicy. A filozofia Tuska jest bardzo prosta: decyzje personalne w swojej masie nie mogą tworzyć wrażenia, że jakiś „salon” – jak to określa PiS – czyli elity, triumfalnie odzyskują dawne pozycje. Można oczywiście stosować wyjątki, podejmować ryzyko polityczne, ale tylko w przypadku osób najbardziej zasłużonych i wiernych Tuskwowi.

We wszystkich instytucjach podległych rządowi wymiana kadr nie może być interpretowana jako „wraca stare”. Duży nacisk kładzie się na szukanie nowych twarzy, niekojarzących się z polityką sprzed 2015 r. Jeśli nazwisko zgłaszane przez któregoś z koalicjantów jakoś publicznie się kojarzy, natychmiast jest to konsultowane z Kierownikiem – jak określają Tuska w rządzie. I Kierownik może postawić weto. Ministrowie są na to wyczuleni szczególnie po tym, jak wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski (Lewica) do spółki z wiceministrem cyfryzacji Michałem Gramatyką zgodzili się na zatrudnienie Marii Thun, córki znanej europosłanki Róży Thun, w Centralnym Ośrodku Informatyki, a Tusk, gdy się dowiedział, polecił odciąć tę decyzję. Dziś nikt z ministrów nie chce mieć takich kłopotów jak Gawkowski – bo Maria Thun przysłała już do pracy, zaczęła przygotowywać się do nowych obowiązków i może dochodzić rekompensaty. Teraz każdy woli dostać zielone światło od Kierownika.

– W rządzie o wszystkim decyduje Tusk – słyszę w koalicji – Nie ma co się ludzić, że ktoś może coś ugrać bez jego zgody. To Kierownik podejmuje decyzję, kto będzie kandydatem KO na prezydenta, to Kierownik decyduje, kto będzie komisarzem w Komisji Europejskiej. Oraz decyduje o wielu decyzjach personalnych w sferze wpływów rządu, choć oczywiście wszystkimi nie jest w stanie się zająć – dodaje mój informator.

I nikt przeciwko temu specjalnie nie protestuje. ●

Już w styczniu objawił się spór między ministerstwem klimatu (Polska2050), a ministerstwem przemysłu (KO). Poszło o to, kto będzie nadzorował rozwój energetyki jądrowej. Tusk nie chce tego oddawać koalicjantom

Nie bez powodu we wtorek Tusk poruszył wątek zagrożenia zewnętrznego. – Nikogo nie straszę i staram się być ostrożny w sformułowaniach, ale bardzo wiele naszych decyzji i bardzo wiele decyzji, które miały być podjęte, ale zostały zawieszone, wynika z tego, że musimy gromadzić zapasy, środki i pieniądze w związku z zagrożeniem agresją ze strony Rosji w jakiejś niestety niedalekiej perspektywie.

Tusk postanowił wyeksponować nośny temat, by powstrzymać pretensje, że wiele z postulatów „100 konkretów na 100 dni” nie zostało jeszcze zrealizowanych. Np. ten o kwocie wolnej od

nili ten gest premiera. Tak jak ocenili fakt, że w kampanii przed wyborami 15 października Tusk zachęcał do głosowania na Trzecią Drogę.

Inaczej ma się sprawa z Polską 2050. Tu gra toczy się podobny elektorat. KO przekonuje, że Trzecia Droga urosła dzięki zachętom Tuska do taktyczne go głosowania, które miało wyciągnąć ją ponad 8-procentowy próg wymagany dla koalicji. Jednak Polska 2050 uważa, że do by wynik TD to przede wszystkim zasługa Hołowni, który na ostatniej prostej świetnie wypadł w debacie TVP. Hołownia poczuł wiatr w żagle, a Tusk wypadł bla-

ła Solowowa i Orlenu, rozpoczęte za czasów PiS. Tusk chce mieć to pod ścisłą kontrolą.

Dlatego ministra Czarnecka ogłosiła, że jej resort zajmie się polityką atomową, wodorową oraz kwestiami ropy i gazu. To jest właśnie w nowelizacji, która na nowo układa kompetencje ministerstw. Rząd przyjął ją 12 marca. Ale to nie koniec: z resortu klimatu do resortu przemysłu ma być przeniesiona strategiczna infrastruktura energetyczna – i to już potężnie zirytowało Polskę 2050, bo resort Hennig-Kloski będzie dramatycznie okrojony. Jednak Tusk ma złe doświadczenia z PSL, jeśli chodzi o energety-

Jakub Kibitlewski

Berlińscy znajomi – wyborcy Zielonych i Lewicy – którym wspominam o moim wywiadzie z Sahrą Wagenknecht, reagują podobnie. „Jest w niej coś niepokojącego, onieśmielającego. Chyba bałabym się z nią rozmawiać” – słyszę od Johanny, przyjaciółki ze studiów. „Trzeba przyznać, że jest bardzo sprawna retorycznie. Charyzmatyczna mówczyni. Pod kątem strategii rozumiem jej decyzję założenia własnej partii, ale mam jej to za złe, bo bardzo zaszkodzi to politycznej sile lewicy. Sprawy, o których mówi, faktycznie rezonują, ale rozwiązania, choćby problemów migracji, nie powinny polegać na ogrywaniu rasistowskich stereotypów”.

Co dla niemieckiej Lewicy faktycznie oznacza pojawienie się kilka miesięcy temu Sojuszu Sahry Wagenknecht, tłumaczy mi Dr. Aiko Wagner, politolog z Instytutu im. Otto Suhra przy Freie Universität Berlin: „Ona jest bardzo znaną postacią na lewicy, ale jest też mocno polaryzująca. Ma wielu zwolenników, którzy opuszczają Lewicę wraz z nią. W rezultacie Die Linke grozi zejście poniżej progu 5 proc. na poziomie federalnym i wyrzucenie z parlamentu w następnych wyborach. Utrudni to również sprawę na poziomie lokalnym. W niektórych wschodnich landach Lewica już traci głosy na rzecz Sojuszu. Dla innych partii lewicowych – SPD i Zielonych – BSW stanowi mniejsze bezpośrednie zagrożenie, bo praktycznie nie pokrywają się programowo. Co ciekawe, wielu potencjalnych wyborców AfD deklaruje w badaniach, że mogliby na nią zagłosować”.

Środa, 13 marca. Do Bundestagu wchodzę od południowej strony Dorotheenstraße. Z imponującego neomodernistycznego foyer Jakob-Kaiser-Haus odbiera mnie przejechała Ruth Firmenich, z którą wymienilem wcześniej parę maili. Jest asystentką Sahry Wagenknecht od 2004 roku, gdy posłanka zasiadała jeszcze w Parlamencie Europejskim jako członkini Grupy Lewicy (wtedy noszącej nazwę Zjednoczonej Lewicy Europejskiej – Nordyckiej Zielonej Lewicy).

Gdy po krótkiej podróży windą dochodzimy do części mieszczącej biura Die Linke, zwracam uwagę na plaketkę przed gabinetem posłanki. Przy jej nazwisku nadal widnieje logo byłej partii. „Jak pan widzi, mamy ogrom pracy, jesteśmy jeszcze na etapie organizacji” – słyszę.

W drzwiach gabinetu mijam się z ekipą dziennikarzy telewizyjnych. 54-letnia Wagenknecht przyjmuje mnie z formalnym uśmiechem i stoicką aurą wytrawnej polityczki. Stoi idealnie wyprostowana, jej postura ma w sobie coś z żołnierskiej musztry. Czerwona, perfekcyjnie skrojona garsonka też kojarzy się z mundurem. Zanim siądziemy, rozglądam się po gabinecie. Na biurku, oprócz drewnianej figurki słonia z podniesioną trąbą („zabawny prezent od naszych sympatyków”), zauważam miniaturowe rękawice bokserskie przewieszzone przez lampkę – o nie już nie pytam.

Z SAHRĄ WAGENKNECHT,
NIEMIECKĄ POLITYCZKĄ,
ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

JAKUB KIBITLEWSKI: Pani poseł, jaka jest grupa docelowa pani nowej partii?

SAHRA WAGENKNECHT: Ludzie o niskich i średnich dochodach. Ci, o których wszyscy inni zapomnieli, włącznie z Lewicą. W ostatnich latach partie lewicowe coraz bardziej się zmieniają i jest to zjawisko ogólnoeuropejskie. To bardzo niepokojące. W książce „Kapitał i Ideologia” ekonomista Thomas Piketty na podstawie statystyk wykazał, że na partie lewicowe głosowały niegdyś osoby mniej uprzywilejowane, a dziś jest odwrotnie.



Sahra Wagenknecht, najgorętsze nazwisko niemieckiej polityki

ŻEBY BYŁO JAK DAWNIEJ

Ludzie nie kojarzą już lewicy z dążeniem do sprawiedliwości społecznej, ale z aroganckimi ludźmi opętanymi misją, którzy wszystkim innym chcą czegoś zakazać, kiedy sami nigdy nie doświadczyli nawet odrobiny niedostatku

Najlepszym przykładem są partie Zielonych. To one mają dziś najbardziej zamężny elektorat, skupiają akademicką klasę średnią, mieszkańców dużych ośrodków z wygodnym życiem. Ludzi, których stać na wysokie czynsze, robiących zakupy w sklepach z ekologiczną żywnością, jeżdżących samochodami elektrycznymi i uważających się za lepszych od innych. Ci ludzie są również częściowo klientelą partii lewicowych. Lewica, moja była partia, coraz bardziej przekształcała się w partię, która nie dba już o podstawowe kwestie związane z chlebem powszednim zwyczajnych ludzi.

Partiom lewicowym nie chodzi już o przyzwoite zarobki, godne emerytury, bezpieczeństwo socjalne, pokój, ale o politykę tożsamościową, całą tę ideologię woke, „przebudzenia” i podważania „dominującej” tradycji czy obyczaju, o styl życia – co i jak mówię, co jem, czym jeżdżę. To dyskurs, który całkowicie ignoruje ludzi

w trudnej sytuacji życiowej, takich jak samotna matka o niskich dochodach. Ta matka szuka miejsca w złobku, jest szczęśliwa, jeśli ma pracę. Martwi się, czy uda jej się wyjechać na wakacje raz w roku. Ale lewica dyskutuje o tym, że latanie jest złe i musi być drogie, a podróżowanie na Majorce nie jest już akceptowalne. Ale sami często latają po całym świecie.

To właśnie ta dwulicowość irytuje ludzi. Nie kojarzą już lewicy z dążeniem do sprawiedliwości społecznej; w oczach wielu została sprowadzona do aroganckiego dyskursu ludzi opętanych misją, którzy wszystkim innym chcą czegoś zakazać, kiedy sami nigdy nie doświadczyli nawet odrobiny niedostatku.

Wspomniała pani „wokeistowski dyskurs”. To retoryka, którą zazwyczaj słyszy się na prawicy. W wielu kwestiach faktycznie zgadza się pani z postulatami Alternative Für Deutschland. Tych

wyborców również chce pani do siebie przekonać?

– Duża część wyborców partii lewicowych przeniosła się na prawicę. Nie dlatego, że są rasistami czy nacjonalistami, ale dlatego, że są niezadowoleni, bo już nikt nie traktuje ich interesów poważnie. Nawiasem mówiąc, AfD też nie. Gdyby ich program został wdrożony, tylko zwiększyłby nierówności.

AFD nie opowiada się za wyższymi płacami minimalnymi, za lepszym systemem emerytalnym, za regulacją czynszów ani za systemem opieki zdrowotnej, który byłby niezależny od logiki zysku. AfD po prostu płynie na fali protestów, właśnie dlatego, że realne problemy były przez lata negowane przez inne partie. Weźmy migrację – widzimy wyraźnie, że integracja zawodzi. W miastach, zwłaszcza w biedniejszych dzielnicach – nie w centrach miast, ale tam, gdzie mieszkają mniej uprzywilejowani – rozwijają się społeczności równoległe, rozprzestrzenia się radykalny islam, większość



dzieci w szkołach nie mówi nawet po niemiecku. To również jeden z powodów trudnej sytuacji edukacyjnej w Niemczech.

Czyli waszym celem jest odzyskanie dawnych lewicowych wyborców.

– Chcemy dać głos ludziom, którzy nie żyją w bańkach wielkich miast i nie mają siły przebicia w mediach. Ci ludzie nie mają obecnie reprezentacji i dryfują na prawo nie dlatego, że są prawicowi, ale dlatego, że prawica przynajmniej mówi o kwestiach, które ich bolą.

Wiele osób krytykujących migrację nie jest rasistami, po prostu na co dzień doświadcza związków z nią problemów. Na przykład w Niemczech mamy poważny deficyt mieszkaniowy. Brakuje siedmiuset tysięcy lokali. Jeśli w tym samym czasie kilkaset tysięcy ludzi przyjeżdża do Niemiec każdego roku, problem tylko się zaostrza. Mówimy o tym otwarciu, a potem nazywają nas rasistami. A to z kolei sprawia, że prawica rośnie w siłę.

Założyła pani partię wodzowską, świadczy o tym już nazwa. Czy taka personalizacja polityki jest konieczna? Nie sądzi pani, że to sprzeczne ze społecznie zorientowaną linią partyjną i niesie niebezpieczeństwo „kultu jednostki”?

– Partia nie powstała wokół mojej osoby, ale...

Rozmawiajmy poważnie.

– Niemcy są krajem o stabilnym systemie partyjnym, ponieważ prawo bardzo utrudnia zakładanie nowych partii. Nowe ugrupowanie musi najpierw wyrobić sobie markę. Ludzie muszą wiedzieć, co reprezentuje i ją rozpoznawać. A ponieważ jestem stosunkowo dobrze znana i od dawna angażuję się w politykę, ludzie wiedzą, jaki program za mną stoi. W dłuższej perspektywie moje nazwisko ma zniknąć z nazwy. Po wyborach do Bundestagu partia najprawdopodobniej będzie się nazywać po prostu Sojusz dla Rozumu i Sprawiedliwości.

• **27 stycznia 2024 r., Sahra Wagenknecht oddaje głos na konferencji założycielskiej partii „Sojuszu Sahry Wagenknecht – dla Rozumu i Sprawiedliwości”. Partia została oficjalnie założona na początku stycznia i liczyła około 450 członków** FOT. AY NIETELD / DPA / DPA PICTURE-ALLIANCE / AFP

Na niemieckiej scenie politycznej istnieje widoczna luka w reprezentacji. Jest wiele osób, które domagają się sprawiedliwości społecznej, ale nie chcą zajmować się kwestiami tożsamościowymi, im obojętnymi albo kolidującymi z ich codziennymi doświadczeniami. Nie jesteśmy zacořani czy reakcyjni. Popieramy na przykład równość małżeńską, ale nie uważamy, że trzeba przeproszać za bycie osobą heteroseksualną. Nie uważamy też, że ktoś nie powinien mieć prawa do wypowiadania się na dany temat, ponieważ nie ma ciemnej skóry lub zaplecza migracyjnego.

W książce „Die Selbstgerechten” („Obłudnicy”) opisałam nasz profil jako lewicowo-konserwatywny. To nic nowego. Partie lewicowe były kiedyś lewicowo-konserwatywne – zanim pojawiła się ta cała fala polityki tożsamościowej, zanim lewica ograniczyła się do wielkomiejskiego środowiska akademickiego. Dziś są lewicowo-liberalni i w rezultacie stracili dawną bazę. Stara klasa średnia, ale przede wszystkim osoby mniej uprzywilejowane, również potrzebują głosu w polityce.

Już rozumiem, dlaczego nazywają panią „nowym wcieleniem Róży Luksemburg”. Brzmi jak lewica z XIX wieku.

– Nie. Taka była również stara SPD, ta Willy’ego Brandta. Nie jesteśmy regresywni. Nasze postulaty nie są homofobiczne czy cokolwiek, na litość boską, nie mamy z tym nic wspólnego. Ale nie jestem też zwolenniczką tego, by każdy mógł co roku na nowo definiować swoją pleć. Uważam to po prostu za nonsens.

Brakuje siedmiuset tysięcy lokali. Jeśli w tym samym czasie kilkaset tysięcy ludzi przyjeżdża do Niemiec każdego roku, problem tylko się zaostrza. **Mówimy o tym otwarciu, a potem nazywają nas rasistami**

W innych kwestiach mam podobne zdanie. Na przykład zdecydowanie popieram legalizację marihuany. Ludzie, którzy chcą jej używać, powinni mieć do tego prawo. Jednocześnie, uważam, że musimy się temu dokładnie przyjrzeć i upewnić się, że legalizacja nie wyrządzi szkody młodym ludziom. Koniec końców to szkodliwy narkotyk, który należy traktować poważnie. Albo prostytucja.

Aborcja?

– Oczywiście popieram prawo kobiet do przerwania ciąży w pierwszych trzech miesiącach, jeśli tego chcą, ale nie w szóstym czy ósmym miesiącu. W pewnym momencie dziecko faktycznie ma swoje prawa, nawet jeśli jeszcze się nie urodziło, i jest również istotą ludzką, a nie tylko płodem.

To właśnie coś, co nas wyróżnia. Dlatego nie mówimy, że jesteśmy lewicowi, ponieważ w dzisiejszych czasach lewicowość jest kojarzona z czymś kompletnie oderwanym od rzeczywistości. Dzisiejszy lewicowy dyskurs kwestionuje elementarne osiągnięcia liberalnej demokracji.

Mocno krytykuje pani Zielonych. Naśmiewa się pani nawet z Annaleny Baerbock i jej feministycznej polityki zagranicznej. Nie jest pani feministką, pani posłanko?

– Ależ to nie ma nic wspólnego z feminizmem. Chodzi o militarystyczną politykę zagraniczną. Zieloni popierają dostawy broni, zbrojenia, gloryfikują wojnę... To przerażające, w którą stronę poszli jako partia. Byli dekonwicy mówią nam teraz, że trzeba dostarczać coraz więcej broni do obszarów objętych wojną, ponieważ uczyni to świat bardziej pokojowym.

Ma pani oczywiście na myśli Ukrainę.

– Tak, ale też Strefę Gazy. Fakt, że dostarczamy broń do Izraela w obecnej sytuacji – biorąc pod uwagę sposób, w jaki toczy się wojna – czyni nas współodpowiedzialnymi.

Z Ukrainą jest podobnie. Nie zakończymy wojny, dostarczając Ukrainie coraz więcej broni. Powinniśmy wywierać na nią presję. Papież Franciszek ma zasadniczo rację. Muszą się odbyć jakieś negocjacje.

Ale dlaczego mamy wywierać presję na Ukrainę? Nie ona rozpoczęła tę wojnę.

– Mówiąc o wywieraniu presji, mam po prostu na myśli, że wspierając Ukrainę, musimy jednocześnie dążyć do negocjacji z Rosją. To, na ile rosyjscy przywódcy są skłonni do kompromisu, można sprawdzić dopiero w trakcie negocjacji. Putin zawsze przyjmował wszystkie oferty negocjacyjne, przynajmniej werbalnie, a Zelenski je odrzucał. Teraz, gdy Turcja po raz kolejny powiedziała, że jest gotowa być gospodarzem szczytu pokojowego, Putin się zgodził. Ukraina propozycję odrzuciła. Na Ukrainie obowiązuje dekret zakazujący negocjacji z Rosją. W Rosji nie ma dekretu zakazującego negocjacji z Ukrainą.

Przecież to Putin jest agresorem. Ukraina jest suwerennym krajem, który został bezprawnie zaatakowany.

– Nie zmienia to faktu, że giną ludzie i powinniśmy to jak najszybciej zatrzymać. A możemy to zrobić, tylko jeśli doprowadzimy do zawieszenia broni. I byłabym bardzo za wywarcie presji na Rosję, powiedzeniem „OK, jeśli wy jesteście gotowi usiąść do rozmów, my przestaniemy dostarczać broń”. Jeśli jednak warunkiem wstępnym negocjacji jest całkowite wycofanie się Rosjan z terytorium Ukrainy, to oznacza, że nie chcemy żadnych negocjacji, ponieważ oni tego zwyczajnie nie zrobią.

Więc najpierw zawieszenie broni, a potem zobaczymy, co robi Putin?

– Na razie zawieszenie broni oznacza zamrożenie frontu w miejscu, gdzie jest teraz. Czyli on przynajmniej nie przesunie się dalej ze szkodą dla Ukrainy. Gdyby więc zrobić to kilka miesięcy temu, byłoby jeszcze lepiej. A jeśli zrobimy to za pół roku, prawdopodobnie będzie tylko gorzej.

I to samo powiedział papież. Nie powiedział, że Ukraina powinna skapitulować, powiedział, że właściwą decyzją byłoby nie doprowadzać kraju do samobójstwa. Uważam, że Ukraina nie ma szans na wygranie tej wojny militarnie. Myślę, że to iluzja i że to niebezpieczne, gdy ludzie wciąż to powtarzają. Podsycamy tylko iluzję. W Niemczech wielokrotnie słyszymy, że to czy tamto będzie game-changerem, musimy tylko dostarczyć taką czy inną broń, na przykład Taurusy. Przeraża mnie, gdy niemieccy oficerowie spokojnie dyskutują, jak niemiecka broń powinna być używana do atakowania rosyjskich celów, o czym niedawno mogliśmy przeczytać. Dostarczamy Ukrainie coraz więcej broni, a wojna się nie kończy. Obecnie stoimy przed wielkim niebezpieczeństwem, że w wojnę zostanie wciągnięte też NATO.

Zdaje sobie pani sprawę, jak to brzmi w uszach Polaka? Dlaczego Putin nie miałby zaatakować mojego kraju, kiedy już skończy z Ukrainą?

– Ponieważ Rosja nie ma takich środków. Rosjanom nie udało się zdobyć Kijowa. Nie wierzę, że armia, która nie jest w stanie zająć Kijowa, zaryzykowałaby bezpośrednią konfrontację z NATO. Chyba że, oczywiście, NATO samo zainterweniuje w tej wojnie.

Oczywiście ukraińskie przywództwo liczy na bezpośrednią interwencję NATO, ponieważ jest to ich jedyna szansa, aby tej wojny nie przegrać, jeśli nie chcą negocjować. Można to zrozumieć, ale to nieodpowiedzialne. Konsekwencją byłaby wojna w całej Europie. Osoby stojące na czele europejskich rządów mają obowiązek wobec swoich obywateli, aby temu zapobiec.

Kiedy ktoś wzywa do normalizacji stosunków z Rosją, w Polsce robimy się, delikatnie mówiąc, nerwowi. A wiemy z historii, że ostatni sojusznik Berlina z Moskwą nie zakończył się szczególnie dobrze również dla Niemców. Dlaczego pani sądzi, że tym razem będzie inaczej?

– Rozumiem, że w Polsce macie inny stosunek do Rosji. Byliście wielokrotnie uciśkani i okupowani przez Rosję. Ale Niem-

cy nigdy nie zostały przez Rosję zaatakowane. To Niemcy zaatakowały Rosję, dwa razy. Ataki zawsze szły ze strony Europy Zachodniej.

Chwila, a Ostblock?

– Był wynikiem II wojny światowej, której Rosja przecież nie rozpoczęła. Fakt, że Niemcy Wschodnie znalazły się w rosyjskiej strefie wpływów, też były wynikiem wojny rozpoczętej przez Niemcy. Rosjanie stacjonowali w Niemczech, ale również w związku z wyzwoleniem od Hitlera i nazistów. Na tym polega ambiwalencja historii.

Owszem, z polskiej perspektywy to zupełnie inna sprawa. Polska była pod zaborami, Rosja zawsze próbowała was zdominować. Ale pytanie, które powinniśmy sobie zadać – także w Polsce – brzmi: jakiej Europy chcemy? Czy chcemy Europy, która się zbroi i polega na wzajemnym odstraszeniu? Czy po zakończeniu zimnej wojny nie było szansy na pokój? I kto tę szansę zmarnował? Czy tylko Rosjanie, czy w znacznie większym stopniu Zachód?

Uważam, że Putin z 2002 r., który przemawiał w Bundestagu, był innym Putinem niż ten dzisiaj i to my ponosimy część odpowiedzialności za tę transformację, ponieważ Zachód ignorował rosyjskie interesy bezpieczeństwa. Przypomnę, że NATO, zwłaszcza USA, wielokrotnie prowadziły wojny przeciwko rosyjskim sojusznikom, począwszy od Serbii Miloszewicia, przez Irak Saddama Husajna, Libię Kadhafiego, Asada... Żadna z tych postaci nie wydaje się szczególnie sympatyczna, co do tego nie ma wątpliwości, ale to, co powstało w wyniku tych wojen, bywa równie niesympatyczne. Nie chodziło przecież o demokrację i wolność, a o strefy wpływów.

A te rosyjskie były coraz bardziej okrajane. Rada Bezpieczeństwa ONZ, w której Rosja ma przecież ważny głos, została pozbawiona władzy. Nic z tego nie pomagało rosyjskiemu przywództwu stać się bardziej prozachodnim, raczej wzmacniało nacjonalistyczne i militarystyczne tendencje w Moskwie. Pytanie brzmi, czy chcemy to kontynuować – czy może lepiej przynajmniej spróbować wrócić na ścieżkę wydeptaną podczas zimnej wojny, ze współpracą gospodarczą w celu osiągnięcia pewnego zbliżenia i zatrzymania zbrojeń.

Musimy zrobić wszystko, aby wykluczyć rozpoczęcie wojny jądrowej, nawet przez przypadek.

No i powinniśmy pomyśleć o tym, co leży w naszym interesie, jeśli chodzi o gospodarkę.

No nie. Przecież już wiemy, że polityka „Wandel durch Handel”, zmiany przez nawiązywanie współpracy i sączenie zachodniego stylu życia, nie wypaliła. Raczej zadziałała w drugą stronę, uzależniła was, nas i pół Europy od rosyjskich surowców.

– Spójrzmy realistycznie. Sankcje nałożone na Rosję skutkują tym, że rosyjska gospodarka kwitnie.

Dzięki przemysłowi zbrojeniowemu.

– Ale w tym roku rośnie o ponad 3 proc. Amerykańska też kwitnie i również rośnie o ponad 3 proc. Natomiast Europie grozi upadek najważniejszych gałęzi przemysłu, a sytuacja jest szczególnie dramatyczna dla Niemiec, które borykają się z najgorszym kryzysem gospodarczym od dziesięcioleci. To nie jest rozsądna polityka.

Nawet śmierć Nawalnego nie zmienia pani postrzegania Putina i Rosji? Nawet morderstwo polityczne?

– Ależ wiem i nie zaprzeczam – Rosja jest reżimem autokratycznym i była nim jeszcze przed aresztowaniem Nawalnego. I nawet jeśli on nie został zabity na rozkaz, tylko zmarł w areszcie, odpowiedzialność ponosi rosyjski aparat państwowy.

Ale jest przecież wiele innych krajów, w których panują warunki, jakie uważamy za niedopuszczalne, gdzie politycy opozycji, nie mówiąc o domagających się zmian

Zawieszenie broni oznacza zamrożenie frontu w miejscu, gdzie jest teraz. Czyli on przynajmniej nie przesunie się dalej ze szkodą dla Ukrainy.

Gdyby więc zrobić to kilka miesięcy temu, byłoby jeszcze lepiej. I to samo powiedział papież

obywatelach, są ścinani, chłostani, prześladowani. Na przykład na Bliskim Wschodzie. Mimo to utrzymujemy stosunki gospodarcze z tymi krajami. Uważam ten podwójny standard za nieuczciwy. Jeśli zaczniemy handlować tylko z nieskazitelnymi demokracjami, szybko zginie.

Tylko że Unia Europejska nie ma jednak wspólnej granicy z Arabią Saudyjską. I Saudowie może chcieliby zdominować światową gospodarkę, może i sponsorują fundamentalistów sięjących zamęt, ale nie mają długiej tradycji wojen najeżdźczych.

– Kwestia demokratycznych standardów i przestrzegania praw człowieka nie jest kwestią granic. Dlaczego opozycyjny polityk czy kobieta reformatora w Arabii Saudyjskiej mają dla nas mieć mniejszą wartość niż Aleksiej Nawalny w Rosji?

Zarzuca się waszej partii, że finansuje was Moskwa. Czy to prawda?

– Kompletny absurd. Oburzające, że ludzie próbują stawiać nas w takim świetle. Zgodnie z prawem, nie wolno nam przyjmować darowizn powyżej 1000 euro z krajów spoza UE i nie robimy tego. Nasi darczyńcy również są jawni. Tak, dostaliśmy dwa przelewy na łączną kwotę 75 euro, przy których widniał rosyjski IBAN [międzynarodowy kod rachunków bankowych]. Je również upubliczniliśmy. Te przelewy nie pochodziły z Kremla, a od kilku drobnych darczyńców. Od włoskiej mafii i Trumpa też nie dostajemy pieniędzy.

Zbliżające się wybory europejskie będą pierwszym testem Sojuszu Sahry Wągenknecht. Już wiemy, jaką macie wizję pokoju i bezpieczeństwa w Europie. A jaka jest wasza idealna wizja UE?

– Chcemy ograniczenia centralizacji. Opo-

wiadamy się za Europą suwerennych demokracji...

Europą ojczyzn? To też znamy. Tak deklarują – my nie mamy nic przeciwko Unii, my tylko chcemy więcej suwerenności – wszyscy eurosceptycy. A kończy się Brexitem.

– Ojczyzna może być obecnie nieco przestarzałym terminem, ale myślę, że idea, która za nim stoi, jest słusza. Chcemy dobrej współpracy europejskiej, żadnej nowej rywalizacji, a już na pewno żadnej wrogości. Ale nie chcemy wszystkich decyzji podejmowanych w Brukseli, która podważa demokrację poszczególnych krajów.

I konserwatywny pomysł na Europę uważa pani za dobry dla lewicowej, wspólnotowej partii?

– De Gaulle był mądrym człowiekiem. Czy to jest konserwatywne? Nie wiem. Konserwować znaczy zachowywać – a my Unię chcemy zmienić, nie zachować w jej obecnym kształcie. Byłaby to nowa UE, która opierałaby się na współpracy krajów, tak jak ma to

miejsce w Radzie Europejskiej, ale która pozabawiłaby władzę Komisję Europejską.

Gdyby nie Komisja, ten europejski quasi-rząd, byłoby tylko trudniej dogadać się. Bo współpraca krajów dobrze brzmi, ale każdy ma inne interesy i troska o wspólny dobrobyt, dla którego chce pani ustąpić Putinowi, skończyłaby się zderzeniem egoizmów.

– Ale Komisja nabyła z biegiem lat bardzo wiele uprawnień i doszło do tego, że dyktuje krajom, jak mają wyglądać ich budżety! W Niemczech w niewielkim stopniu, ale kraje Południa wysyłają do niej projekty budżetowe. To podważa europejską demokrację. Innymi słowy, chcemy demokracji europejskiej, ponieważ Komisja Europejska nie jest wynikiem demokratycznych wyborów.

Owszem, odbywają się wybory europejskie, ale to nie działa, ponieważ zbyt mało się od siebie różnimy. Mamy różną kulturę polityczną, nie mamy wspólnego języka. W efekcie „Bruksela” jest postrzegana jako władza technokratyczna, arogancka, daleka od obywateli – a gra interesów, o której pan mówi, i tak się toczy.

Dlatego wolałabym współpracę między poszczególnymi krajami, które mają ze sobą coś wspólnego, na przykład w kwestii ochrony klimatu, nowych technologii. Oraz wszystkich krajów w ramach projektów, które łączą całą Europę, takich jak szybkie linie kolejowe, w wyniku czego kraje również rosną razem.

Przecież działając z poziomu UE mamy znacznie lepsze szanse na sprawne rozwiązanie tak wielkoskalowych problemów, jak choćby migracja. Nie sądzi pani?

– Pewnie, chciałbym, aby Europa uzgodniła nowy system azylowy lub nowe prawo azylowe. Taki, który opiera się na procedurach odbywających się na granicach zewnętrznych lub w krajach trzecich.

Podstawowa zasada, którą mamy obecnie w Europie i która nie ma nic wspólnego z klasycznym prawem do azylu, zwyczajnie nie funkcjonuje. Każdy, komu uda się postawić stopę na europejskiej ziemi dzięki przemytnikom, może prawie zawsze zostać – a portucumy tych, których nie stać na transport dla przemytników lub są po prostu zbyt słabi fizycznie lub boją się niebezpieczeństw czyhających po drodze. Dlatego jestem za przyjmowaniem uchodźców z obozów dla uchodźców.

Wobec tego pytanie osobiste. Pani ojciec pochodził z Iranu. Inni członkowie pani partii – tacy jak Fabio de Masi czy Żaklin Nastić – również mają migracyjne biografie rodzinne. Dlaczego te osobiste doświadczenia przekładają się na tak silne „nie” względem imigracji?

– Nie jesteśmy przeciwni imigracji. Problem pojawia się, gdy migrantów jest zbyt wielu, a brakuje infrastruktury.

W Niemczech już teraz brakuje 700 000 mieszkań. A każdego roku przyby-

wają do nas setki tysięcy ludzi. Brakuje również miejsc opieki nad dziećmi i nauczycieli. Problemem bywa również zderzenie z zupełnie inną kulturą kraju przyjmującego. Jak by to ująć... Ludzie przyjeżdżają do Niemiec z całego świata i nie ma tak wielu religii, w których odrzucenie zachodniej kultury jest źródłem tożsamości. Ale jeśli grupy silnie identyfikujące się z tym kręgiem stanowią szczególnie wysoki odsetek imigrantów, pojawia się problem: w kraju istnieją społeczności, których tożsamość jest w niewielkim stopniu ukonstytuowana przez odrzucenie kultury większościowej.

Ten sam problem obserwujemy we Francji. W wielu miejscach istnieją tam równoległe społeczności, gdzie kobiety nie mogą wyjść z domu bez chusty. To nie do zaakceptowania.

Według najnowszych sondaży pani partia ma szansę na zdobycie około 17 proc. głosów w Turynii. Kogo wybrałaby pani jako koalicjanta?

– W tej chwili wciąż jesteśmy za CDU, ale nie tak daleko w tyle. Na razie nie chcę składać żadnych oświadczeń koalicyjnych. Ale myślę, że to błędne przekonanie, że wszystkie partie muszą w jakiś sposób utworzyć koalicję, ponieważ AfD jest silna i może stać się jeszcze silniejsza. Skoro jest silna, to tworząc rząd musisz dokonać faktycznej zmiany, którą odczują zwykli obywatele i która sprawi, że przestanie być silna.

Wejdziemy do rządu tylko wtedy, gdy będziemy mogli spojrzeć wyborcom w twarz i powiedzieć: to i tamto zmieni się pod naszym rządami.

A koalicja z AfD?

– Nie. AfD w Turynii i Saksonii jest skrajnie prawicowa. Wschód też jest już bardzo silnie zdominowany przez radykalnie prawicowe siły.

A jakie macie cele na poziomie UE?

– Dla nas wybory europejskie są tymi, w których po raz pierwszy występujemy jako siła polityczna. A więc oczywiście zależy nam na licznej reprezentacji w Parlamencie Europejskim, ale w kampanii wyborczej chodzi przede wszystkim o wzmocnienie naszych wpływów w Niemczech. Czy w europarlamencie zasiądzie 5, 8 czy 12 osób od nas, to nie uratuje ani nie zrujnuje Unii, ale będzie miało duże znaczenie dla Niemiec.

Miejsce, które wybrała pani na pierwszą konwencję nowej partii, było dawne enerodowskie kino we wschodnim Berlinie. Ma pani wyraźny sentyment do tej epoki. Jakie są pani wspomnienia związane z NRD?

– Dla mnie zjednoczenie było wyzwoleniem. Również osobistym. W NRD nie pozwolono mi studiować. Miałam trudności, ponieważ byłam otwarcie krytyczna wobec systemu. Chciałam innej NRD, chciałam reform, krytykowałam scentralizowaną gospodarkę planowaną, tłumienie wolności słowa, brak demokracji. Nie dostałam miejsca na uniwersytecie i musiałam siedzieć w domu. Dali mi pracę sekretarki. Odrzuciłam ją, bo wolałam czytać, samokształcić się, a utrzymywałam się, dając korepetycje.

Miałam 20 lat, kiedy runął mur. To było dla mnie błogosławieństwo, mogłam pójść na studia. Zrobiłam świetny dyplom. Oczywiście wiem, że wiele osób, które były wtedy starsze, żyły w NRD dłużej, czuło silniej niż ja, że ten krajobraz tworzył ich biografię – a po zjednoczeniu Niemcy zachodni powiedzieli im, że wszystko, co ich tworzyło, kim byli jest do niczego.

Nie chcę zabrznieć, jakbym doświadczyła szczególnych traum. W NRD żyło się zupełnie normalnie. Nie głodowaliśmy, żyliśmy skromnie, ale przynajmniej względnie bezpiecznie. Nie było bezrobocia. Problem polegał na tym, że jeśli było się aktywnym politycznie, to miało się na karku Stasi i bardzo szybko było się represjonowanym. Ale jeśli prowadziłeś apolityczne życie, może nie mogłeś pojechać do Paryża czy Rzymu, ale mogłeś podróżować na Wschód. To są moje wspomnienia z dzieciństwa. ●

Faryzeusz będzie zadowolony

Dużo wypadków na drogach? Zwiększyć mandaty! Pedofilia się szerzy? Zwiększyć kary!



Marcin Matczak

Dwie kwestie dorzucę do dyskusji o aborcji, jakby ich było mało. Po jednej dla każdej ze stron, jak przystoi symetrycznie.

Pierwsza: czy ksiądz biskup, jak chce naprawić dach katedry, sam tam wchodzi, czy dzwoni po dekarza? Czy jak proboszcz chce plebanię ogrzać i centralne założyć, sam rury skręca, czy hydraulika wzywa? Dlaczego zatem Kościół hierarchiczny, chcąc skutecznie zapobiegać aborcji przez prawo, uważa, że sam wie, jak to należy zrobić, a nie pyta prawników?

We wszystkich sprawach wymagających wiedzy fachowej Kościół zna swoje „dlaczego”, a fachowcom pozostawia wybór „jak”. W przypadku aborcji wie, dlaczego i narzuca jak – żąda sankcji karnej, co akurat nie jest sposobem najbardziej skutecznym. Gdyby tak naprawiał dach, ten by przeciekał, gdyby tak zakładał centralne, to by marzł.

Kara to ulubione przez polityków narzędzie wpływu na rzeczywistość. Dużo wypadków na drogach? Zwiększyć mandaty! Pedofilia się szerzy? Zwiększyć kary! Bo przecież jasne jest, że każdy pirat drogowy nic innego nie robi, tylko zanim poczuje adrenalinę z przyspieszenia, przegląda aktualny dziennik ustaw z najnowszą wersją prawa o ruchu drogowym. Każdy pedofil przed atakiem otwiera kodeks karny, na zimno kalkuluje, czy mu się opłaca dać upust swoim chorym potrzebom, i mówi „dzisiaj odpuszczę”.

To, że ludzie łamią prawo, ma wiele przyczyn i to nie surowość kary, ale jej nieuchronność odstrasza. A czasami sytuacja tego, kto łamie, jest tak złożona psychologicznie czy społecznie, że nic go nie odstraszy. I tak jak sama kara nie zapobiegnie wypadkom, bo trzeba o wiele więcej (częstszych kontroli, lepszej organizacji ruchu i projektowania dróg, zmiany kulturowej wspieranej edukacją itd.), tak zrobienie przestępców z lekarza i pomagających w aborcji problemu nie rozwiąże.

Tak jak pedofilię trzeba zwalczać profilaktyką, uczeniem dzieci i ich rodzin odpowiedniej reakcji na zagrożenie, nie jedynie karą, tak inne złożone problemy trzeba rozwiązywać narzędziami wyrafinowanymi, nie prawniczym cepem. W jakimś sensie państwo, które zwalcza zło tylko karą, zgadza się, że będzie ono trwać. Że ludzie będą na drogach ginąć, że dzieci będą molestowane, że aborcje będą dokonywane. A potem kogoś się za to ukarze i będzie git.

Przykładem takiej hipokryzji jest nieprawdopodobnie beczelna wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego z 2021 roku o tym, że zmiana przepisów aborcyjnych nie ma wielkiego znaczenia, bo każdy średnio rozgarnięty człowiek może sobie aborcję za granicą taniej lub drożej załatwić. Czy Kościół czasami tak nie myśli? Wprowadzi się sankcję i część – sprawa w sumieniu załatwiona. Cóż z tego, że w rzeczywistości nie? Bo

papier przyjmie wszystko, a rzeczywistość będzie skrzeczeć. I tylko faryzeusz łamany przez Pilata będzie zadowolony

Chcesz ograniczyć liczbę aborcji, podejdziesz do sprawy całościowo – mniej spektakularnie politycznie i mniej lizusowsko względem Kościoła. Narzędzia są znane: dostępność środków antykoncepcyjnych. Inwestycja w edukację seksualną. W zmianę kulturową, jak w sprawie wypadków drogowych. A jak ktoś ideologicznie z antykoncepcją i edukacją seksualną ma problem, niech inwestuje w pomoc kobietom, by dziecko nawet w trudnych sytuacjach chciały urodzić, by nie były z tym same. Ale to kosztuje więcej niż zmiana ustawy karnej.

Poza tym prawicowe państwo lubi grać rolę surowego ojca, który nie wspiera, tylko karze. Kogoś, przed kim problem trzeba ukrywać i radzić sobie samemu, byleby tylko pozorem moralności stało się zadość. I prawicowe rządy, i hierarchowie Kościoła chętnie odgrywają taką rolę. Jak Kaczyński, godząc się, że to, co niby zwalczają, będzie się działo, byleby nie na ich oczach. Czy nie uczciwiej jest więc zapytać „jak?”, nawet jeśli dokładnie się wie, dlaczego?

Druga kwestia to rola mężczyzny w decyzji o aborcji. Jak niemal wszędzie, mamy tu stanowiska skrajne. Z jednej strony „moje ciało, mój wybór” – to kobieta jest jedyną osobą, która może decydować o losie swojej ciąży i nikt inny nie powinien się w tę decyzję wtrącać. Z drugiej prawicowa skrajność, wyrażona niegdyś przez Andrzeja Zybertowicza, że dziecko w macicy nie jest własnością kobiety. Stąd państwo, rządzone najczęściej przez mężczyzn, ma prawo decydować o tym, co się z nim stanie. Czy jest tu przestrzeń na większe wyważenie, czy też temperatura sporu to wyklucza?

Jedna z uczestniczek debaty o aborcji na Kanale Zero stwierdziła, że zabieg aborcyjny jest bardziej bezpieczny niż wyrwanie zęba mądrości. Nie będę dyskutował, czy to zdanie jest adekwatne medycznie, bo nie mam w tej kwestii wiedzy. Nie będę też dyskutował fortunnoci porównania kogoś/czegoś, co może stać się pełnoprawnym człowiekiem, do zepsutego lub przeszkadzającego w ukształtowaniu szczęki zęba. Wydaje się jednak, że o ile w zapłodnieniu udział faceta jest jak na razie niezbędny (choćby zaocznie), to wykreowanie kawalka tkanki pokrytej szklivem odbywa się bez jego udziału. No chyba, że ktoś wierzy w kreacjonizm, ale nawet wtedy można przyjąć, że Bóg była kobietą (bo niby skąd wiadomo, że nie). Ostatecznie więc jest różnica między decyzją o wyrwaniu łożyska i decyzją o aborcji. I całe szczęście.

Tę różnicę oddaje nasz kodeks cywilny w art. 927. Głosi on, że dziecko w chwili otwarcia spadku już poczęte może być spadkobiercą, jeżeli urodzi się żywe. Ząb, nawet piękny i zdrowy, po nikim nie dziedziczy. Dziecko poczęte może, i tu pojawia się jakieś paliwo dla myśli o roli faceta. Coś/ktos (zaimek zależny od poglądów) ma już prawo do jego dziedzictwa, a on nie ma prawa decydować, czy to coś/ten ktoś dotrwa do momentu, gdy dziedzicem zostanie?

Prawo może być nielogiczne, ale nie aż tak. Stąd może da się znaleźć bardziej wyśrodkowane podejście do roli mężczyzny w decyzji o życiu/śmierci/zabiegu (rzeczownik zależny od poglądów), których ta dyskusja dotyczy. W imię wspólnej odpowiedzialności za seks i poczęcie, a także wsparcie przed i po urodzeniu.

I przy świadomości, że z seksem faceci radzą sobie lepiej niż ze wsparciem (choć i tego pierwszego nie można w dzisiejszych czasach być pewnym). ●

Wiosna wyborcza

„Wójt z sercem sąsiada” – lepiej byłoby „o sercu”, żeby uniknąć makabrycznych skojarzeń z kardiochirurgią sąsiedzką.



Michał Rusinek

Wszystko wskazuje na to, że nadchodzi wiosna. A wiosną, co kilka lat, Polska pokrywa się plakatami wyborczymi, z których przyglądają nam się kandydatki i kandydaci na samorządowców. Ich wyczekującym spojrzeniom towarzyszą słowa, w które warto się wczuć, zanim pójdziemy do urn..

Najprostsze rozwiązania są czasem najlepsze. Tak z pewnością uznał Wiesław Mazurek (Radzyń Podlaski). Na jego plakacie widnieją słowa: „Żonaty, dwóch synów. Obecnie wójt. Strażak OSP”. I wszystko jasne. Czasami bywają to słowa-klucze, które pozornie ze sobą nie współgrają, jak w przypadku Daniela Kusza (Brudzew): „Edukacja, szpital, drogi. Żeby wszystko grało”, jednak on sam sfotografował się z trąbą, więc jakoś współgra. Czasami są to zaskakujące skrótów, jak na plakacie Piotra Walusiaka (Łódź): SMS. Nie chodzi jednak o wiadomość tekstową, ale o „Szkołę. Mieszkanie. Szpital”. Nie wiemy niestety, czy to są obszary zainteresowań pana Walusiaka, czy też metonimiczne przedstawienie etapów życia mieszkańców województwa. I znacznej części ludzkości.

Kandydat na burmistrza Ostródy Stanisław Orzechowski startuje w wyborach pod hasłem: „Intensywna terapia dla miasta”. W hasle tym kryje się presupozycja, że stan Ostródy jest krytyczny, a przynajmniej ciężki. Intensywna terapia, owszem, daje nadzieję, ale też łączy się ze sporym ryzykiem. Ryzykowne jest też hasło Krzysztofa Przybyłaka (Miedzychowo): „Wójt z sercem sąsiada”. Lepiej byłoby „o sercu”, żeby uniknąć makabrycznych skojarzeń z amatorską kardiochirurgią sąsiedzką. Kandydat, jak rozumiem, ryzyka się nie boi. Nie boi się go też Łukasz Szymańczyk (Malkinia Górna), którego hasło brzmi: „Dla Was pójde w Ogień!”. Jesteśmy poruszeni tą deklaracją, choć użycie wielkiej litery w słowie „Ogień” nieco nas dezorientuje: czy chodzi o wielki pożar, czy może nazwę jakiegoś lokalu?

Natomiast ryzyka rozpoznania np. na ulicy obawia się Mateusz Czarnota (Częstochowa), który sfotografował się z zasłoniętą golfem twarzą i podpisał: „Poznasz mnie po czynach, nie po twarzy”. Do pełni przekazu brakuje tu tylko kija bejsbolowego. Hubert Kucharski (Sieradz) postawił na nietypową, potoczną anaforę: „Się zobaczy, się pomyśli, się załatwi!”. Wiem, że tak mówią fachowcy (dodając często, że „będzie pan zadowolony”), ale mnie niepokoi bezosobowość tej obietnicy. Się załatwi, czyli właściwie kto załatwi? Niepokoić może też hasło Barbary Sikory (Jaworzno): „Dość już tego!”, bo nie bardzo wiemy, czego ma dość pani Sikora i co z tego, że ma dość, dla nas wynika.

W hasłach pojawiają się odwołania do szeroko pojętych tekstów kultury. Robert Alefierowicz (Wschowa) umieścił na plakacie wizerunek Alfa z amerykańskiego serialu z lat 80. (być może w młodości prześladowano go taką ksywą). Jolanta Banach (Gdańsk) wybrała hasło „Niezawodna jak poranna kawa”, narażając się zwolennikom

herbaty. Natomiast Kajetan Kołodziejski (Reda) sfotografował się z uśmiechniętym czarnoskórym mężczyzną i podpisał: „Najbardziej pomysłowy kandydat na radnego. Widać to czarno na białym”. Nie wiem, czy jest on kandydatem najbardziej pomysłowym, ale są granice brawury, a on miał pomysł, jak je przekroczyć. Sporą brawurą wykazał się także Grzegorz Kapica (Łapy), startujący pod hasłem: „Lepiej być jak rozpędzony koń, niż jak dojna krowa”. Pominając kwestie płciowe (wyższość samca nad samicą) i dietetyczne (deprecjonowanie bogatego w składniki odżywcze mleka), niedopuszczalne jest stawianie przecinka przed spójnikiem „niż”. I to go może pogrążyć.

Na facebookowej stronie „Hity kampanii wyborczych” (której wspaniałymi zasobami się posilkowałem) zauważono zjawisko zwane „litewkowaniem”. Pochodzi ono od nazwiska posła Łukasza Litewki, który na plakatach w kampanii do sejmu umieszczał wizerunki zwierząt ze schroniska, które dzięki temu adoptowano. Zdobył mandat poselski miażdżącą przewagą głosów, dlatego w jego ślady posłała w tej kampanii Iłona Milewska (Szczecin) oraz Tatiana Maria Matuszewska (Środa Wielkopolska) z hasłami: „Nie kupuj! Adoptuj!”. Inną strategię przyjął Paweł Bukowski (Nidzica), który wprawdzie sfotografował się z kotem, ale tylko po to, żeby posłużyć się hasłem: „Wybierz nas, będziesz MIAU lepiej”. Liczba mnoga sugeruje, że głosując na niego, głosuje się także na jego kota. To rozumiałe.

Hasel rymowanych jest niewiele, ale warto są odnotowania. Anatol Wasiluk (Bielsk Podlaski) napisał krótko: „Jest wola wybrać Anatola” (czyja wola?); Anna Sikora (Sieradz) napisała wiersz: „Mądrość, kawusia i wielka pokora,/ najlepszy wybór to Anna Sikora!” (znajdź jedno słowo nie pasujące do wyliczanki); Barbara Brzezicka (Sopot) zapewniała: „Z troską w sercu,/ mądrości czara,/ Najlepszy wybór to Brzezicka Barbara!” (trudno zgadnąć, czy mądrość tkwi w czarze czy w Barbarze, ale ważne, że w jakimś sercu); natomiast Konrad Rączka (Starachowice) wykorzystał rymotwórcze możliwości tkwiące w jego nazwisku: „Jak jest problem czy bolączka,/ czeka na was Konrad Rączka”.

A wiele wskazywało na to, że powie o sobie, że jest z niego „złota Rączka”. Powstrzymał się jednak. Nie powstrzymał się natomiast Grzegorz Ziomek (Mielec): „Wybierz swojego ZIOMKA”, Radomir Piorun (Koło): „Zmieniamy powiat PIORUNEM”, Zbigniew Gach (Ślupsk): „Twój GACH w samorządzie” czy Krzysztof Aleksander Świerk (Turek): „Posadź ŚWIERKA w powiecie!”. Nieco inaczej wykorzystał swoje nazwisko Krzysztof Magnes (Zębówice): „Siła przyciągania”. Największą pomysłowością wykazała się Julia Senator-Kaczprzak (Warszawa) startując pod hasłem: „Senator od urodzenia, radna z wyboru”.

Sporo emocji wzbudza hasło Jeremiego Czarnckiego (Warszawa), brzmiące: „Przem pani ja chce siku”, sugerujące w ten dziwny sposób, że jako radny chciałby zająć się kwestią toalet w parku na Kabatach. Wojciech Mikusiński (Gniezno) startuje pod hasłem: „Pierwszy mężczyzna na liście”; brzmi ono jak rozpaczliwe wołanie o sprawiedliwość w sfeminizowanym świecie polityki lokalnej. Jarosław Piotr Woźniak (Oleśnica) postawił natomiast na hasło anglojęzyczne: „Make Olesnica Great Again”, sugerując, że to dolnośląskie miasto przeżywało kiedyś okres świetności („great”) i że on te czasy przywróci („again”), a także dając do zrozumienia, że w nadchodzących wyborach na prezydenta USA Oleśnica (ang. Oleśnica) zgłaszuje na Donalda Trumpa. Ale to za chwilę. Na razie – cieszymy się wiosną. ●

SPRZEDAM WSZYSTKO I KAŻDEMU

Ropa, złoto, diamenty. Razem z zimną wojną wrócili pokątni handlarze strategicznymi surowcami

Mateusz Mazzini

Lug to szwajcarskie miasteczko wychodzące na zdjęciach tak perfekcyjnie, że człowiek musi kilka razy upewnić się, czy ma do czynienia z realnym krajobrazem, czy może został już oszukany przez sztuczną inteligencję. Na pierwszym planie ocean spiczastych dachów w ceglany kolorze, pośrodku iglica z zegarem astronomicznym. Dalej jezioro, oczywiście błękitne, a w tle ośnieżone szczyty Alp. Liczba mieszkańców – 29 tys. Liczba pastwisk dla krów – 61. Liczba kościołów – 5. Najbliższe lotnisko – Zurych, 20 minut samochodem. Liczba zarejestrowanych spółek handlowych – ponad 35 tys., wychodzi 1,2 na mieszkańca.

Kiedy pytam znajomych, którzy pomieszkowali w Zug, dlaczego nikt nie osiadł tam na stałe, wszyscy odpowiadają tak samo: to miejsce, w którym zabawa idzie na emeryturę i bardzo szybko umiera. Po co więc w ogóle tam jeździć, pytam. Po pieniądzu – słyszę od razu. Bo dwie najważniejsze liczby, które sprawiają, że Zug, ta alpejska świątynia śmiertniczego spokoju, ma ogromne znaczenie dla światowego handlu, to podatki. CIT 11,8 proc., podatek dochodowy dla osób fizycznych 22,06 proc. W obu przypadkach to najniższe stawki w całej Szwajcarii. Na tyle atrakcyjne, że uczyniły z Zug niekwestionowaną stolicę handlu zasobami naturalnymi.

Wpisanie do wyszukiwarki hasła „znani ludzie Zug” nie daje wielu satysfakcjonujących rezultatów, bo też ludzie, którzy się w takie miejsca przeprowadzają, rozgłosu raczej unikają, niż go pragną. Dłuższa kwerenda nie pozostawia jednak większych wątpliwości, zwłaszcza lokalne źródła wymieniają jedno nazwisko: Marc Rich. Urodzony w 1934 r. w Antwerpii, w internecie opisywany jest jako „finansista” i założyciel firmy Glencore, jednego z największych na świecie konsorcjów handlujących ropą i metalami rzadkimi. W rzeczywistości jednak żadna z tych dwóch informacji nie jest prawdziwa. Glencore powstało nie dzięki, a wbrew Richowi, którego własny zespół uznał na początku lat 90. za zbyt stetrycznego, żeby odnaleźć się w nowej geopolitycznej rzeczywistości. Nie był też „finansistą”, bo realizował cały wachlarz profesji i zadań.

Dużo więcej prawdy jest w tytule, który Richowi nadali Javier Blas i Jack Farchy, dziennikarze portalu Bloomberg, autorzy książki „Świat na sprzedaż”. Dla nich najbardziej znany rezydent Zug był „mistrzem światowego rynku ropy”. Urodził się w rodzinie handlarzy, przez biznes ojca przechodziły buty, tekstylia, butelki – wszystko, co dało się taniej kupić i drożej sprzedać. Od dziecka obserwował znaczenie handlu mię-

dzynarodowego, patrząc na zagraniczne towary trafiające do portu w Antwerpii.

To miasto w opowieści o zglobalizowanej gospodarce jeszcze zresztą powróci, na razie skupmy się na Marcu, a raczej Marcelu, bo tak w europejskich czasach nazywał się przyszły król ropy. Ma talent do języków, od dziecka mówi płynnie po francusku i niemiecku. Przed Holocaustem ucieka do Stanów, gdzie osiedla się w 1941 r. I natychmiast pojmuję szanse, jakie stwarza mu wolny rynek, na który wchodzi jako handlarz z największego mocarstwa na planecie.

Karię zaczyna w Philipp Brothers, firmie z tradycją sięgającą początków XX wieku, handlującą metalami na rynkach kontynentalnych. Z czasem hamburska firma się rozrasta, otwiera biuro w Londynie, potem przenosi za ocean – z powodu widma nazizmu, trzon personelu stanowili Żydzi. I byłby pewnie Marc Rich po prostu jednym z wielu obrzydliwie bogatych handlarzy, sownie wynagradzanych, gdyby nie rewolucja, jaką na rynku surowców przyniosły lata 60.

W 1960 r. w wyniku spotkania w Bagdadzie ministrów energetyki pięciu największych eksporterów ropy powstaje OPEC, międzynarodowy kartel regulujący światowy rynek. Cztery kraje Zatoki Perskiej i Wenezuela siadają razem do stołu, żeby ustalić ceny ropy – bo denerwuje ich, że amerykańskie koncerny zaczęły ją sprzedawać bez zgody eksporterów po zaniżonych cenach. Nacjonalizują więc swoje sektory energetyczne, tworzą nowe, gigantyczne podmioty państwowe i zaczynają grę prowadzić indywidualnie. Amerykanie początkowo nie umieją się w nowym porządku odnaleźć, głównie dlatego, że po raz pierwszy ktoś utrudnia im dostęp do surowca. A dzieje się tak, bo nagle na amerykańskim rynku pojawia się ropa znacznie tańsza od arabskiej czy latynoskiej – radziecka.

To pierwszy mit, z którym Blas i Farchy rozprawiają się w książce, będącej owocem wieloletniego śledztwa dziennikarskiego dotyczącego sekretów handlu zasobami naturalnymi. Wbrew uproszczonej wersji zimnowojennej historii, gospodarki krajów po przeciwnych stronach żelaznej kurtyny nie były wcale całkowicie od siebie odcięte. Do USA trafiała radziecka ropa, w drugą stronę nierzadko wędrowała żywność. Z kolei surowcową równowagę sił na Bliskim Wschodzie zapewniał zbudowany w 1968 r. rurociąg Ejlat-Aszkelon, którym Izraelczycy transportowali ropę z Morza Czerwonego na wybrzeże śródziemnomorskie. Mało kto jednak wiedział, że ropa ta pochodziła z Iranu, który nawet przed islamską rewolucją z 1979 r. miewał z Izraelem regularne zatargi. Ale przy budowie rurociągu niespecjalnie kogokolwiek obchodziły te różnice, bo oba kraje łączył interes: jedni chcieli ropę kupić, drudzy sprzedać, obie strony – uniezależnić się od ruchu na Kanale Sueskim.



Po dojściu do władzy Chomeiniego współpraca została natychmiast zakończona, bo Islamska Republika znacjonalizowała swoją połowę spółki operującej rurociągiem, na co Izraelczycy zareagowali wstrzymaniem spłat zaległych transz za ropę. Jeszcze przed obaleniem szacha strona izraelska miała wobec Teheranu zobowiązania przekraczające miliard dolarów, których zdecydowała się po prostu nigdy nie spłacić. I to pomimo wyroku sądu z 2005 r., który nakazał przelanie Irańczykom wspomnianego miliarda, z dokładką 7 mln kosztów procesowych. Wyrok wydał nie kto inny, jak...szwajcarski federalny sąd najwyższy z siedzibą w Lozannie, trzy godziny jazdy od Zug.

Zanim jednak Marc Rich przenosi się na stałe w Alpy, wprowadza w handlu surowcami nową jakość. Kraje eksportujące ropę, w większości znajdujące się albo w Ruchu Państw Niezaangażowanych, albo będące areną sponsorowanych przez USA i ZSRR wewnętrznych starć, nagle potrzebują pośredników na tworzącym się zglobalizowanym surowcowym wolnym rynku. Rich doskonale to rozumie, więc szybko przyjmuje prostą dewizę: kupi wszystko i od każdego, byleby miał chociaż przeczcucie, że będzie mógł towar sprzedać w miarę szybko i z zyskiem. Tak rodzi się kariera prawdopodobnie jedynego człowieka na świecie, który w czasie zimnej wojny był w stanie zrobić interes z każdym rządem.

Jego pierwszą brawurową akcją było właśnie wejście w komitywę z Iranem przy okazji uruchomienia rurociągu z Ejlatu. Izrael nie był w stanie skupić całej ropy, któ-

rą Teheran miał do sprzedania, więc Rich wraz z partnerem, Pincusem Greenem, zaoferowali szachowi stworzenie sieci dystrybucji w Europie. Surowiec odbierali w Aszkelonie, płacili za niego pieniędzmi Philipp Brothers, po czym szukali kupców, gdzie tylko się dało. Szybko okazało się, że dla nabywców w krajach rozwiniętych pochodzenie ropy było kwestią kompletnie drugorzędną. W samym tylko 1973 r. National Iranian Oil Company sprzedało tym dwóm handlarzom milion ton – kontrakt opiewał na 37,5 mln dolarów (obecnie prawie 257 mln). Dla Richa i Green'a to był jednak hazard, bo Teheran chciał sprzedawać po 5 dolarów za baryłkę, gdy oficjalna cena na światowych rynkach wynosiła wówczas 3,29 dol.

Mimo to podpisali umowę, podejmując podwójne ryzyko. Ekonomiczne – bo nie mieli pewności, że realne ceny są naprawdę wyższe od oficjalnych i że ktokolwiek kupi od nich ropę za kwotę odpowiednio wysoką, by w ogóle zarobili. Oraz polityczne, bo z zaangażowania amerykańskiej spółki w pośrednictwo pomiędzy Iranem i resztą świata niezadowolone było i CIA, i Białe Domy.

Koniec tej historii jest łatwy do przewidzenia – Rich i Green nie tylko irańską ropę sprzedali od razu, narzucając odpowiednio wysoką marżę, ale na dodatek wcisnęli ją jednej z amerykańskich rafinerii. Szefostwo Philipp Brothers było wściekle, bo kontrakt był obarczony ogromnym ryzykiem, a przy okazji zawarty bez zgody położonych obu handlarzy – więc ci, kiedy tylko mieli okazję, podziękowali za współpracę i poszli na swoje.

W kolejnych latach przeprowadzali transakcje z wojskową dyktaturą w Boliwii, żeby za chwilę wsiąść do samolotu i negocjować z Fidelem Castro na Kubie. Sporo zarobili na umowach z RPA, której pomagali przełamać międzynarodową izolację wynikającą z apartheidu. Indie, Pakistan, kraje Zatoki Perskiej czy Afryki Subsaharyjskiej – Rich zarabiał z każdym, a przede wszystkim – na każdym. Niespecjalnie przejmował się przy tym kwestiami etycznymi oraz polityką własnego kraju. Z Iranem handlo-

Chile i Meksyk zatrzymują dla siebie lit, Indonezja nikiel. Jak w latach 60., dekadzie dekolonizacji, przez świat przetacza się fala nacjonalizacji surowców



wał nawet po islamskiej rewolucji, w trakcie słynnego trwającego ponad rok kryzysu z 52 amerykańskimi zakładnikami przetrzymywanymi w ambasadzie w Teheranie. Przyplacił to wpisaniem na listę poszukiwanych przez FBI, dwiema dekadami batalii sądowych, aż wreszcie z USA uciekł na stałe. Szukał miejsca, z którego mógłby nadal prowadzić globalne interesy swojego imperium, noszącego już nazwę Marc Rich and Co., jednocześnie mając pewność, że nie dotknie go tam silna ręka amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. I takie miejsce znalazł – w Zug.

Rich ignorował nie tylko bariery natury moralnej, ale też sankcje i prawo międzynarodowe. Jego popisowym numerem było otwarcie przedstawicielstwa swojej firmy w Brukseli, żeby mieć swojego człowieka bliżej portów w Rotterdamie i rodzinnej Antwerpii. Formalnie biuro reprezentowało interesy Burundi, dawnej belgijskiej kolonii i jednego z najbiedniejszych państw na świecie. Z praktycznego punktu widzenia kupowanie ropy dla Burundi nie miało żadnego sensu, bo kraj gospodarkę opierający na produkcji kawy i herbaty, ropy zwyczajnie nie zużywał. Miał jednak zasadniczą zaletę, o której Rich przekonał się niejednokrotnie – dzięki zrzeszeniu w Ruchu Państw Niezaangażowanych mógł kupować ropę od państw OPEC po olbrzymich zniżkach. Za kilka łapówek Rich został oficjalnym reprezentantem Burundi na rynku surowców – i zyskał dostęp do bardzo taniej ropy, którą odsprzedawała chętnym za nawet kilkukrotnie wyższą.

Rich stworzył imperium i żył jak król, jednak jego własni traderzy zbuntowali się na początku lat 90. w taki sam sposób, jak on 20 lat wcześniej. Wyszli z firmy, założyli własną. Na pierwszą siedzibę wybrali, a jakże, Zug.

Od upadku komunizmu, uwolnienia całości radzieckich złóż dla światowych rynków i dzikiej bonanzy lat 90. minęły już ponad trzy dekady. Na papierze świat się od tego czasu ucywilizował – spadła liczba zamachów stanu, dyktatur i konfliktów pomiędzy suwerennymi państwami, więcej z nich określa się jako chociaż częściowo

• **Staw do odparowywania litu na pustyni Atakama w Chile. Potem wykorzystuje się go do produkcji akumulatorów**

FOT. PHILIPPE PSAILA/SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

demokratyczne. Politycznie, gospodarczo, społecznie zmieniło się więc wszystko. Ale w handlu surowcami nie zmieniło się nic.

Nie zniknął chociażby cały ekosystem pośrednictwa pomiędzy rządami krajów dziś nazywanych Globalnym Południem, a firmami z Północy zarabiającymi na tamtejszych zasobach. Nowym królem polowania jest amerykański ExxonMobil, który w 2015 r. rozpoczął eksplorację złóż ropy wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej, odkrywając depozyt stanowiący 0,6 proc. wszystkich zasobów tego surowca na planecie.

Teoretycznie należy on do Gujany, dawnej brytyjskiej kolonii liczącej zaledwie 800 tys. mieszkańców, o PKB 85 razy mniejszym od Polski, która mimo to według Międzynarodowej Agencji Energetycznej już w 2027 r. może się stać jednym z 20 największych producentów ropy na świecie. Aby się udało, musi zwiększyć produkcję trzykrotnie, lecz w przeciwnieństwie do innych ropośnych krajów regionu, jak Wenezuela, Brazylia czy Argentyna, Gujana nie ma silnej państwowej spółki naftowej, która mogłaby sama przeprowadzać wydobywanie, prowadzić rafinerie i handlować surowcem na rynkach światowych – jest więc skazana na zagraniczne korporacje, które wykupują całe złoża. Tak zwany Blok Stabroek, pole naftowe o powierzchni 27 tys. km², w 45 proc. należy do ExxonMobil, 30 proc. – do amerykańskiego koncernu Hess, a pozostałe 25 proc. do chińskiej spółki CNOOC.

A czarne złoto z Gujany już przekłada się na astronomiczne zyski. Według Reutersa w samym tylko 2022 r. zyski korporacyjnej trójki wyniosły 6 mld dolarów i były aż o 245 proc. wyższe niż 12 miesięcy wcześniej. Oczywiście wszyscy zapewniają, że kraj na tym nie traci, bo pieniądze są potem reinwestowane na miejscu, ale opłaty licencyjne i podatki dla rządu Gujany stanowią ułamek kwoty, która trafia na zagraniczne konta.

Lokalne władze dopiero w 2022 r. podjęły decyzję o powołaniu państwowej spółki, która miałaby ograniczyć pole manewru wielkich korporacji – wliczając w to odebranie prawa ExxonMobil, Hassa i CNOOC do ubiegania się o nowe licencje na wydobywanie ropy. Gujana jednak sama takiej częściowej nawet nacjonalizacji nie jest w stanie przeprowadzić, nie ma na to pieniędzy. Dlatego szuka partnera operacyjnego, którym, według spekulacji na branżowych portalach, najpewniej będzie jeden z konglomeratów naftowych z Bliskiego Wschodu. Trudno sobie wyobrazić scenariusz, w którym na przykład Saudi Aramco czy ENOC, spółka paliwowa ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, będą ochoczo oddawać Gujańczykom radykalnie większą część zysków, niż robili to Amerykanie i Chińczycy.

Niektóre kraje próbują mimo wszystko postawić się korporacjom. W kwietniu 2023 r. prezydent Chile Gabriel Boric podjął decyzję o nacjonalizacji krajowych złóż litu, materiału kluczowego dla globalnej zielonej rewolucji energetycznej, wykorzystywanego m.in. w akumulatorach samochodów elektrycznych. Bieżących kontraktów z prywatnymi firmami wydobywczymi nie wywłaszczyl, zapowiedział jedynie, że każda kolejna umowa będzie musiała być zawierana z rządem. Momentalnie wywołało to krytykę ze strony zwłaszcza azjatyckich spółek, bo trzej najwięksi odbiorcy chilijskiego litu to Chiny, Japonia i Korea Południowa. Tamtejsi producenci zaczęli kręcić nosem na konieczność przechodzenia przez państwową biurokrację, a chińska giełda metali Wuxi Stainless Steel Exchange dzień po decyzji Borica zanotowała spadek o 3,4 proc.

Tak naprawdę jednak korporacyjnych bossów martwi nie tyle chilijskie upaństwowienie, co możliwość pojawienia się nowych graczy. Lit, nikiel i kobalt będą w najbliższych latach tym samym dla rynku energii, czym ropa w latach 60. I tak jak wtedy, dotychczas wielkie firmy wydobywcze miały w większości przypadków pełen komfort zarabiania – po prostu wykupywały złoża, wyciągały metal z ziemi, przerabiała i sprzedawały. Teraz jednak – znowu, analogicznie – przez świat przetacza się fala nacjonalizacji. Chile zrobiło to z litem w tym roku, Meksyk w 2020, Indonezja upaństwowiła złoża niklu. W Afryce Zambia upaństwowiła swój sektor wydobywania miedzi, wcześniej w sporej części robiły to władze Demokratycznej Republiki Konga – dla obu krajów ten surowiec jest najważniejszym składnikiem eksportu. W kierunku nacjonalizacji idą rządy Papui-Nowej Gwinei, Zimbabwe, Tanzanii, a w Ghanie w 2020 r. do wzmocnienia kontroli nad wydobyciem złota wysłano nawet armię.

Wszędzie tam, gdzie się to dzieje, wzrasta ryzyko dla korporacji – a pojawia się szansa dla ludzi takich, jak Marc Rich.

„Król Ropy” zmarł w 2013 r., raczej zapomniany. Dziś rynkiem surowców – tym oficjalnym i tym ukrytym w cieniu – sterują inni. Często nie noszą już drogich garniturów, ale nadal latają prywatnymi samolotami na spotkania z rządami każdego kraju, który zaoferuje im swoje zasoby. Nowym wcieleniem Richa jest chociażby Andriej Nikołajewicz Iwanow, przedstawiciel Grupy Wagnera w Republice Środkowoafrykańskiej, Sudanie i Mali. To on, wciągnięty na listę sankcyjną przez Departament Skarbu, odpowiadał za zdobywanie koncesji na wydobywanie złota, diamentów i innych surowców, którymi afrykańskie kraje płacą wagnerowcom za ich usługi wojskowe.

Potem Iwanow za pośrednictwem spółek-córek wywoził je do innych krajów, m.in. do RPA i Emiratów, gdzie, korzystając z niemal niestniejących regulacji rynku finansowego i masowej korupcji sprzedawał, zyski wpłacając na konta w miejscowych bankach. Potem przepuszczał je przez instytucje-słupy, jak centra kultury, prywatne szkoły czy NGO-sy, aż wreszcie lądowały na kontach banków już w Europie, w zdecydowanej większości – w Szwajcarii.

U podnóża Alp doskonale przez lata czuł się również Andriej Melniczenko, jeden z najbogatszych i politycznie najbardziej wpływowych rosyjskich oligarchów. To w Zug znajduje się siedziba EuroChem, giganta produkującego nawozy dla rolnictwa, który przed atakiem Rosji na Ukrainę przynosił ponad 10 mld dolarów przychodów rocznie. Melniczenko to surowcowy baron, bo zarabia też olbrzymie pieniądze na węglu jako współzałożyciel SUEK, syberyjskiej spółki wydobywczej (przed wojną przychód na poziomie 6 mld dolarów). Z Putinem jest tak blisko, że prezydent zaprosił go na naradę gospodarczo-wojenną kilkanaście godzin po rozpoczęciu inwazji. Melniczenko razem z 36 innymi oligarchami zawczasu pomagał Kremlowi opracować plan omijania nadciągających zachodnich sankcji.

Sam doskonale wiedział, co robić – zanim ograniczenia wprowadzone przez Białą Dom i Europę zaczęły działać, on już był czysty. Na początku marca 2022 udziały w EuroChem przeniósł na zonę za pośrednictwem zarejestrowanego na Cyprze funduszu powierniczego. Oboje nie mają sobie nic do zarzucenia – Aleksandra, wcześniej serbska supermodelka i gwiazda muzyki pop, chwali się, że przez lata przekazali na różne cele charytatywne ponad pół miliarda dolarów. A kiedy bank Credit Suisse tymczasowo zamroził dolarowe konta EuroChem, Andriej żalił się, że utrudni to spółce eksport nawozów, co spowoduje, że „miliony ludzi na świecie będą cierpieć głód”. Ale choć Andriej i Aleksandra są objęci sankcjami, EuroChem pozostaje nietknięty, bo i Bruksela, i rząd Szwajcarii uznali, że małżeństwo nie ma ze spółką nic wspólnego.

Jak wyliczyli w czerwcu 2022 r. reporterzy „Wall Street Journal”, szwajcarskie banki w dniu inwazji na Ukrainę zarządzały 150 mld dolarów majątków rosyjskich klientów. Przez ten kraj przechodziło również 80 proc. handlu rosyjskimi zasobami naturalnymi. Jedno miasteczko tak bardzo przyciągało rosyjskich biznesmenów i tamtejsze spółki, w tym Gazprom oraz operatorów Nord Stream 1 i Nord Stream 2, że sami Szwajcarzy zaczęli nawet nazywać je „małą Moskwą”. Tym miasteczkiem był Zug. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.



„Świat na sprzedaż. Kulisy dziennikarskiego śledztwa w sprawie handlu zasobami Ziemi”, Javier Blas, Jack Farchy, Szczeliny, imprint Wydawnictwa Otwartego, Kraków 2023. Książka dostępna na stronie wydawnictwa i w formie e-booka na Publio.pl.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Sto lat zainteresowania

POGWALCONA WOLA

Żeby odkryć wszystkie kulisy publikacji ostatniej, pośmiertnej powieści Gabriela Garcíi Marqueza, pojechalśmy do Meksyku i Austin w Teksasie.

Iker Seisdedos

EL PAÍS

In agosto nos vemos” (w Polsce ukaże się 27 marca jako „Widzimy się w sierpniu”, w przekładzie Carlosa Marrodana Casasa), zwięzła pośmiertna powieść kolumbijskiego noblisty, miała swoją światową premierę 6 marca. Bardziej niż swoją treścią, zwróciła uwagę z powodu okoliczności publikacji, czyli przede wszystkim powodów, dla których spadkobiercy postanowili jej, wbrew woli samego autora, dokonać.

Pojechalśmy do Harry Ransom Center w Austin w Teksasie, gdzie przechowywanych jest aż pięć wersji tej książki z odręcznymi poprawkami pisarza, podobnie zresztą jak cała jego spuścizna.

Gabo rzecze: „Musi zostać zniszczona”

Ostatni akord twórczości literackiej Gabriela Garcíi Márqueza, spakowany w dwóch pudłach, jest częścią zdeponowanego przez rodzinę archiwum pisarza. Całość została zakupiona w 2014 r. przez Harry Ransom Center i jest do dyspozycji badaczy w gmachu z surowego betonu na kampusie Uniwersytetu Austin. W żółtych teczkach znajduje się m.in. pięć ręcznie poprawianych wersji krótkiej powieści „En agosto nos vemos”, datowanych na czerwiec i lipiec 2004, a także kopia z adnotacją „Los Angeles” – od miasta, w którym autor pracował nad nią po raz ostatni, poddając się jednocześnie terapii antynowotworowej. Do tego jego chłodny raport z autorskiej lektury i kilka fragmentów wysłanych do Barcelony do jego agentki, Carmen Balcells. Jest też wreszcie adnotacja z 2010 lub 2011 r., w której pisarz stwierdza: „Ta książka nie jest dobra. Musi zostać zniszczona”.

A jednak nie została zniszczona. Ukazała się właśnie, dokładnie w dniu 97. urodzin pisarza. Równoczesna (albo prawie) premiera w 40 językach została zapowiedziana jako jedno z wydarzeń wydawniczych roku.

Rodrigo Garcíia i Gonzalo Garcíia Barcha, synowie noblisty, i ich matka Mercedes Barcha, która zmarła na początku pandemii, już kilka lat temu, przejrzawszy dokładnie wszystkie wersje książki, zdecydowali, że jednak zasługuje na publikację. „To był jego ostatni wysiłek przeciwko blaknięciu własnych wspomnień”, tak Rodrigo, pierworodny syn, hollywoodzki filmowiec, wyjaśniał kilka tygodni temu w rozmowie w mieście Meksyk. „Przez dłuższy czas intensywnie nad tym pracował. A potem, gdy zaczął stopniowo zapominać o różnych rzeczach, zapomniał także o tej książce. To był mój ojciec, wiem, że kiedy w końcu powiedział, że nadaje się do kosza, nie był już w stanie należycie jej ocenić. Owszem, nie jest tak dopracowana jak inne jego powieści, ale nie jest też niezrozumiałym bałaganem”.

Aby uporządkować materiały pozostałe po jego śmierci – od której w kwietniu

minie dziesięć lat – synowie zwrócili się do hiszpańskiego redaktora Cristóbal Pery, który korespondencyjnie, z Barcelony, pracował z Gabo nad jego autobiografią, „Vivir para contarla” (Życie jest opowieścią) oraz kompilacją jego wystąpień publicznych, „Yo no vengo a decir un discurso” (2010). Pera, który jest obecnie dyrektorem redakcyjnym amerykańskiej gałęzi wydawnictwa Planeta, zebrał w wolnym czasie na strychu swojego domu w New Jersey wszystkie poprawki naniesione przez Garcíę Márqueza ręcznie, czerwonym długopisem, na wydruki ostatniej powieści. „Nie został przeze mnie dodany nawet jeden przecinek, ale próbowałem zrozumieć, jaka wersja była najbliższa wyłaniającego się z całości zamysłu pisarza. Wykonywałem pracę redaktora tak, jakbym był u jego boku, podążając za jego notatkami” – mówi.

Synowie chcieli „uszanować w jak największym stopniu” postać, w jakiej historia została pozostawiona, gdy ich ojciec zrezygnował z jej kontynuowania – do tego stopnia, że, jak mówi Rodrigo Garcíia, odmówili naprawienia „kilku sprzeczności”, gdy niektórzy tłumacze zwrócili na nie uwagę.

Pierwszy raz z punktu widzenia kobiety

Fabula 110-stronicowej powieści jest kompletna. Bohaterką jest kobieta w średnim wieku o nazwisku Anna Magdalena Bach, jak druga żona barokowego geniusza – to z pewnością wybór znaczący, ponieważ czytelnicy już wiedzą, że imiona były dla Gabo ważne: „Bohaterowie moich powieści nie stają na własne nogi, dopóki nie otrzymają imienia, które identyfikuje ich sposób bycia”, deklarował.

A zatem Anna Magdalena Bach żyje w długoletnim związku ze swoim mężem, a co roku w sierpniu wyrusza w podróż na wyspę, gdzie znajduje się grób jej matki, aby położyć kwiaty i zdać jej relację. I podczas każdej z tych podróży bierze sobie nowego przygodnego kochanka. Nie jest jasne, kiedy dokładnie i gdzie rozgrywa się ta historia – ale na pewno współcześnie.

Kiedy archiwum – 80 pudeł z dokumentami, 67 dyskieciek oraz 15 dużych teczek – zostało przekazane, spadkobiercy od razu ograniczyli dostęp do wszystkich wersji niepublikowanej powieści. Nie została ona również uwzględniona w przeprowadzonej w 2017 r. digitalizacji 27 tys. dokumentów, która była ograniczona do „nieco ponad połowy całości”, czyli do tych materiałów, do których rodzina posiada prawa. Wykluczyło to m.in. korespondencję pisarza z m.in. Woodym Allenem, Billem Clintonem, Akirą Kurosawą czy Fidelem Castro.

„Mimo to dostaliśmy szeroki wgląd w proces twórczy pisarza” – mówi Jim Kuhn, który nadzorował digitalizację z ramienia Harry Ransom Center. „Rodziny autorów o takiej randze nieczęsto na to pozwalają, ponieważ uważa się – moim zdaniem niesłusznie – że ma to negatywny wpływ na sprzedaż książek”.

Magnes Marquez

Digitalizacja nie sprawiła też, że osobiste zapoznanie się z papierami po kolumbijskim nobliście stało się mniej interesujące.

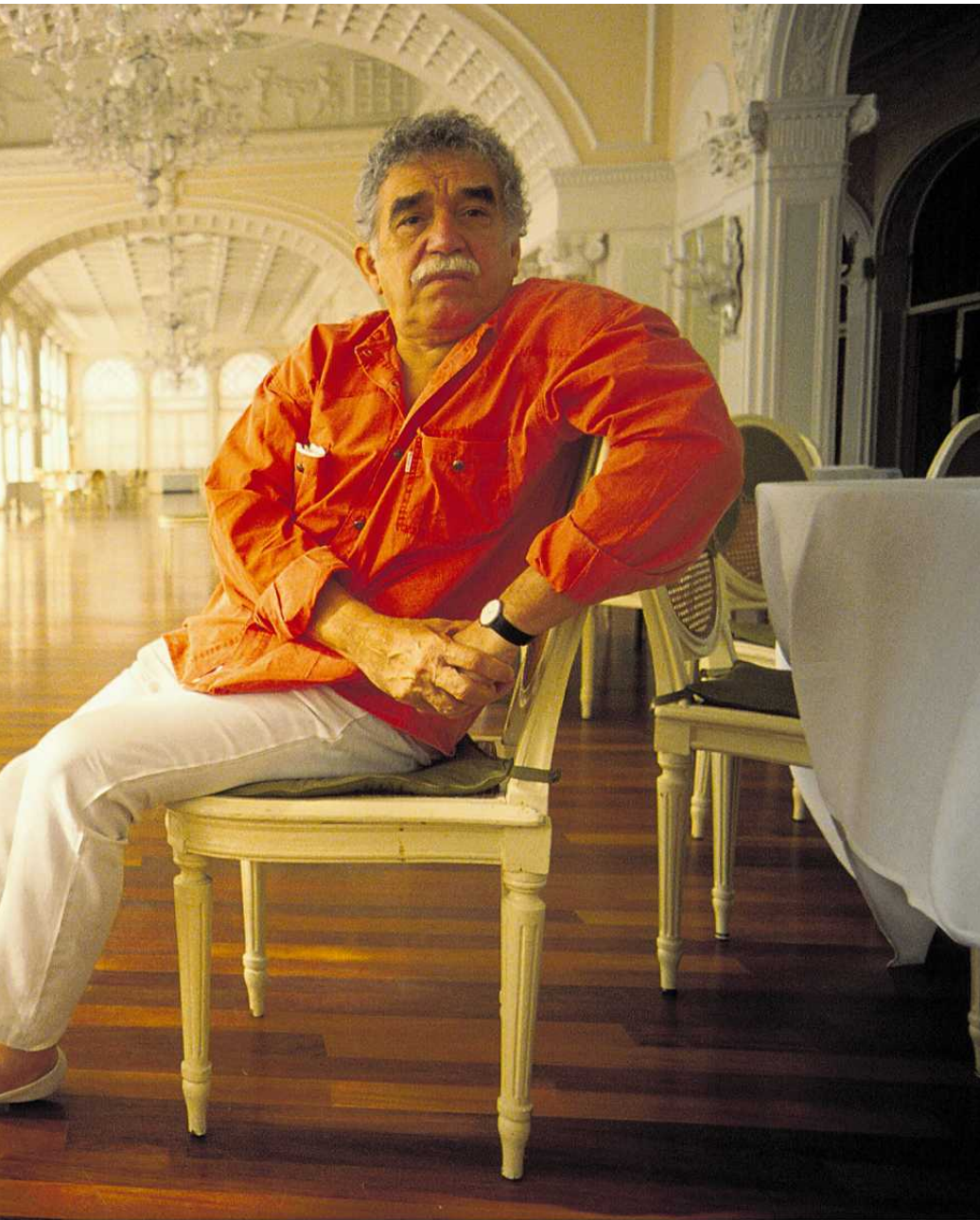


FOT. REUTERS/VIOLETA SANTOS MOURA

Czego jeszcze nie wiemy o Garcíi Marquezie, to m.in. o czym dokładnie korespondował – z Woodym Allenem, Billem Clintonem, Akirą Kurosawą czy Fidelem Castro

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

NOBLISTY



FOT. GRAZIANO ARICCI / EYEMINE/FEAST NEWS

Harry Ransom Center to instytucja, która w swoich zbiorach posiada Biblię Gutenberga, dokumenty dotyczące afery Watergate, jednak przede wszystkim archiwa prywatne Jamesa Joyce’a, Virginii Woolf, J.M. Coetzee’go i Davida Fostera Wallace’a, a nawet.... Roberta De Niro. Pozyskując archiwum Garcii Marqueza, chciała otworzyć się na spuściznę kulturalną Ameryki Łacińskiej, a Jim Kuhn przyznaje, że był to strzał w dziesiątkę, gdyż to właśnie Garcia Marquez jest dziś głównym magnesem przyciągającym badaczy z całego świata do Austin.

Kiedy ostatnia powieść została udostępniona wybranym badaczom, kolumbijski pisarz i dziennikarz Gustavo Arango opublikował wychwalający ją tekst – i to był kolejny powód, który skłonił rodzinę do publikacji, mówi Pera, „zanim ktoś sfotografuje ją w czytelnicy i rozpowszechni w internecie. „Zarzut, że publikują pośmiertną i nie całkiem ukończoną rzecz, by zarobić, jest chybiony”, dodaje redaktor. „Dorobek Garcii Marqueza cały czas dostarcza sporych pieniędzy, w samych tylko Chinach w ostatnich kilku latach sprzedano 10 milionów egzemplarzy ‘Stu lat samotności’”.

W archiwum można prześledzić także długą historię powstawania „En agosto nos vemos”. Są np. zdjęcia z 1999 r., gdy w Casa de América w Madrycie pisarz czytał wersję pierwszego jej rozdziału, podczas spotkania z José Saramago. Dziennikarka „El Pais” Rosa Mora napisała wówczas artykuł,

w którym opisała planowaną fabułę, mającą stanowić pierwszą z pięciu historii, które złożą się na następną książkę: „Wydają się być zamkniętymi, autonomicznymi historiami, ale wspólnie mają tworzyć jednolitą całość”. Dziś Mora wspomina: „Było wielkie napięcie, ponieważ rozeszła się wieść, że Gabo przeczyta coś nowego. Wtedy był prawdziwym celebrytą, a zarazem nigdy nie publikował co dwa-trzy lata, tylko rzadziej, za to lubił dawać wskazówki, które materializowały się dopiero dużo później”.

Kiedy hiszpańska gazeta „La Vanguardia” opublikowała pierwszy rozdział kilka dni po śmierci pisarza, podkreślano, że „En agosto nos vemos” domknie trylogię „o miłości dojrzalej”, której częściami są „O miłości i innych demonach” i „Rzecz o mych smutnych dziwkach”. Rodrigo Garcia: „Uważam, że faktycznie bardzo dobrze uzupełnia ten tryptyk utrzymany w feministycznym, jak na ojca, tonie. To jest jedyna jego opowieść podana w całości z punktu widzenia kobiety”.

Czcionka, teczka, Apple

Wszystkie wersje przechowywane w Austin są napisane czcionką Palatino, czyli standardowym krojem pisma pierwszych komputerów Apple, których Gabo używał z entuzjazmem (ostatni należący do niego egzemplarz również znajduje się w Harry Ransom Center). „Używał ich wyłącznie do pisania i czytania gazet online. Wo-

łał edytory tekstów, bo lubił kończyć każdy dzień stroną doszlifowaną, na czysto, a więc z maszyną do pisania tracił dużo czasu na nanoszenie korekt” – wspomina Rodrigo García. „Z komputerem przeszedł od pisania jednej strony dziennie do czterech-pięciu”.

Potem je drukował i zaznaczał na czerwono lub ołówkiem powtórzeń, skreślał, głównie przymiotniki, lub zmieniał zdanie na temat wieku bohaterki: najpierw miała blisko sześćdziesiątkę, potem 36 lat, a w końcu 46. Pera polegał, jak mówi, głównie na piątej wersji, która znajdowała się w czarnej teczce firmy Leuchtturm, jego ulubionej, z napisem „Gran OK”. Z tym że redaktorska praca Pery nad tą powieścią rozpoczęła się na długo zanim synowie Gabo zadzwonili do niego z tą propozycją dwa lata temu. „Jeszcze w 2010 r. Carmen Balcells zagadnęła mnie w Barcelonie: ‘Cristóbal, musisz zmusić Gabo do ukończenia powieści, nad którą pracuje’. Pojechałem więc do Meksyku, ale on wyjaśnił mi rozbawiony, że przecież jest skończona i aby to udowodnić, przeczytał mi rzekomo ostatni akapit. Potem jednak miesiącami nie pozwalał mi zobaczyć więcej”.

W procesie rekonstrukcji redaktorowi pomagała Mónica Alonso, długoletnia (i nadal dyskretna; odmówiła rozmowy o kulisach) asystentka noblisty w czasach, gdy sam pisarz, który zawsze uważał się - jak wspomina jego biograf, Gerald Martin - za „profesjonalistę pamięci”, zaczął ją tracić. Ten „bolesny proces” został opisany przez Rodriga Garcíę w książce o rodzicach: „Gabo y Mercedes: una despedida”. Nie pomija tam nawet „bardzo trudnych miesięcy”, w których pisarz „wprawdzie pamiętał swoją żonę, ale był przekonany, że kobieta stojąca przed nim, i podająca się za nią, to oszustka”.

„Ogłaszanie, ile dajemy spadkobiercom za archiwa, psuje rynek”

„W jego przypadku proces samodzielnej edycji prawie nigdy się nie kończył. To po części wynikało chyba z jego profesjonalnego warsztatu dziennikarskiego” – wyjaśnia Alvaro Santana Acuña, profesor z Whitman College w stanie Waszyngton. „Można przyjąć, że z powodu jego stanu w ostatnich latach życia, ‘En agosto nos vemos’ jest książką gotową do połowy. Pięć wersji to może wydawać się dużo, ale należy pamiętać, że ‘Rzeczy o moich smutnych dziwkach’ zachowało się 18 wariantów. Jeśli pierwsze z jego powieści znamy w jednej wersji, to tylko dlatego, że do 45. roku życia był pisarzem w ciągłym ruchu, który nie taszczył ze sobą archiwów ani bibliotek”.

Santana Acuña jest jedną z osób, które najlepiej znają dokumenty z Austin. Pozwoliły mu napisać „Ascent to Glory” (2020), swego rodzaju biografię „Stu lat samotności” i równie nieoczekiwanego, co kolosalnego sukcesu tej powieści. A także kuratorem wystawy o Gabo „The Making of a Global Writer”, która umieszcza dorobek Kolumbijczyka w kontekście innych wielkich autorów XX w., Joyce’a, Faulknera, Borgesa czy Cortázar.

Dla szefa Harry Ransom Center, Stephena Ennissa, sfinalizowanie zakupu archiwum Gabo było pierwszą ważną decyzją, kiedy objął placówkę dziesięć lat temu. „Zadzwonił do mnie dealer z branży z Nowego Jorku, Glenn Horowitz, i zapytał, czy ‘bylibyśmy zainteresowani’. Szczęście, że byliśmy pierwsi na jego liście, bo to jest na prawdę kura znosząca złote jajka” – mówi. Początkowo transakcja była dyskretna, ale gdy agencja Associated Press skierował wniosek o przejrzystość do prokuratora generalnego Teksasu, ujawniono, że opiewała na 2,2 mln dol. Enniss do dziś potępia ujawnianie takich informacji: „Ogłaszanie, ile dajemy spadkobiercom za archiwa, psuje rynek. Eskaluje żądania rodzin innych pisarzy”.

Wybór rodziny był krytykowany: dlatego przesłano skarby noblisty do USA, zamiast przekazać Kolumbii lub pozostawić w Meksyku, gdzie żył przez dziesięciolecie. Dlatego nowy właściciel chciał jak najszybciej skatalogować i udostępnić archiwum publiczności. „My nadal je uzupełniamy, gdy tylko nadarzy się okazja” – mówi wicedyrektorka instytucji w Austin, Megan Barnard. Np. w 2022 r. dodano pudełko z dokumentami znalezionymi w domu rodzinnym po śmierci wdowy po pisarzu. Najnowszym elementem kolekcji, nabytym na aukcji, jest list z 1950 r. zaadresowany przez Garcíę Márqueza do jego przyjaciela Carlosa Alemána, w którym opowiada mu o głównym bohaterze „Stu lat samotności”.

Czas na serial

O tym, że archiwum jest naprawdę dostępne, mogą się przekonać, kiedy w raptem 20 minut po wejściu prosto z ulicy dostają do ręki oryginalny maszynopis „Stu lat samotności” i odkrywam, że legendarne pierwsze zdanie („Wiele lat później, stojąc naprzeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik Aureliano Buendia miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go ze sobą do obozu Cyganów, żeby mu pokazać łód.”) miało co najmniej trzy różne wersje.

Santana Acuña porównuje los spuścizny Gabo z losem dokumentów jego (i wielu innych Latynosów) legendarnej agentki Carmen Balcells. „Zostały zakupione przez państwo hiszpańskie po jej śmierci w 2015 r., a do dziś leżą zapieczętowane i niedostępne nawet dla badaczy, nie mówiąc już o ich digitalizacji”. A szkoda, bo już tylko z jej listów do Garcii Marqueza zachowanych w Austin rysuje się portret kobiety nieprzejednanej, jeśli chodzi o interesy, ale zarazem czulej i ironicznej wobec tych, których reprezentowała („Ściskam cię i zobaczmy, co do cholery możemy ci kupić na urodziny. Trzy tysiące dolarów nie obiecuje rewelacji”).

Agencja Balcells nadal reprezentuje estate Garcii Márqueza, przygotowuje stulecie jego urodzin (2027) oraz planowaną na koniec roku premierę pierwszych ośmiu odcinków serialu Netfliksa opartego na „Stu latach samotności”. To zresztą kolejna kwestia, w której jego spadkobiercy postanowili postąpić wbrew woli pisarza: „Sprzeciwiał się ekranizacjom, wołał, by jego świat istniał tylko w wyobraźni czytelników” – przyznaje Rodrigo García. „Ale z drugiej strony, jako fan kina, mawiał mi o ewentualnej adaptacji swojej najsłynniejszej powieści: ‘Pomyśl tylko, gdyby dało się z tego zrobić wiele godzin filmu, najlepiej sto’. Nie był uprzedzony do telewizji, lubił dobre serie. Więc oferta Netfliksa wydała się nam w porządku”.

García dodaje: „Doszliśmy do wniosku, że prędzej czy później ktoś do tego doprowadzi. Jeśli nie nasze dzieci, to wnuki, a jeśli nie, to gdy powieść trafi do domeny publicznej. Widzieliśmy zainteresowanie Netfliksa, to, że zamierzają wydać dużo pieniędzy na produkcję, że nie będzie to kiczowata telenowela i że uwzględnią nasze zdanie, więc wydawało się, że to właściwy moment”.

Warunki rodziny brzmiały: serial musi mieć „odpowiednią” długość i być kręcony w języku hiszpańskim, w Kolumbii i z aktorami latynoskimi. Syn mówi: „Będzie wiele debat na ten temat. Ludzie powiedzą, że Gabo tego nie chciał. Ale on zwykł nam powtarzać: ‘Kiedy już umrę, róbcie, co chcecie’”. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski



Adam Michnik poleca Jugosławia, byt niemożliwy

ZDRADZIECCY DŻENTELMENI BUDUJĄ OJCZYZNĘ



• Josif Broz Tito podczas jednej ze swych licznych podróży zagranicznych

FOT. DZIEKI UPRIEMOŚCI MUSEUM OF YUGOSLAV HISTORY, BELGRAD

Dla Serbów Słoweńcy i Chorwaci byli „Szwabami”. A ci widzieli w Serbach barbarzyńców

Michał Jerzy Zacharias*

W historii XX-wiecznej Europy Jugosławia zajmuje wyjątkowe miejsce, przede wszystkim z powodu skomplikowanych stosunków narodowościowych. Książka słoweńskiego historyka i etnografa Božidara Jezernika „Jugosławia, kraina marzeń” to potwierdza.

Jej autor imponuje erudycją i trafnością sądów sformułowanych na podstawie kwerendy źró-

dłowej i literatury przedmiotu. Została napisana przystępnym językiem, który zadowoli zawodowego badacza, ale też przeciętnego czytelnika. Dostarcza wielu ważnych informacji o historii narodów jugosłowiańskich do czasu załamania się państwa w kwietniu 1941 r. w wyniku agresji III Rzeszy i Włoch.

Nie to jednak decyduje o jej znaczeniu. Należałoby je wiązać z przedstawieniem idei jugosłowiańskiej, tego swoistego wyobrażenia o „krainie marzeń”, mającego jednoczyć wszystkich południowych Słowian niezależnie od różnic historycznych, kulturowych i religijnych w rozległej i silnej wspólnocie. Wspólnocie stworzonej przez trzy plemiona „trójimiennego lub trójjed(y)nego narodu, od wieków podzielonego geograficznie i historycznie” – Serbów, Chorwatów i Słoweńców.

To „jugosłowiańskie marzenie” niewątpliwie było wynikiem szerszego procesu historycznego – triumfu idei narodowej w XIX wieku.

Początkowo idea narodowa oraz idea państwa narodowego zwyciężała w zachodniej części kontynentu europejskiego; w Polsce mocne było poczucie narodowe, choć jeszcze długo związane z przynależnością do braci szlacheckiej. Niemniej także na ziemiach Słowian południowych nie brakowało „budzicieli narodu”, inteligenckich idealistów i romantyków, „poetów, filozofów, historyków i filologów”, tworzących „kolektywnego ducha swego narodu” i za pomocą „retoryki emocji, sugestywnej symboliki i teatralnych rytuałów” znajdujących dla niej zwolenników, czyli „nacionalizujących społeczeństwo”.

Ostatecznie w połowie XIX wieku powstaje w Słowenii, Chorwacji, Serbii i Czarnogórze „myśl jugosłowiańska” i pojęcie „Jugoslawija”. To ostatnie po raz pierwszy pojawia się w Lublanie w dzienniku „Slovenija” z 19 października 1849 r. W ujęciu niektórych „budzicieli” jugosłowiańska wspólnota miała obejmować także Bułgarów, a więc wykraczała poza ideę „trójimiennego narodu”.

Zderzenie południowosłowiańskiego marzenia z brutalną rzeczywistością jest zasadniczym wątkiem książki.

Jezernik wykazuje, że jugosłowiańscy marzyciele spoglądali na rzeczywistość przede wszystkim przez pryzmat swoich odczuć i przeświadczeń. Dostrzegali tylko mgliste, romantyczne czynniki sprzyjające, jak uważali, sprawie przyszłego połączenia. Pisali, że „z krwi jesteśmy braćmi, z języka przynajmniej krewnymi”. Podkreślali wagę wspólnego „rodu, języka, uczuć”. Głosili, że jedynie teraźniejszość znacząca zniewoleniem i przyszłość niosąca wolność może budować wspólnotę interesów. W rezultacie południowi Słowianie muszą „wypełnić swoją misję: abyśmy wszyscy stali się braćmi: Słoweńcy, Serbowie, Chorwaci i Bułgarzy: byśmy byli synami jednej i tej samej matki, która pragnie wziąć w objęcia swoich bliskich”.

Ostatecznie to swoiste spojrzenie prowadziło do skrzywionego oglądu rzeczywistości, realnego układu stosunków między

narodami południowosłowiańskimi i wokół nich w Europie. Do ignorowania faktów podważających idealną wizję wspólnej przyszłości.

W pierwszym rządzie dotyczy to domniemanej wspólnoty językowej. Język słoweński różni się przecież od... No właśnie, od czego? Od serbsko-chorwackiego czy serbskiego i chorwackiego? Sprawa wcale nie jest oczywista, nawet w późniejszej, komunistycznej Jugosławii toczyły się dyskusje na ten temat, powstawały arbitralne sądy i decyzje przesadzające kwestię tożsamości lub odrębności językowej Serbów i Chorwatów. Sprawa miała bardziej polityczny niż naukowy charakter. Musimy także pamiętać o własnym języku Bułgarów i odrębnych alfabetach u Słowian południowych: łacińskim u Słoweńców i Chorwatów, cyrylicy u Serbów i Bułgarów.

Odrębne alfabety były skutkiem odmiennego kontekstu kulturowego kształtującego historię narodów południowosłowiańskich: łacińskiego, zachodniego w przypadku Słoweńców i Chorwatów i wschodniego, bizantyjskiego – Serbów i Bułgarów. Te różnice kulturowe powstawały także w wyniku odmiennej sytuacji politycznej: wpływów austriackich i węgierskich z jednej i otomańskiej monarchii tureckiej z drugiej strony.

Ostatecznie Słoweńcy i Chorwaci do końca I wojny światowej musieli się godzić z przynależnością do cesarsko-królewskich Austro-Węgier, podczas gdy Serbowie i Bułgarzy w miarę słabnięcia państwa sułtanów znad Bosforu i Dardaneli uzyskiwali własne, niezależne państwa.

Sprawiało to, że serbskie i bułgarskie elity polityczne siłą rzeczy zaczynały myśleć przede wszystkim kategoriami interesu swoich krajów. Idealistyczne, romantyczne koncepcje w istocie ich nie interesowały, co najwyżej odgrywały rolę ornamentu skrywającego rzeczywiste cele i dążenia polityczne. W rezultacie powstawały przeróżne koncepcje „Wielkiej Serbii” czy „Wielkiej Bułgarii”, które nie miały nic wspólnego z marzeniami jugosłowiańskich „budzicieli”, aktywnych głównie wśród Chorwatów i Słoweńców.

Co prawda tak jak oni, serbscy i bułgarscy przywódcy „zgodnie powoływali się na zasadę narodową”, lecz mieli na myśli jedynie „gotowość do podbojów przy każdej nadarzającej się okazji”, jak i „odmowę odstępowania zdobyczy, jeśli można było ją utrzymać”.

Ostatecznie w czasie II wojny bałkańskiej w 1913 r. Serbowie i Bułgarzy skoczyli sobie do gardeł w dążeniu do opanowania „ziem słowiańskich”. Co więcej, Serbia poparła wtedy Grecję i Rumunię, ostrząc sobie zęby na „terytoria słowiańskie”.

Takie fakty pokazywały oczywiste słabe strony idei jedności południowosłowiańskiej w zetknięciu z regułami bałkańskiej Realpolitik. Jezernik trafnie zauważa, że „próby urzeczywistnienia »wielkich ideałów« narodowych poprzez stworzenie »Wielkiej Bułgarii«, »Wielkiej Grecji« i »Wielkiej Serbii« na gruzach rekonwalescentów znad Bosforu” musiały grzebać w zarodku jakiejkolwiek zamysłu szerszego porozumienia narodowego. (Znaczącym tego symptomem było późniejsze twierdzenie serbskich propagandystów, że Bułgarzy nie są Słowianami, lecz „mieszanką różnych plemion tureckich i tatarskich”).

Pierwsza wojna światowa przyniosła potwierdzenie tego stanu rzeczy. Co prawda już w 1915 r. powstał Komitet Jugosłowiański, ale faktyczna orientacja polityczna przedstawicieli „trójmiennego narodu” bynajmniej nie była jednoznaczna. Jezernik pisze, że w wyniku bezpośredniej przyczyny Wielkiej Wojny, zabójstwa austriackiego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, w Sarajewie w końcu czerwca 1914 r. „wszystkie narody austro-węgierskie” domagały się pomśzczenia

śmierci tego polityka [zabitego przez Serba, Gavrilo Principa].

Dotyczyło to również Chorwatów i Słoweńców. Wielu z nich „szło na front, wierząc, że zniszczenie Serbii będzie ich sukcesem”, że dzięki monarchii „zostanie urzeczywistniona Wielka Chorwacja” w obrębie Austro-Węgier, że „pochłonie [ona] Serbów w Austrii i poza jej granicami”.

W Słowenii wyrażano pragnienie, by „ukarać cynicznie-przestępczą Serbię, to bandyckie państwo, ten wrzód na ciele Europy, tę hańbę kultury naszego wieku”. Na ulicach Lublany rozbrzmiewały hasła „Precz z Serbią!”, a tamtejszy biskup Anton Bonaventura Jeglič głosił, że słoweńscy żołnierze „pomśzczą skrajnie zbrodnicze, wieloletnie starania o rozbicie i zniszczenie naszej wspaniałej Austrii pod berłem starej cesarskiej dynastii habsburskiej”.

Gdy wybuchła I wojna światowa, Słoweńcy wyrażali pragnienie, by „ukarać cynicznie-przestępczą Serbię, to bandyckie państwo, ten wrzód na ciele Europy, tę hańbę kultury naszego wieku”

Takie zapewnienia często zdają się szczerze wyrażać społeczne emocje po zabójstwie arcyksięcia, choć zarazem można je wiązać z polityką władz wiedeńskich, mających wystarczające środki nacisku, by zmusić słoweńskie i chorwackie osobistości do wiernopoddających gestów.

Takie postawy wyraźnie kontrastowały z polityką władz serbskich. Podobnie jak w czasie wojen bałkańskich zabiegały one głównie o poszerzenie swego terytorium. Wykazywały zainteresowanie losem Serbów w Bośni i Hercegowinie i uzyskaniem dostępu do morza.

Jak pisze Jezernik, serbski premier Nikola Pašić nie był zwolennikiem Jugosławii. Takie terminy jak Jugosłowianin, narody jugosłowiańskie, Jugosławia były mu „obce, niezrozumiałe; łączyły się z austriackością”. O ile Komitet Jugosłowiański opowiadał się za „integralną” Jugosławią, to władze serbskie dążyły do utworzenia państwa narodowego na słowiańskim południu jako „powiększonej Serbii”.

Wynikiem I wojny światowej była m.in. klęska i rozpad Austro-Węgier, próżnia polityczna na dawnym obszarze tego państwa. Umożliwiła ona utworzenie państwa Słowian południowych, znajdującego poparcie aliantów zachodnich. Jego elity przyjęły „niezręczną, potrójną nazwę Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców”. Mogło to świadczyć jedynie o tym, że mimo marzeń „budzicieli” o narodowym zjednoczeniu, o zatarciu różnic między trzema „plemionami”, nadal czują się one przede wszystkim Serbami, Chorwatami i Słoweńcami. Przedstawiciele serbskiej partii radykalnej sugerowali wówczas, że przyjęcie nazwy „Jugosławia” byłoby w istocie aktem antynarodowym, bo jest ona jakoby „przekładem z języka niemieckiego”.

Wkrótce miało się okazać, że wyśniony „trójjedyny naród, który w epice ludowej potrafił umierać w imię sławnej przeszłości, nie umie zgodnie żyć, by ją osiągnąć”. Opiewali ją bohaterowie wojenni, ale ci są

zazwyczaj kiepskimi „budowniczymi pokoku”.

Jezernik trafnie zauważa, że obywatele nowego państwa powitali wyzwolenie i zjednoczenie z radością, ale płytką, wynikającą „z niewiedzy o sobie”. Towarzyszył jej brak wzajemnego zainteresowania. Bardzo symptomatyczny był fakt, że „po zjednoczeniu nie wydano ani jednej książki poświęconej »historii« Jugosławii. Istniały jedynie odrębne historie: Słoweńców, Chorwatów, Serbów”. Niewątpliwie pogłębiało to stan, w którym „dla dużej części narodu współobywatele z innych rejonów państwa byli mało znanymi obcymi”, o których wiedzę czerpano z propagandy z czasów sprzed I wojny oraz po niej.

Na tym poczuciu obcości żerowali twórcy negatywnych stereotypów, zgodnie z którymi obywatele spoza Serbii i Czarnogóry mieli być „Szwabami”, Słoweńcy

i Chorwaci zaś dostrzegali w Serbach barbarzyńców, którzy „wraz z kulturą bizantyjską przyswoili sobie jej najgorsze elementy”.

Takie poczucie obcości i gorszości obywateli spoza własnej wspólnoty stało się jedną z przyczyn, dla których niemożliwe się okazało powstanie narodu jugosłowiańskiego, prawdziwe zjednoczenie narodowe, zgodne z myślą wypowiedzianą wcześniej w Italii po powstaniu państwa włoskiego: „Ora che l’Italia è fatta, bisogna pensare a fare gl’Italiani” („Teraz, kiedy powstały Włochy, musimy pomyśleć o stworzeniu Włochów”).

Na Bałkanach nie powstała ani Jugosławia, ani Jugosłowianie, niezależnie od faktu, że w 1931 r. król Aleksander zdecydował się zmienić nazwę państwa na Królestwo Jugosławii. Rządził krajem, w którym nadal przeważały rozbieżności polityczne i kulturowe.

Serbskie elity w istocie sprzeciwiały się idei jugosłowiańskiej. Pašić mawiał, że „Serbia chce wyzwolić i zjednoczyć Jugosłowian”, ale nie chce „utonąć w morzu jednej Jugosławii. To nie Serbia utonie w Jugosławii, lecz Jugosławia w niej”.

Taka wizja państwa była zgodna z celami i interesami elit serbskich. Dosadnie przedstawił je Stojan Protić, pierwszy premier jeszcze Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Mówił, że to Chorwaci i Słoweńcy, pokonani wraz z Austriakami i Węgrami w czasie Wielkiej Wojny, powinni „utrzymywać” zwycięzców, to jest Serbów. Odwrotna sytuacja byłaby czymś niespotykanym w historii wojen: „Dewiza, że zwyciężony musi karmić, utrzymywać zwycięzcę i go słuchać, jest aksjomatem”.

Takie stanowisko w istocie wyrażało potrzebę potraktowania Słowenii i Chorwacji jako łupu wojennego. Towarzyszyło mu przekonanie, że ich wysiłku z czasów Wielkiej Wojny nie wolno zrównywać z wysiłkiem i osiągnięciami wojennymi Serbów.

Zdaniem serbskiego generała Pavle Jurišicia Šturma istotny miał być podział tylko na tych, którzy idąc „krwawą, ale prawą ścieżką ciągłości historycznej, której korzenie sięgały [antytureckiego] powstania Karadjordja [w 1813 r.]”, stworzyli „jugosłowiańskie Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców”, i pozostałych, którzy „od zawsze, nawet w czasie wojny światowej, śnili o »habsburskiej Jugosławii«” i postępowali zgodnie z ideologią „błądzącej, separatystycznej i austriackiej części Zagrzebia, Lublany, Sarajewa itd.”. Jugosławia w granicach dawnej monarchii Habsburgów nie byłaby przecież „prawdziwą” ojczyzną „trójjedynego narodu”, zjednoczonego dzięki wysiłkowi dzielnych i zwycięskich Serbów.

Jak sugerowała belgradzka „Politika” w 1925 r., nie należy honorować słoweńskich i chorwackich „poległych żołnierzy”, którzy w czasie Wielkiej Wojny występowali „przeciwko wspólnemu interesowi sprzymierzeńców i Jugosławii, na rzecz Karola Habsburga” – ostatniego cesarza austriackiego. Ci „upadli żołnierze” walczyli przeciwko wyzwoleniu kraju.

Te i inne wypowiedzi cytowane przez Jezernika współgrały z dążeniami, by zapewnić serbskim elitom dominującą pozycję w państwie.

Serbska polityka wywoływała sprzeciw w Lublanie i Zagrzebiu. Pojawiały się tam opinie, że „nasi [serbscy] bracia” pod pojęciami „zjednoczenie” i „wyzwolenie” wyobrażają sobie tylko „najbardziej bezwzględny wyzysk zniewolonych Słoweńców, Chorwatów i innych obywateli”.

A przecież Słoweńcy bardziej niż ktokolwiek inny w kraju myśleli o Jugosławii, o wielkiej idei jugosłowiańskiej – wskazywano w słoweńskim piśmie „Avtonomist” w 1923 r. Podkreślano, że w odpowiedzi „belgradzcy dżentelmeni” wykazali „swoją zdradziecką, podstępną i materialistyczną naturę”. W obywatelach spoza Serbii dostrzegali nie „wyzwolonych i zjednoczonych braci”, lecz konkurentów, którzy „ze swoją zachodnioeuropejską, uczciwą i szczerze demokratyczną mentalnością” mogliby ich w nowym państwie „pozbawić roli trutni, odgrywanej przez nich w małej Serbii”. Dążą oni tylko do „wyzysku oraz politycznego przejęcia zamożnych i bogatych obszarów poza Serbią oraz napelnienia kieszeni ich kosztem i krzywdą”. Serbowie prowadzą politykę „pozbawionej skrupułów eksploatacji i kradzieży, niemającej sobie równych w całej Europie [sic!]”.

W tej i podobnych wypowiedziach widać przesadę, ale sugerowanie serbskiej dominacji w państwie było trafne. Stała ona w sprzeczności z hasłami, że idea jugosłowiańska ma służyć utrzymaniu i pogłębianiu jedności narodowej. Jezernik słusznie wykazuje, że można ją było osiągnąć tylko na drodze kompromisu, „odnadywania elementów scalających”.

Tymczasem władze w Belgradzie inspirowały do zintegrowania „trójmiennego narodu” poszukiwały w serbskich wyobrażeniach o przeszłości, w skarbcu „serbskiej mitologii narodowej”, gloryfikującej rolę Serbów w trakcie różnych świąt państwowych i uroczystości publicznych, „przy jednoczesnym negowaniu sposobu, w jaki przeszłości doświadczali Słoweńcy i Chorwaci”.

Wynosiło to Serbów „ponad ich »równoprawnionych braci«”. Serbskie elity nie dostrzegały, pisze Jezernik, że „idei jugosłowiańskiej potrzebna była Jugosławia, Wielka Serbia była dla niej zbyt mała”. Bliższa Serbom niż pozostałym ludom „trójjedynego narodu”, „nie mogła stać się wspólną, jednoczącą ideologią”.

Myślące głównie o sobie serbskie elity „nie potrafiły znacjonalizować pamięci zbiorowej o przeszłości” i stworzyć wspólnej ideologii narodowej. W rezultacie Jugosławia przeszła do historii „jako jedyne państwo narodowe pozbawione nacio-

nalizmu, czyli najpotężniejszej siły mobilizacyjnej”. Jej problemem „nie był nadmiar nacjonalizmu, lecz jego niedobór”. Głównie dlatego, że jej twórcy „zapomnieli o tym, że budowy domu nie zaczyna się od dachu, ale od fundamentów; że na pustą parcelę nie przynosi się pieca i luster, ale cegły do budowy ścian”.

Te sądy Jezernika są tyle sugestywne, co wielce dyskusyjne. Przecież jugosłowiańskim elitom wyraźnie brakowało zarówno „cegieł”, jak i „fundamentów”, czyli wspólnej historii, kultury, religii, tradycji, zwyczajów, celów i interesów. Sam autor dokładnie pisze o tych brakach. W rezultacie nie było warunków do powstania wspólnej, jugosłowiańskiej świadomości narodowej, wbrew „naukowym dowodom” i „mitycznym historiom z pieśni ludowych”. To właśnie niedobór tej świadomości negatywnie zaważył na dziejach Jugosławii.

Świadomości tej nie należy mylić z nacjonalizmem. Trzeba też pamiętać, że w odróżnieniu od niej państwu południowych Słowian nigdy nie brakowało rozwiniętego nacjonalizmu czy ściślej mówiąc – nacjonalizmów.

Sama świadomość z reguły pełni rolę czynnika skutecznie spajającego te czy inne społeczności. Z faktu, że jakaś wspólnota czuje się Polakami czy Francuzami, nie wynikają żadne zagrożenia. Sytuacja się zmienia, gdy pojawia się nacjonalistyczna ideologia, głosząca, że najważniejsze są cele, interesy jakiegoś narodu.

Jeśli to one są najistotniejsze, nie można wykluczyć, że pojawi się pokusa, by realizować je „per fas et nefas”, bez zbytniego dbania o to, czy będzie można je pogodzić z ideałami czy interesami innych narodów. W rezultacie nacjonalizm często stacza się do poziomu pospolitego szowinizmu – bezkrytycznego uwielbienia własnego narodu, przekonania o jego wyższości i wyjątkowości, idącego w parze z wrogością wobec innych.

Tak właśnie było w Jugosławii. Wyrażenie niedocenione w pracy Jezernika bezlitosne i bezwzględne nacjonalizmy, głównie wśród Serbów i Chorwatów, odcisnęły złowrogie piętno na dziejach tego kraju. Ich przejawem były tragiczne i symptomatyczne wydarzenia.

W czerwcu 1928 r. niejaki Puniša Račić, by „obronić interesy Serbów”, sięgnął po broń w parlamencie w Belgradzie i z zimną krwią zabił dwóch posłów chorwackich oraz postrzelił trzech innych, z których jeden, przywódca Chorwackiej Partii Ludowej Stjepan Radić, zmarł w sierpniu tego roku.

Kilka lat później, w 1934 r., chorwaccy ustasze wspólnie z terrorystami macedońskimi zamordowali w Marsylii samego króla Aleksandra, przybyłego z wizytą do Francji. Uwierceniem tych paroksyzmów stały się nacjonalistyczne porachunki w czasie włoskiej i niemieckiej okupacji podczas II wojny.

Myślę, że należałoby zwrócić uwagę na rozwój nacjonalizmów także w powojennej, komunistycznej Jugosławii, co Jezernik pominął. Jej władze podkreślały znaczenie „bratstva i jedinstva” wszystkich obywateli, niezależnie od narodowego pochodzenia. Niekiedy nawiązywały do idei jugosłowiańskiej, ale najczęściej porzucały dawne teorie istnienia jakiegoś „trójmiennego” czy „trójjedynego” narodu. Otwarcie mówiły o narodach w Jugosławii, i to w odniesieniu nie tylko do Serbów, Chorwatów i Słowenców, lecz także Macedończyków czy Czarnogórców. Szczególnie po reformach, zapoczątkowanych w połowie lat 60., a mających prowadzić, jak podkreślały, do demokratyzacji, debiurokratyzacji i decentralizacji państwa.

W istocie urzeczywistniały tylko tę ostatnią. Była ona konsekwencją uznania narodowych tożsamości. Narody i naro-

dowości jugosłowiańskie posiadały własne republiki i okręgi autonomiczne w ramach wspólnego państwa. Dzięki decentralizacji, ewenementu na tle dziejów innych państw rządzonych przez komunistów, miejscowe instancje partyjne posiadały faktyczne kompetencje polityczne.

W rezultacie, zwłaszcza po śmierci Josipa Broza Tity w maju 1980 r., zaczęła się bezpardonowa gra nacjonalizmami, wynikająca z logiki jugosłowiańskiego ustroju. Pozbawiony normalnego, demokratycznego mechanizmu umożliwiającego swobodne działanie wszelkich sił zróżnicowanych politycznie oraz ideologicznie, stawał się wypaczonym pluralizmem, dopuszczającym rywalizację republikańskich i okręgowych władz komunistycznych tylko na płaszczyźnie narodowej. Jego cechą było łączenie, przedstawianie działań polityków partyjnych różnego szczebla jako metody urzeczywistniania interesów poszczególnych narodów, republik, okręgów autonomicznych.

W tych warunkach jedność ogólnojugosłowiańskiej partii komunistycznej coraz bardziej stawała się fikcją. Słabła moc centrali w Belgradzie, rosło znaczenie władz lokalnych. Decyzje w sprawie całego państwa zaczynały zależeć od wcześniejszego uzgodnienia stanowisk władz poszczególnych republik i okręgów, co trudno było osiągnąć.

Znamienne było także to, że młodsza, powojenna generacja komunistyczna często wiązała swoje osobiste, indywidualne cele nie tyle z Jugosławią, ile z różnymi narodami, republikami. Spektakularny przypadek Slobodana Miloševicia, Serba, był symboliczny, ale nie jedyny, jego drogą podążali także inni politycy komunistyczni.

Sprawiało to, że nie tylko system wielopartyjny, jak głosił Tito, ale i zdecentralizowana odmiana jednopartyjnego musiała stwarzać dogodne warunki do rozwoju różnych separatyzmów i nacjonalizmów w krainie „bratstva i jedinstva”. Niewątpliwie sprzyjała późniejszemu rozpadowi Jugosławii, rozpoczętemu w czerwcu 1991 r., a nawet go pobudzała.

O tym trzeba pamiętać, czytając ciekawą, ważną i pożyteczną książkę Božidara Jezernika. Komunistyczna Jugosławia odziedziczyła wady swej przedwojennej poprzedniczki. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*prof. Michał Jerzy Zacharias

• ur. w 1946 r., historyk. Zajmuje się m.in. historią powojennej Jugosławii, jest autorem pracy „Komunizm, federacja, nacjonalizmy. System władzy w Jugosławii 1943-1991” (2004). Tytuł – „Wyborcza”



Božidar Jezernik, „Jugosławia, kraina marzeń”, przeł. Sylwia Nowak-Bajcar, wyd. Universitas, Kraków 2023, seria „Poleca Adam Michnik”

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Herbert

Potwór Pana Cogito

1
Szczęśliwy święty Jerzy
z rycerskiego siodła
mógł dokładnie ocenić
siłę i ruchy smoka

pierwsza zasada strategii
trafna ocena wroga

Pan Cogito
jest w gorszym położeniu

siedzi w niskim
siodle doliny
zasnutej gęstą mgłą

przez mgłę nie sposób dostrzec
oczu palających
łakomych pazurów
paszczy

przez mgłę
widać tylko
migotanie nicości

potwór Pana Cogito
pozbawiony jest wymiarów

trudno go opisać
wymyka się definicjom

jest jak ogromna depresja
rozciągnięta nad krajem

nie da się przebić
piórem
argumentem
włócznieją

gdyby nie duszny ciężar
i śmierć którą zsyla
można by sądzić
że jest majakiem
chorobą wyobraźni

ale on jest
jest na pewno

jak czad wypełnia szczelnie
domy świątynie bazary

zatrzuwa studnie
niszczy budowle umysłu
pokrywa pleśnią chleb

dowodem istnienia potwora
są jego ofiary

jest dowód nie wprost
ale wystarczający

2
rozsądni mówią
że można współżyć
z potworem

należy tylko unikać
gwałtownych ruchów
gwałtownej mowy

w przypadku zagrożenia
przyjąć formę
kamienia albo liścia

śłuchać mądrej Natury
która zaleca mimetyzm

oddychać płytko
udawać że nas nie ma

Pan Cogito jednak
nie lubi życia na niby

chciałby walczyć
z potworem
na ubitej ziemi

wychodzi tedy o świcie
na senne przedmieście
przezornie zaopatrzony
w długi ostry przedmiot

nawołuje potwora
po pustych ulicach

obraża potwora
prowokuje potwora

jak zuchwały harcownik
armii której nie ma

woła –
wyjdź podły tchórze

przez mgłę
widać tylko
ogromny pysk nicości

Pan Cogito chce stanąć
do nierównej walki

powinno to nastąpić
możliwie szybko

zanim nadejdzie
powalenie bezwładem
zwyczajna śmierć bez glorii
uduszenie bezkształtem



Utwór z tomu Zbigniewa Herberta „Raport z obłązonego Miasta i inne wiersze” (1983), tutaj za: Herbert, „Wiersze zebrane”, oprac. edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2011.

FOT. KUBA ANYS

Trudna do polubienia ranka

Pociąg z Warszawy Centralnej do Rzeszowa już na Wschodniej ma pół godziny spóźnienia. Im dalej na południowy-wschód, tym więcej tego niezwykłego daru, jakim jest różnorodność akcentów, kadencji, wesołości i smutku, zapachu i szelestu odwijanych kanapek.

Mikołajewski

Być może nie trzeba oddzielać żadnym wydarzeniem granicznym różnych etapów życia, a przecież potrzebowałem tego. Wypowiadając pracę w Muzeum Literatury, chciałem może to poczuć: byłem pisarzem w Muzeum, od teraz znów będę nim w żywym życiu, w podróży, w nowym doświadczeniu. I tak, na przełomie lutego i marca przyjąłem zaproszenie na spotkania autorskie w Rzeszowie i Przemyśle, gdzie mam czytelników, gdzie jest na tyle daleko od Warszawy, żeby móc nabrać dystansu do przedchwilnej przeszłości.

Droga do Rzeszowa, jak często, dłuższa niż miała być. Pociąg z Warszawy Centralnej już na Wschodniej ma pół godziny spóźnienia. Im dalej na południowy-wschód, tym więcej tego niezwykłego daru, jakim jest różnorodność akcentów, kadencji, wesołości i smutku, zapachu i szelestu odwijanych kanapek. Rozmaitość śmiechu, gwaru, skupienia.

Do czytania zabieram rzecz długą i krótszą, eseje Henryka Wańka „Wędrowiec śląski” (wab, 2024) i „Metafizyki” – wiersze Krzysztofa Mrowcewicz. Pierwszy autor jest metafizycznym malarzem, nazywanym surrealistą. Drugi – „panem od literatury”, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Teatralnej. Zaczynam od Wańka, płynnie przechodzę do Mrowcewicz, ale nie prowadzi mnie jakaś wspólna myśl, chyba że wszystko, co pomyśli mędrzec, jest wszechmyślą, odważnie i nieobliczalnie splecioną ze wszystkimi innymi myślami i odczuciami. Przeskakuję z jednej książki do drugiej i w rozbieżnych historiach znajduję wspólnotę logosu. Rozumienia świata, a raczej milczącej zgody na to, że jest. Każdy z tych moich towarzyszy podróży dostał w udziale inny pejzaż, jeden – Śląsk, drugi – Barok, i szybko sobie przypominam, że każda dziedziną jest dobra do tego, by zstąpić do wspólnego morza. Zatapiam się w czytaniu, jak dawno nie miałem na to czasu, książdz Baka i Daniel Nabrowski miksują się z „Madonną kancelerza Rolina” Jana van Eycka, szukam klucza tego przemieszania, i dopiero po dwóch godzinach (jak się okaże) dociera do mnie, że jego osią jest sen, w który popadłem jak długo mi się to nie zdarzało. Tym razem nie sen – siostra (brat) śmierci, lecz sen – brat (siostra) wyobraźni, rozumienia, świętej rozmowy. Tożsamy z dotlenionym wypoczynkiem. Po wybudzeniu dziwię się, kto zapisał mi w telefonie, wśród esemesów, słowa: „Poezja jest do pisania najprawdziwszej prawdy; kochankowie dnia wczorajszego mówią cicho i nie to co trzeba, bo słuchają ich kochankowie z dnia dzisiejszego”. Podpisałbym się pod tą myślą, gdybym miał pewność, że sam ją zapisałem, a nie konduktor, czy Ukrainka, która jechała na miejscu obok, a poza moim snem wysiadła, jakoś przed Lublinem. Długo szukam tego zdania w „Wędrowcu śląskim” i w „Metafizykach”, na próżno. Wyszła z rozmowy z Krzysztofem Mrowcewiczem i Henrykiem Wańkiem, lecz im się wywinęła, poszła



FOT. JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

z swoją stroną, na trasie ode mnie do Rzeszowa. Gdybym miał taką możliwość, przytuliłbym obu autorów i powiedziałbym, że są dobrzy. Dobrzy autorzy w znaczeniu dobrych ludzi, którzy pozostawiają mi dar. Co do pisarstwa, to są nie tylko dobrzy, lecz znakomici. Zaskakuje mnie zwłaszcza profesor Mrowcewicz, którego nieznane mi dotychczas wiersze okazują się nadzwyczajnie bliskie, dotykające, osadzone w dawnych gatunkach (sonet) i poetach, lecz nimi nieobciążone, pulsuje żywym życiem i żywą śmiercią.

Przyjeżdżam do Rzeszowa z opóźnieniem zaledwie trzech kwadransów. Pociąg odrobił mój miniony czas. Jak go wykorzystam? Jak odbiorę sobie odpracowane opóźnienie kolei? Na stacji czeka Jacek Napiórkowski, poeta przyjaciel, który zorganizował moje rzeszowskie spotkanie. Jeden z najciekawszych poetów i prozaików, który – jak wielu najciekawszych – pisze i żyje z samym sednie, poza hierarchiami, poza rozdawniczymi kluczami nagród. Autor dawnych opowiadań „Krótki, daremny bieg Tarzana” i zeszlórocznego tomu „Udając jednorożce”. Ogromny, szlachetny mężczyzna, dyrektor banku, opiekun popaprańców, cokolwiek to znaczy. Tych, którzy nie dają sobie rady z życiem praktycznym, z przetrwaniem na powierzchni. Człowiek-troska.

Jedziemy do jego domu, królestwa kota Platona, który zwała się na mnie jak na przywłaszczony chwilo-wo przez gościa fragment jego kanapy, i ugniata jak spłaszczoną piłkę. Zostawiam walizkę, jedziemy do galerii r_z, gdzie ma się odbyć spotkanie, sprawdzić czy wszystko jest gotowe. Na ścianach galerii kierowanej przez profesora Magdę Uchman, znakomitą (co dopiero odkryje) graficzkę – prace młodych artystów. Od pierwszej chwili mój wzrok ściąga portret młodej kobiety

Mój wzrok ściąga portret młodej kobiety. Oczy ma nabiegłe wieloletnią cysterną niewyciśniętych łez

o długich czarnych włosach z wpiętymi w nie błękitnymi kwiatami, wpisanym w złotożółtą aureolę. Oczy ma nabiegłe wieloletnią cysterną niewyciśniętych łez. Jest równocześnie świeża i doświadczona, odważna i zastraszona. Ma w twarzy wymrożone piękno żydowskiego świata, które znamy z malarstwa Maurycyego Gottlieba. Zaczewienie wstydem, może zawstydzeniem. Próbuję dowiedzieć się, kim jest autorka (czuję, że to kobieta). Wczytuję w końcu z podpisu, że nazywa się A. Polak. Gratuluję jej na odległość, odtwarzam w sobie wdzięczność pierwszego wrażenia, pierwszego widzenia. Po powrocie do Warszawy dzwonię do galerii, proszę o przekazanie artystce (bo to naprawdę ona, nie on), że chciałbym przez chwilę porozmawiać, o coś zapytać. W końcu dostaję telefon, mówi Adrianna Polak. Pytam, czy twarz na portrecie jest odrysowana z rzeczywistej modelki. Malarka mówi, że trochę z rzeczywistości, znacznie więcej – z wewnętrznych elementów, z myśli. To dni, w których docierają informacje o zamordowanej Lizawie. Ryzykuję pytanie, czy ta niezwykła twarz ma coś z białoruskiej dziewczyny. Adrianna potwierdza, ale mówi o kobietach w ogóle, o kobiecym lęku przed przemocą. Złota aureola wokół twarzy sankcjonuje dziewczęce męczeństwo. Niezapominajki – obietnicę niezapomnienia. Przejęcia. Nieopuszczenia.

Co do czytania wierszy, autorowi jak zwykle zostaje to, co jest poza nimi. Rozpoznawanie twarzy odwiecznych

przyjaciół i słowa tych, którzy może stają właśnie na naszej wspólnej drodze i będą już na niej zawsze. Poeci, eseści, artyści. Ludzie. I to oni – ludzie podani mojemu życiu na tacy imion (których nie zapamiętam), zawodów, konturów przynależności i tęczy nieprzynależności. Wśród nich wspomniana Magda Uchman, mistrzyni serigrafii, w których – jak w nieoczyszczonej skale czy rozoranej ziemi – odnajduję szczątki, litery, napisy. A w jednej z nich – intrygująco zaistniały portret Franza Kafki. Na razie poznaję je z katalogu, niebawem „Kafkę” Magdaleny poznam na żywo, w jej domu.

Droga do Przemyśla jest trochę jak te serigrafie – pod pierwszym spojrzeniem jednolicie zaszkicowane, dopiero po chwili zdradzające drobne-wielkie znaczenia, morfologię pejzażu.

Tego dnia Przemyśl jest pusty, a przecież – jak się okaże – intensywnie żywy, lecz nie na placu, nie na ulicach tylko w zamkniętych punktach miasta. Jest moje spotkanie w Bibliotece Miejskiej, jest wydarzenie w miejscowym Muzeum, jest spotkanie z europosłanką Elżbietą Łukacijewską z cyklu „Z kobietami o kobietach”... W Dniu Przytulania Bibliotekarzy, na który przypada moje czytanie, biorę w ramiona Agatę Pilawę, dobrego Du-cha (Dobrą Duszę) tej Biblioteki. Jest serdecznie. Jestem ciekawy, kim jest gotycko pobladła dziewczyna, która przyszła na spotkanie, i która wydaje mi się tą samą, co ze wspomnianego portretu w aureoli, tyle że młodszą, wcześniejszą, nienaznaczoną niepoko-jącym Losem. Jestem ciekawy, co myśla uczniowie liceum, których przeprowadziła polonistka, szczęśliwie moja czytelniczka i słuchaczka. Nie dowiaduję się. Są oniśmieleni, chyba nie zablokowani. Dostaję zapewne, że o emocjach tego spotkania porozmawiają w szkole.

Wieczorem uliczna pustka Przemyśla wydaje mi się dumnie martwa, ale nie w Cuda Wianki, restauracji, do której idziemy coś zjeść. Proszę o najbardziej lokalne z dań, dostaję rzecz niebywale smaczną i lekką, choć sycącą, całkiem mi nieznaną – gołąbki z kartoflami. Jest z nami wspaniała przymyska fotografa Grażyna Niezgoda. Się rozmawia, się żyje, się jest. Się to czuje – to życie, tę poezję, to miasto. Tę przyjaźń. Czy tak będzie już zawsze na nowym etapie życia, który właśnie zacząłem? Nie wiem. Nazajutrz rano piszę wiersz, który zakwitł we mnie w szczelinie, gdzie ludzie z warszawskiego metra zamieszkują w mojej wyobraźni Przemyśl. Jestem z kochanym przyjacielem. Jestem szczęśliwy. Jak zawsze w takich chwilach – sądzę i czuję, że to już na zawsze.

Śpię w hotelu. W nocy strącam z karku jakiś suchy, klujący niepokój. Widzę go w niepewnym świetle świtu. Chyba karaluch. Pozostaje mi po nim trudna do polubienia ranka. Zeskrobuję paznokciem wszystko, co w tym miejscu daje się zeskrobać spod skóry. Pyszczek? Nóżki? Na pewno nie urojenie. ●

Jarosław Mikołajewski

W latach 1952–1953
w Niemczech
doszło do ponad
130 procesów o czary.

CZAROWNICE POD BERLINEM



Z **PROF. MONICĄ BLACK**,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „NIEMCY OPĘTANE.
PRZERAŻAJĄCE DUCHY PRZESZŁOŚCI
W NIEMCZACH PO DRUGIEJ WOJNIE
ŚWIATOWEJ”
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

KASPER KALINOWSKI: Procesy czarownic w XX wieku?

PROF. MONICA BLACK: Wszystko zaczęło się wiele lat temu w berlińskiej bibliotece, gdy natknęłam się na wydaną w 1951 roku książkę „Czy są wśród nas czarownice?”. Jej autor Johann Kruse opisywał czary, okultyzm i jakąś formę „eksplozji irracjonalności” w powojennych Niemczech. Domagał się nawet od władz zwalczania „zarazy duchowej”, jaką było „szaleństwo na punkcie czarownic”.

Kruse spędził całe lata na badaniu zjawiska, które uważał za ogromny problem społeczny swoich czasów – szczególnie w regionie, w którym mieszkał – w północno-zachodnich Niemczech. Alarmował władze, słał listy i pomagał oskarżonym. Pamiętajmy, że wiara w czary istnieje na całym świecie, a z pewnością we współczesnych Stanach Zjednoczonych. Mówiąc o czarach, nie mam na myśli ich nowoczesnej wersji. Istnieją na przykład neopogańskie grupy jak wicca. Chodzi mi o zupełnie odmienne zjawisko. Mam na myśli ludzi, którzy wierzą, że inni mogą rzucić na nich klątwy lub spiskują w tajemnicy, aby wyrządzić im krzywdę za pomocą mocy nadprzyrodzonych. Im więcej o tym czytałam, a badania prowadziłam w kilkunastu archiwach, tym bardziej byłam zafascynowana tematem. Tak powstała moja książka.

W powojennych Niemczech, w XX w., czary i nadprzyrodzone moce stały się niemal powszechnym zjawiskiem. Czy możemy oszacować jego skalę?

– Trudno zrekonstruować to historykom, ponieważ istniejące zapisy można interpretować na wiele sposobów. Wiele mówi to, że Heinz Rudolph, dolnosaksoński minister opieki społecznej, kazał naczelnikom okręgów administracyjnych zgłaszać wszelkie incydenty związane z czarami. W Saksonii Dolnej jeszcze w 1956 r. „walkę z psychozą na punkcie czarownic” umieszczono w porządku obrad.

Etnografowie wykazali, że po wojnie w zachodnich Niemczech wyłonił się rodzaj trójkąta, który obejmował centralną oraz północno-środkową część ówczesnego

kraju, w tym Berlin. W tym trójkącie żyło wielu ludzi, którzy wierzyli w czary. W niektórych miejscach ich odsetek sięgał nawet 70 proc. Nie wiem co to dokładnie oznacza, ponieważ takie dane interpretować jest bardzo trudno, ale z pewnością w wielu częściach Niemiec czary nie były zjawiskiem, które wymarło w XVI lub XVII wieku. Pamiętajmy, że ostatnia legalna egzekucja za czary w Europie odbyła się w szwajcarskim Glarus w 1782 roku.

Chyba najciekawsze jest to, że procesy o czary odbywały się nie tylko w małych miasteczkach czy wsiach, ale w dużych miastach, gdzie cywilne sądy rozpatrywały oskarżenia o czary. Traktowały je poważnie?

– Obszerną dokumentację posiadamy tylko w przypadku jednej sprawy. W pozostałych przypadkach jesteśmy skazani na artykuły w gazetach i pojedyncze, rozproszone w archiwach dokumenty.

W przypadku, o którym mówię, procesie Waldemara Eberlinga, zachowały się całe tomy dokumentów. Czy sądy potraktowały jego sprawę poważnie? Jak najbardziej. Prawdopodobnie nie traktowały poważnie samych czarów, ale podchodziły poważnie do tego, że jeśli ktoś oskarża inną osobę o czary, to może to mieć bardzo złe konsekwencje społeczne. Natknęłam się również na opis sprawy jednej z oskarżonych o czary kobiet. Poważnie zachorowała, a jej rodzina straciła wszystkie interesy oraz przyjaciół we własnej wiosce. Z powodu oskarżenia o czary spotkał ich ostracyzm społeczny. Nie był to odosobniony przypadek.

Ile takich spraw się odbyło?

– Dotarłam do doktoratu z kryminologii z końca lat 50. Jego autor, Herbert Schäfer, kryminolog Uniwersytetu w Bonn stosował termin „przesady kryminalne”, czyli takie formy przesądów, które skłaniały do zachowań przestępczych. Również czary postrzegał jako jedną z kategorii kryminalnych przesądów. Próbował dowiedzieć się, ile takich procesów miało miejsce w całym kraju od początku XX wieku. Okazało się, że liczba spraw w okresie powojennym była znacznie wyższa niż w czasach nazistowskich i znacznie wyższa niż w okresie przed 1933 rokiem.

Ciężko o dokładne liczby. Niektóre prace wykazują, że między rokiem 1947 a 1956 odnotowano 77 procesów o czary (dla porównania w okresie międzywojennym odbyło się

osiem „procesów czarownic”). Jednak ta liczba wydaje się być mocno zaniżona. Jedną z gazet z epoki informowała, że w 1950 roku tylko w jednym, niewielkim mieście Lüneburg doszło do szesnastu takich rozpraw. Z kolei „Welt am Sonntag” obliczyło, że w latach 1952–1953 w Niemczech doszło do ponad 130 procesów przeciwko czarownicom.

Chwilę wcześniej Niemcy irracjonalnie obwiniali Żydów o całe zło świata i donosili na siebie na gestapo. Czy dostrzega pani podobieństwa, jeśli chodzi o powojenny okultyzm a epokę nazistów?

– Pracując nad książką zaczęłam je dostrzegać. Później okazało się, że nie tylko ja myślę w ten sposób. Podobieństwa dostrzegał również wspomniany Johann Kruse. Sam tytuł jego książki „Czy są wśród nas czarownice?” nawiązuje do filmu z 1946 r. „Mordercy są wśród nas”, który w nieupiększony sposób ukazuje powojenną spuściznę niemieckich zbrodni wojennych. Wydaje się, że Krusego naprawdę to niepokoiło. Oskarżenie o czary wydawały mu się lustrzanym odbiciem tego, jak Niemcy traktowali Żydów w Niemczech. Nie tylko pod rządami nazistów, ale również wcześniej w okresie po pierwszej wojnie światowej. Postrzegał te zjawiska jako równoległe procesy społeczne, które uważał za bardzo niebezpieczne.

W niewydanym rękopisie z 1967 r. stwierdził wręcz, że dwa najbardziej haniebne rozdziały niemieckiej historii to „palenie czarownic na sto-

sie i ludobójstwo Żydów za władzy Hitlera”. Z tego powodu stał się wyrzutkiem i kimś niewygodnym – zagłada Żydów była czymś, o czym nie można było mówić publicznie w powojennych Niemczech.

Może nie powinniśmy być zaskoczeni. Nadprzyrodzone wyjaśnienia rzeczywistości to naturalna cecha naszego umysłu.

– Dokładnie. Jakiś rodzaj wiary w moce nadprzyrodzone jest obecny w praktycznie wszystkich współczesnych społeczeństwach. Nie sądzę, aby Niemcy byli pod tym względem wyjątkowi. Myślę, że po tym, co wydarzyło się w Niemczech, czary jako teorie wyjaśniające działania świata, stały się bardzo atrakcyjne dla ogółu społeczeństwa. Zwłaszcza gdy pojawiały się zjawiska, których nie można było wyjaśnić racjonalnie. W takich okolicznościach obwinianie innych o trudy życia i niepowodzenia, całkiem niedawno taką grupę stanowił przecież Żydzi, staje się niezwykle atrakcyjne. Na tym mechanizmie opierają się również teorie spiskowe, które funkcjonują współcześnie.

Wspomina pani, że jeszcze w 1949 roku dziewięciu na dziesięciu Niemców uważało, że ludzie nie są godni zaufania.

– To badanie było dla mnie szczególnie uderzające. Zaczęłam się zastanawiać, jak to jest żyć w społeczeństwie, w którym większość ludzi jest niegodna zaufania? I dla czego Niemcy po II wojnie światowej mieliby być tak nieufni wobec siebie nawzajem?

To jak wyglądało życie w powojennych Niemczech?

W czasie po upadku okrutnego reżimu nazistów i osamotnieniu Niemców, którzy byli sprawcami?

– Rozmawiając z Polakiem chciałam najpierw podkreślić, że w niewielu miejscach po

W Heroldsbach objawienia trwały trzy lata.

Odnotowano 3 tysiące wizji Jezusa, świętych, aniołów.

Między 1949 a 1952 r.

tę wioskę odwiedziło

ok. półtora miliona ludzi



II wojnie światowej było trudniej niż w Polsce. Jednak w 1945 r. również w Niemczech sytuacja przybrała dramatyczny obrót. Głód był wszechobecny, śmiertelność niemowląt znacząco wzrosła, ludzi w miastach trapiły pasożyty, a same miasta zamieniły się w zgłiszcza. Brytyjczycy realizowali plan, który zakładał, że w imię sprawiedliwości poziom życia Niemców powinien być dość niski. Obniżano np. racje żywnościowe.

W przeciwieństwie do innych narodów – ludzie mogli i mieli prawo czuć się dobrane, pokonali nazizm, byli silni i solidarni – w Niemczech wszechobecna była świadomość ogromnej i całkowitej klęski. Wciąż zastanawiano się, dlaczego wojna została przegrana, a zwykłych obywateli spotykały okrutnych rzeczy. Dlaczego jesteśmy okupowani przez byłych wrogów? Wszystkie te rzeczy wymagały jakiegoś wyjaśnienia. Stojąc w ruinach miast wielu Niemców zadawało sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego przytrafiają mi się takie złe rzeczy? Dodajmy do tego dramatyczną przemianę każdego aspektu życia oraz ponoszenie winy za masowe mordy i Holocaust. Myślę, że wszystkie te zjawiska wspólnie wytworzyły bardzo wyjątkowy rodzaj warunków społecznych po wojnie. Właśnie to starałam się pokazać w książce.

Jednak poczucie winy nie było czymś powszechnym. Nie znalazła go przynajmniej Hanna Arendt, która przebywając w powojennych Niemczech pisała o „wszechobecnym użalaniu się nad sobą”.

– Arendt nie zaobserwowała poczucia winy, a społeczeństwo całkowicie wyprane z emocji. Ludzie zachowywali się, jakby nic się nie stało. O wojnie po prostu nie rozmawiano. Kiedy w XXI w. myśliśmy o powojennych Niemczech, w sposób naturalny myślimy o winie za zbrodnie wojenne i Holocaust. Wydaje się, że w Niemczech dominowały jednak inne powody poczucia winy: z powodu porażki, z powodu zaangażowania się w aktywność, która okazała się tak destrukcyjna i zakończyła całkowitą porażką. Trudno nam to współcześnie zrozumieć, ale to również jakiś rodzaj poczucia winy.

Być może trudne warunki życia odpowiadają również za liczne objawienia? Psycholodzy dowiedli, że wojna i trudności sprawiają, że stajemy się bardziej religijni.

– Być może. Jako historyk wiem, że w katolickich regionach Niemiec po wojnie nastąpiła lawina objawień, które obserwowały tysiące ludzi. Tylko w jednej miejscowości Heroldsbach objawienia trwały trzy lata. W sumie odnotowano 3 tysiące wizji Jezusa, świętych czy aniołów. Między 1949 a 1952 rokiem tą niewielką wioskę odwiedziło ok. półtora miliona ludzi, którzy pragnęli je zobaczyć. Według mnie to również poszukiwanie odpowiedzi. Wiele zjawisk posiada racjonalne wyjaśnienia, ale ludzie się odrzucają i poszukują własnych. Istniały przecież racjonalne powody, dla których Niemcy przegrały wojnę, ale ludzie nie chcieli o nich słyszeć.

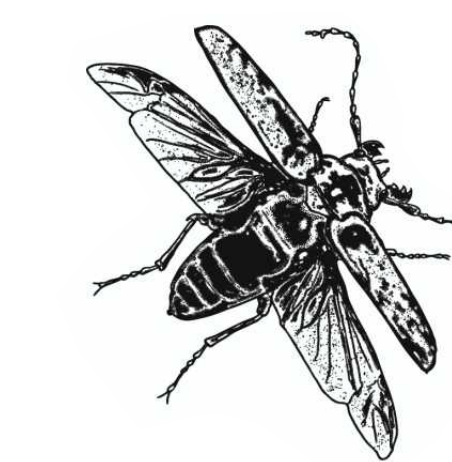
Socjolog Alfred Dieck przeprowadził w tym czasie unikatowe badania. Analizował plotki w niemieckich miastach, wioskach czy sklepach. Może w ten sposób zrozumiemy co myśleli Niemcy w okresie powojennym?

– Dieck to niesamowita postać. Już przed wojną interesowały go plotki a zwłaszcza to w jaki sposób wzmacniają je media. W 1949 roku Niemcy często słyszeli plotki o końcu świata. Mówiono np. o potopie, który pochłonie tylko grzeszników. Innym razem twierdzono, że przeżyją wyłącznie dzieci do lat dwóch – te naprawdę niewinne. Po zagładzie świata miały się nimi zaopiekować anioły. W mieście, w którym mieszkał, Dieck również słyszał tego rodzaju plotki. Wystarczyło pójść do sklepu – mówiło o tym wielu ludzi. Dieck zaczął obserwować, jak te plotki są powielane w gazetach. Jego dia-

gnoza nie była jednak trafna. Apokaliptyczne plotki były według niego dowodem na istnienie powszechnego „kryzysu nerwowego”. Jakimś przykładem „zbiorowej psychozy”. Pomiął to, że plotki bardzo często koncentrowały się na karze. Być może tak właśnie się dzieje, gdy odrzucamy winę na poziomie całego społeczeństwa?

Wspomina pani również, że Niemcy niezwykle szybko przestali popierać jakąkolwiek denazyfikację. Dlaczego?

– Myślę, że na samym początku znaczna liczba Niemców popierała denazyfikację i chciała ukarania nazistów. Jednak szybko przerodziło się to w odwrotną sytuację. W strefie amerykańskiej stosowano kwestionariusze, aby określić poziom udziału w nazistowskim reżimie. W strefie brytyjskiej obowiązywały natomiast trybunały, które składały się z ludzi, których okupanci uznali za odpowiednich. Często byli to socjaldemokraci i przeciwnicy nazizmu z lat 30. Aby oczyścić własne imię przynoszono dokumenty i próbowano udowodnić, że nie było się w żaden sposób zaangażowanym w działalność nazistowską. Szybko jednak zaczęto sięgać po łapówki i wpływy, aby zastraszyć zasiadają-



cych w trybunałach. Myślę, że Niemcy również szybko zrozumieli, że tak naprawdę nazistów nie spotka żadna kara, a najbardziej odpowiedzialni unikną odpowiedzialności.

Tylko, że kiedy myślimy o zachodnich Niemczech, pamiętamy niesamowity cud gospodarczy. Czy nie stoi to w pewnej sprzeczności z okultyzmem, procesami o czary i prorocत्वami o końcu świata?

– To właśnie sedno problemu. W pewnym sensie właśnie o tym jest moja książka. Jak możemy to pogodzić? Obok świetlanej, ogólnie obowiązującej i pięknej opowieści o cudzie gospodarczym pojawiają się masowe oskarżenia o czary oraz społeczeństwo, w którym panuje niepokój i niemal nikt sobie nie ufa. Paradoksalnie uważam, że te dwa zjawiska bardzo dobrze do siebie pasują.

Wielu Niemców, w pewnym momencie zadawało sobie pytania takie jak: „Czy Bóg nas osądza?”, „Czy to dlatego stoimy teraz w ruinach naszych miast?”, „Czy to dlatego przegraliśmy wojnę?”. Zaledwie kilka lat później, dostrzegając niesamowity postęp i poprawę we wszystkich sferach życia mogli odpowiedzieć przecząco – „Wygląda na to, że Bóg wcale nas nie osądza”.

A czy mamy jakiekolwiek informacje o Niemcach wschodnich i terenach okupowanych przez Rosjan?

– Długo starałam się dowiedzieć czegokolwiek na ten temat. Udało mi się jednak dostrzec zaledwie do jednego przypadku oskarżenia o czary, w małym miasteczku niedaleko Poczdamu, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie Berlina. Nie udało mi się jednak dowiedzieć nic więcej na ten temat. Wiem tylko, że odbył się jakiś proces i donosili o nim zachodnioniemieckie gazety, więc na dobrą sprawę nie wiem nic. We wschodnich archiwach nie znalazłam odpowiednika źródeł, w jakie obfitują zachodnioniemieckie. Być może takie po prostu nie istnieją.

Główną postacią pani książki jest uzdrowiciel Bruno Gröning. Przyciągał tłumy, ale nie był ani przystojny, wykształcony czy charyzmatyczny. Na czym polegał jego fenomen?

– Był zwyczajnym facetem, który jednak posiadał jakąś wyjątkową cechę. Możemy analizować jaka to była cecha, ale dla wielu ludzi reprezentował on kilka różnych rzeczy. Po pierwsze swego rodzaju figurę zaufania. Ludzie przychodzili do niego i czuli, że mogą z nim porozmawiać o wielu sprawach. Mogli powiedzieć mu o swoich kłopotach, a Gröning ich wysłuchał. Po rozmowie czuli się lepiej. Do tego istnieje olbrzymia ilość relacji o ludziach, którzy nie mogli chodzić, a po odwiedzeniu Gröninga cudownie powstawali. Odzyskiwali utracony, czasem w czasie wojny, wzrok. Jeszcze inni słuch.

Pytanie nie brzmi jednak czy Gröning rzeczywiście uzdrawiał ludzi, czy nie. Pytanie brzmi – z czego ich uzdrawiał i na jakie potrzeby odpowiadał? Moim zdaniem nie uzdrawiał ciała, a duch, a w niektórych przypadkach sumienia, które wciąż dręczyły wojenne wspomnienia. Nawet niektórzy lekarze uważali, że to, co robi jest dobre dla społeczeństwa. Popierali go również niektórzy czołowi politycy.

Obwinianie innych o trudy życia i niepowodzenia, całkiem niedawno taką grupę stanowili przecież Żydzi, staje się niezwykle atrakcyjne

Miał oczywiście również licznych przeciwników i kilka razy trafił do sądu. Ostatecznie został skazany. Zdaniem sądu doradził młodej kobiecie chorej na gruźlicę, aby przestała chodzić do lekarza. Jednak zmarł, zanim trafił do więzienia.

Wiara w czary zaczęła stopniowo zniknąć. Główną przyczyną była śmierć Gröninga?

– To o wiele bardziej skomplikowane. Jednak interesujące jest, że wszystkie procesy o czary kończą się pod koniec lat 60. W 1961 r. minister spraw wewnętrznych Szlezwika-Holsztynu sporządził raport podsumowujący oficjalne dochodzenie w sprawie strachu przed czarownicami. W 1961 r. nie odnotowano już ani jednego oskarżenia o czary, więc temat porzucono. Tak naprawdę władze zaczęły badać zjawisko w momencie, kiedy właśnie się kończyło.

Z kolei w notatce podsumowującej sprawę Gröninga zapisano „Od tej pory całą sprawę należy uznać za zamkniętą”. Zjawisko jakby nagle wyparowało. W pewnym sensie ludzie przestali potrzebować już nadprzyrodzonych wyjaśnień.

Moim zdaniem przyczyną jest to, o czym już mówiliśmy – w tym czasie pojawia się cud gospodarczy. Ludzie znów zaczęli czuć się komfortowo, a poziom życia wzrósł. Nie obawiali się również, że dosięgnie ich odpowiedzialność za przeszłość.

Do tego Republika Federalna Niemiec opierała się przecież na założeniu, że nie ma nic wspólnego z okresem nazistowskim. Ten postrzegano jako jakąś aberrację w historii Zachodu, która pojawiła się znikąd i za którą miała odpowiadać wyłącznie grupa jakichś szalonych ludzi. Uważano, że nie mamy z nimi nic wspólnego. To również stanowi część odpowiedzi.

Czy ludzie nadal wierzyli w czarownice? Prawdopodobnie tak. Jeszcze w 1962 r. w bawarskim Mailach 25-letni mechanik przyznał się, że spalił dom 60-letniej kobiety, bo uważał ją za czarownicę. Miejscowi

nie chcieli uprzątnąć pogorzeliśka ze strachu. Bali się dotykać przedmiotów, które do niej należały. Jednak ci, którzy podzielali wiarę w czarownice czy okultyzm, nie mieli już swoich przedstawicieli, a opinia publiczna zepchnęła ich na margines.

Niektórzy za przyczynę uznawali nadejście telewizji.

– Nie sądzę, żeby miało to coś wspólnego z technologią. Myślę, że ludzie po prostu czuli się już inaczej. Jakiegokolwiek pozaziemskie sankcje, których się obawiali, przestały im zagrażać, jakiegokolwiek duchowy dług został już spłacony. Zniknęło również poczucie nieufności i obserwowania się nawzajem. Przestano się obawiać, że sąsiad może złożyć donos. Takie wyjaśnienie przyjął w książce.

Kilka dekad po II wojnie rozpoczęła się Zimna Wojna. Natychmiast powróciło za interesowanie parapsychologią czy UFO.

– Myślę, że w tym przypadku może to już mieć coś wspólnego z rozwojem technologii. Technologia to taka dziwna rzecz, która z jednej strony obiecuje uwolnić nas od problemów i lęków, a z drugiej jest ich przyczyną. Wielu z nas, osobiście na pewno zaliczam się do tego grona, tak naprawdę nie rozumiem czym ona jest oraz sposobu w jaki działa. Żyjemy więc w świecie, w którym przez cały czas obcujemy z robotami i maszynami, których nie rozumiemy. A pod wieloma względami to te maszyny, spójrzmy prawdzie w oczy, kierują naszym życiem. Fakt, że nie rozumiemy ich działania może wywołać pragnienie jakiegokolwiek wyjaśnienia i sprzyjać teoriom spiskowym.

Osobiście nie widzę żadnej różnicy między powojennym, niemieckim okultyzmem, a współczesnym New Age, ezoteryką czy tarotem.

– Moim celem nie było pokazanie, że ludzie posiadają jakieś konkretne przekonania lub wierzą w zjawiska nadprzyrodzone, że to rodzaj pewnej stałej w ludzkim doświadczeniu w czasie i w wielu, wielu kulturach na całym świecie. Próbowałam zrozumieć, co te zjawiska znaczyły w określonym kontekście historycznym – bardzo dziwnych czasach powojennych Niemiec zachodnich. Chciałam zrozumieć interakcje między społecznym niepokojem, powszechnym brakiem zaufania, poczuciem katastrofy i całkowitej klęski. W jaki sposób wpływało to na myślenie i przekonania ludzi. I w jaki sposób nadprzyrodzone przekonania dostarczały ludziom odpowiedzi, a w innych przypadkach zapewniały alternatywne teorie na temat funkcjonowania rzeczywistości. Jak takie przekonania mogą rozwiązać, a w niektórych przypadkach zaostrzyć tarcia w społeczeństwie, w którym ludzie nie ufają już sobie nawzajem. ●

Prof. Monica Black

• wykłada historię na Uniwersytecie Tennessee. Jest autorką książki „Death in Berlin: From Weimar to Divided Germany”, która otrzymała prestiżowe nagrody Wiener Library Ernst Fraenkel Prize oraz Hans Rosenberg Prize.

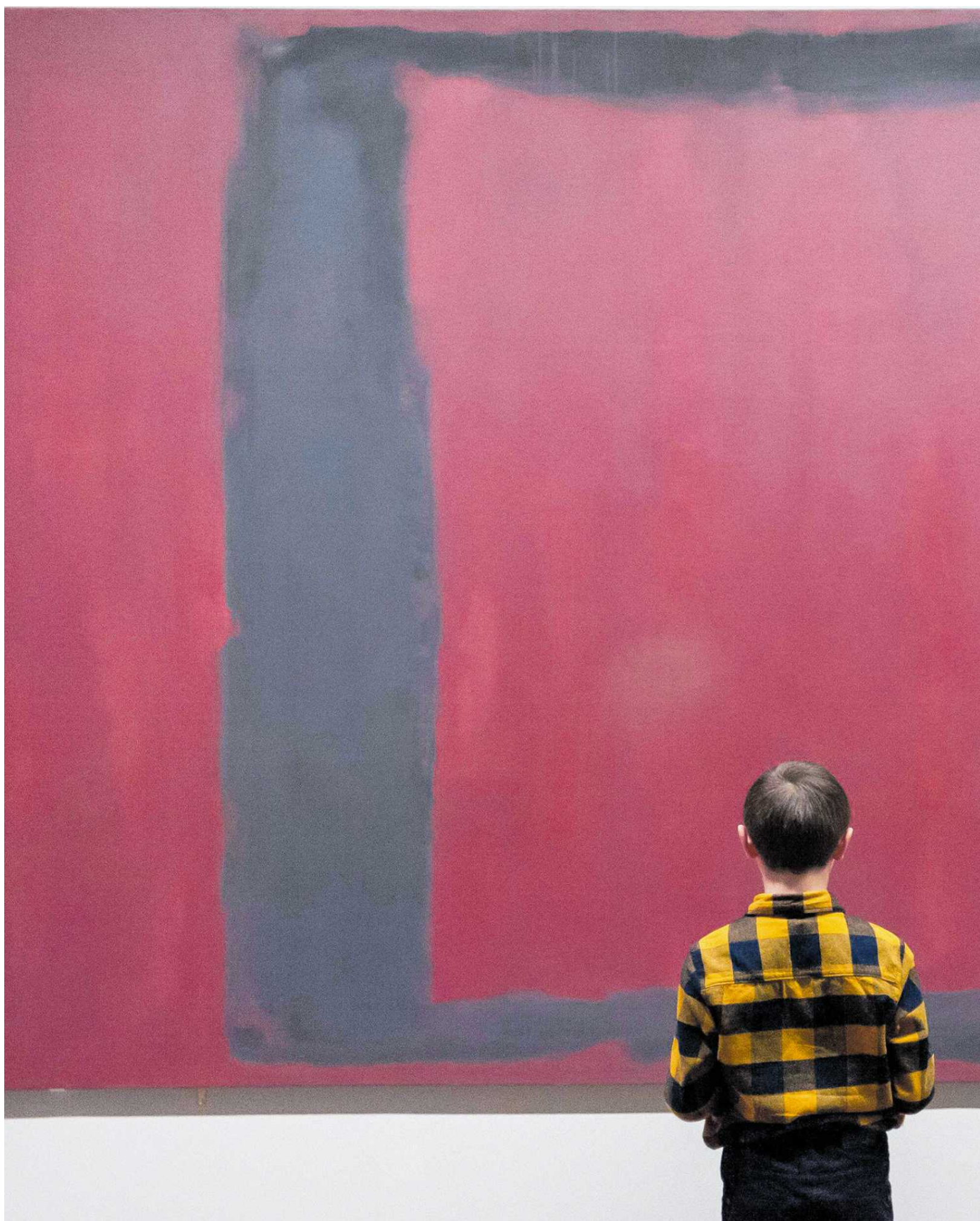


„Niemcy opętane. Prerażające duchy przeszłości w Niemczech po drugiej wojnie światowej”. Monica Black, tłum. Bartosz Kurowski

Wyd. Prószyński i S-ka

Co mnie urzekło

Obmażenie



Powiem wprost: te obrazy wydzierają flaki. Można je zobaczyć do 2 kwietnia w Paryżu

AGA KOZAK

Miałam dwadzieścia parę lat, sezonową pracę w Londynie – oczywiście na czarno – i poczucie, że nawet z paroma funtami w kieszeni w tym mieście i w tym czasie świat faktycznie jest ostrzygą. Mój ówczesny chłó-

pak, pochodzący z artystycznej rodziny malarzy religijnych, który do stolicy Anglii dostał się miesiąc przede mną i zrobił już rekonesans (a w tamtym czasie to, co się dla nas liczyło to sztuka: galerie, muzea i antykwariaty) powiedział, że muszę iść do Tate, zobaczyć Rothko. Nie wiedziałam, co to to Rothko: internet hulał z prędkością leniwca, chodziło się jeszcze do kafejek internetowych – głównie po to, żeby sprawdzić, czy nie wyrzucili cię ze studiów i napisać rodzinie całej w nerwach, że jeszcze żyjesz – więc nie „googlując”, bo jest szansa, że to słowo jeszcze nie istniało, po prostu poszłam do Tate, zobaczyć coś, co Karol opisał jako świecką kaplicę i niesamowite doświadczenie Boga. Ja – z rodziny w któ-

rej ewentualność Boga czuło się tylko w Bachu (i tak, wiem, jak to manierycznie brzmi), a o mistycznych uniesieniach czytało się z chłodnym dystansem naukowca w pracach antropologów – wspierałam się na któreś tam piętro budynku elektrowni przerobionej na jedną z najszacowniejszych galerii sztuki współczesnej na świecie, weszłam do pokoju z niskim światłem, by po paru-nastu minutach rzygać z emocji w galeryjnej toalecie.

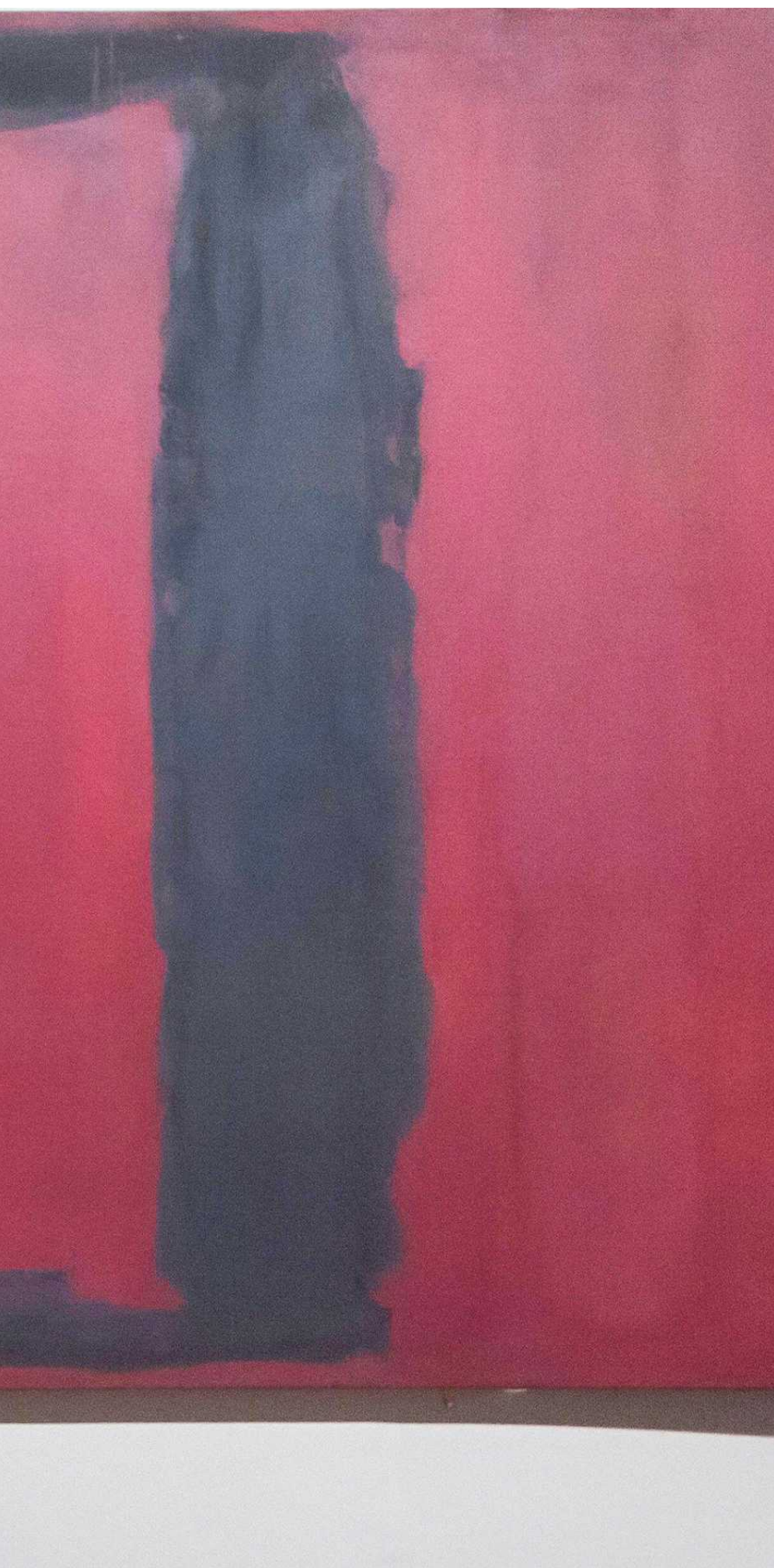
Nie opisuję wam tego dlatego, żeby obnosić się ze swoją wrażliwością, epatować skatologią albo antyreklamować wam zamykającą się 2 kwietnia retrospektywę Marka Rothko w Fondation Louis Vuitton w Paryżu, na której jest 115 obrazów malarza. Piszę

to, bo wiem, że somatyczne reakcje na obrazy Marka Rothko nie są odosobnione. Na paryskiej ekspozycji parę dni temu widziałam bowiem ludzi płaczących (w tym bliską mi, nieprzekonaną do „kolorowych kwadratów namalowanych na kolorowych kwadratach” sceptyczkę), namiętnie całującą się, pogrążonych w parareligijnej ekstazie, w przejęciu, dyskutujących zawzięcie. Dlaczego? Czym ten uciekinier z Łotwy, abstrakcjonista, przedstawiciel color field painting sobie na to zasłużył? I dlaczego, do diaska, jego obrazy osiągają tak zawrotne ceny?

„Zostałem malarzem, bo chciałem wynieść malarstwo do poziomu siły oddziaływania muzyki i poezji” – powiedział su-

perświadomy tego, co chce osiągnąć. Mocnych cytatów z Rothki, które dobrze tłumaczą o co cały ten szum wokół „kolorowych kwadratów” jest zresztą więcej. „Malowidło nie jest obrazem doświadczenia, ono JEST doświadczeniem” – napisał. I dodał szorstko: „Jeśli mówisz, że w moich obrazach poruszają się głównie relacje kolorystyczne, to mijasz się ich sensem”. Na koniec dowalał skromniutko: „Moja sztuka nie jest abstrakcyjna, ona żyje i oddycha.”

Jednak większość osób, które stają – przynajmniej po raz pierwszy – przed obrazami Rothki rozmawia o kolorach. To bardzo bezpieczny sposób potraktowania dzieł artysty. Inaczej musiałyby bowiem rozmawiać o so-



Obrazy Rothko są niczym plamy Rorschacha – test na to, co mamy w sobie

FOT. ADAM BRONKHORST / ALAMY STOCK PHOTO, ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, PA IMAGES / ALAMY STOCK PHOTO

bie samych, o doświadczeniu boskości w sobie, o ekstremalnej – użyję tu angielskiego słowa, znanego świetnie wielbicielom jednej z najfajniejszych nauczycielek rozwoju, Brene Brown – vulnerability: połączeniu obnażenia, wrażliwości, bezbronności i przekucia tego w siłę, siłę najdelikatniejszego połączenia ze sobą samym/mą i innymi.

Obrazy Rothko są bowiem niczym plamy Rorschacha – test na to, co mamy w sobie, co aktualnie w sobie nosimy i faktycznie potrafią mocno zryć banię. Nie pozwalają bowiem – na pewnym poziomie, bo na innym wręcz tego wymagają – spocząć. Malarz nakładał bowiem na warstwę farby kolejną warstwę farby w innym kolorze, pozwalając im po-

zornie niedoskonale spływać, robić prześwity, budować trójwymiarowość dzieła. To powoduje, że czarny okazuje się być zielonym, fiolet żółcią – transformacja zachodzi poprzez obserwację i uważność, nieocenianie, brak pewności. Podczas tego procesu oko ciągle pozostaje aktywne, a mózg mierzy się ze złudzeniem i prawie wariuje. Aż następuje moment, który można chyba porównać tylko do medytacyjnego czy modlitewnego doświadczenia: hałaśliwy umysł i poznanie uspokajają się na rzecz zanurzenia w doświadczeniu. Następuje poddanie, odpuszczenie. A za nim jest wszystko – bo my sami. I jednocześnie nic.

„Ludzie, którzy płaczą przed moimi obrazami, doświadczają

tego samego doświadczenia religijnego, co ja, gdy je malowałem” – wyjaśniał Rothko, Żyd – ateista, w pełni świadom tego, jakie doświadczenie zaprojektował. Panował nad recepcją swojego dzieła zresztą do takiego stopnia, że wiedział jakie oświetlenie ma padać na jego obrazy. Najbliżej – zarówno sposobowi tworzenia jak i emocjom, które wywołują jest według mnie jego twórczości do ikon. Pisane w ekstazie religijne dzieła wywołują ekstazę. Tyle tylko, że w obrazach Rothki jesteśmy zarówno my – kalejdoskopy przepływających przez nas odczuć, uczuć, wspomnień, subtelności i huraganów – jak i on sam. Malarz, który popełnił samobójstwo w wieku 66 lat, rozlewając swoją krew na podobień-

stwo niektórych płócien – cierpiący na depresję, bo nie podołał mu się świat. Podobno nie mógł znieść zarówno tego, że pop-art zyskuje taką wagę, jak i tego, że niektóre jego dzieła nie zostaną potraktowane z należytą powagą. Kiedy okazało się, że zamówione do Seagram Building na Park Avenue prace mają trafić do restauracji – wycofał się ze zlecenia i przekazał obrazy, monumentalne, przytłaczające rozmiarem, dezinformujące lakonicznymi tytułami – numerami prac, właśnie do Tate. Zainspirowane były Biblioteką Laurenzianą we Florencji – zbiorem ponad 11 tysięcy manuskryptów i 4,5 tysiąca książek, pochodzących z prywatnych zbiorów rodziny Medyceuszy zaprojektowa-

nej przez Michała Anioła. Miejsca dusznego, i jak wspominał Rothko, opresyjnego. Owe brunatno-krwiste płótna miały korrespondować z tym, co udało się Michałowi Aniolowi: „Osiągnął dokładnie taki rodzaj uczucia, jakiego szukam. – pisał Rothko – Sprawił, że widzowie mają wrażenie, że są uwięzieni w pokoju, w którym wszystkie drzwi i okna są zamurowane, więc jedyne, co mogą zrobić, to bić głową w nieskończoność o ścianę.”

I powiem wprost: te obrazy wydzierają flaki. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, żeby zawisły w restauracji. Tak jak chciał artysta: żyją i oddychają. A to – pomimo ogromnego ładunku emocjonalnego, który potrafi zmiażdżyć – jednak zachwyca. ●



• Tempelhofer Feld.
Tu kiedyś lądowały samoloty
uprowadzane przez Polaków

FOT. TRAVELSTOCK44 / ALAMY STOCK PHOTO

Pod pozorem próby o autograf, zbliżyła się do prezydenta Kiesingera młoda dziennikarka i z całej siły uderzyła go w twarz, wykrzykując „Nazista! Nazista!!”

Magdalena Parys

Nie myślałam, że będę pisała felietony w odcinkach, ale dwa tygodnie temu tak się rozpisalam, że na główny temat zabrakło już miejsca. Zakończyłam swoje refleksje obietnicą, że ciąg dalszy nastąpi. Pisanie wstępów wynika z tego, że wszystko, co dotyczy współczesnych Niemiec, trzeba opatrzyć wyjaśnieniami. O Niemcach wiemy tak niewiele, że kiedy zaznajamiam czytelnika z czymś bardziej złożonym, muszę go wcześniej wprowadzić w temat. Przygotować grunt, żeby opisać współczesną niemiecką rzeczywistość. Napisać wstęp. A to zrobiłam już w poprzednim felietonie. Zainteresowanych zachęcam, aby go przeczytali.

Asumpt do napisania felietonów w odcinkach dał mi wpis pewnego pana, który pod zdjęciem przedwojennego Berlina, napisał, że zjeździł niemal cały świat, ale nie odwiedził dotąd Berlina, ponieważ ze wszystkich miast wydaje mu się on najmniej „frapujący”. Poza tym w czasie wojny został na tyle zniszczony, że nic po nim nie zostało.

Trudno mnie zaskoczyć, ale temu panu się udało.

Walka o parki. Mieszkam na obrzeżach Berlina i nawet tu na peryferiach jest co zwiedzać. Zacznę skromnie, lokalnie. Od widoku zza oknem. Oto niedaleko domu, w którym mieszkam, znajduje się park Britzer Garten, wizytówka południowej dzielnicy Britz. Dużo musiało upłynąć czasu, zanim park polubiłam, rodzice zmuszali mnie i mojego bra-

ta do „zażywania w nim tlenu”. Park stworzono w latach osiemdziesiątych, by dać odciętemu od świata berlińczykom zachodnim świeże powietrze i namiastkę wolności. Na 99 hektarach zakwitły łąki, urosły lasy, pojawiły się: strumyki, jeziora, parę sztucznych gór, place zabaw, małe zoo. Poza tym wystawy tulipanów, róż, chryzantem. Koncerty, pokazy fajerwerków. I tak od czterdziestu lat.

W sumie historia jakich wiele także w innych miastach, tyle tylko, że kiedy park powstawał, Berlin Zachodni okrojony był murem i trudno było znaleźć miejsce na zabudowę, a co dopiero na wielohektarowe parki. A skoro przy parkach jesteśmy – dwa lata później we wschodniej części Berlina powstał Park Wypoczynkowy „Marzahn”. Był „prezenterem socjalistycznych ogrodników” dla stolicy NRD, ale w rzeczywistości powstał z przekory i w duchu rywalizacji zachodu ze wschodem. W mediach było o parku głośno, a że mieszkańcy wschodniego Berlina bez problemu odbierali – oficjalnie zakazane – zachodnie programy telewizyjne i radiowe, należało szybko Zachodowi pokazać, że jest się od niego lepszym. Najlepiej stworzyć w tym celu po wschodniej stronie park jeszcze piękniejszy. Czy się udało? Nie wiem. Koleżanka, z którą po upadku muru studiowałam na Uniwersytecie Humboldtów twierdziła, że tak. Ją rodzice również zmuszali w latach 80. do spacerów, tyle że w Parku Wypoczynkowym „Marzahn”. Miastu parki wyszły na dobre. Był już nie jeden park. Były kolejne dwa. Dlaczego kolejne? Zaraz opowiem.

Jak uprowadzić samolot. Wciąż znajdujemy się na południu Berlina w obszarze mi najbliższym, choć już nie w Britzer Garten, a na liczącym trzysta hektarów Tempelhofer Feld, wcześniej mieściło się tu słynne lotnisko Tempelhof, znane starszym polskim pokoleniom choćby z tego, że lądowały na nim samoloty uprowadzane przez Polaków.

I tak na przykład mój (przyszły) serdeczny przyjaciel miał lecieć do Wrocławia, ale samolot porwano i Adrian wylądował z mamą w Berlinie Zachodnim. Zostali. Adrian miał wtedy trzynaście lat. Zamieszkali niedaleko nas. Zwiedzałam z Adrianem na rowerach Berlin Zachodni, penetrowaliśmy przygraniczne tereny, a kiedy nam się już to znudziło, przerzuciliśmy się na Berlin

Wschodni. Wyprawy te były możliwe, ponieważ po wielu staraniach otrzymaliśmy na Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim paszporty konsularne i mogliśmy przeprować się na Wschód. Korci mnie bardzo, aby te wojaże opisać, ale może jednak zrobię to kiedy indziej.

Sporo już powstało o lotnisku Tempelhof książek, albumów, jednak inspiracji i nieopisanych zdarzeń jest wciąż tak wiele, że starczy na setki książek reporterskich, historycznych, szpiegowskich, obyczajowych i na nie jeden thriller. Obiekt można zwiedzać z przewodnikiem. Trwa to kilka godzin. Niezapomniane przeżycie. Dziś teren byłego lotniska to ogromna otwarta przestrzeń, Berlińczycy przychodzą tu, aby jeździć na rolkach, rowerze czy po prostu relaksować się na trawie. Co rusz odbywają się tu różne imprezy kulturalne i sportowe.

Znajdziemy cię wszędzie. Obok Tempelhofer Feld przebiega ulica Tempelhofer Damm, od której niemal w linii prostej można dotrzeć do centrum Berlina wprost pod Bramę Brandenburską. Zatrzymajmy się jednak na Tempelhofer Damm, mieszkał tu bowiem w latach 70. i 80. ubiegłego wieku pisarz Jürgen Fuchs, opozycjonista z NRD. Za „wrogą działalność” przesiedział wiele miesięcy w więzieniu Berlin-Hohenschönhausen, po czym został z NRD wydany. Zamieszkał właśnie naprzeciw lotniska Tempelhof w Berlinie Zachodnim. Nie oznaczało to jednak końca szykan. „Znajdziemy cię wszędzie” poinformował go przesłuchujący oficer. W 1977 roku agenci Stasi umieścili w samochodzie Fuchsa ładunek wybuchowy. Stał niedaleko z dziećmi. Cudem uniknęli śmierci.

Przed wydaleniem z NRD Fuchs poddawany był nieustannym przesłuchaniom i podczas nich najprawdopodobniej skrytym naświetlaniom. Podobnie było w przypadku dwóch innych czołowych opozycjonistów NRD i więźniów politycznych Gerulfa Pannacha i Rudolfa Bahro osadzonych w Berlin-Hohenschönhausen. Ich również najprawdopodobniej podczas przesłuchań naświetlano, wszyscy trzej zmarli pod koniec lat 90. będąc niemal w tym samym wieku na rzadki rodzaj raka. W tajnych Akta Stasi, które cudem przetrwały, wyczytać można enigmatyczne zdania o naświetlaniach, niestety akta Fuchsa, Pannacha

i Bahro Stasi w 1989 roku zniszczyła. I aż się prosi, aby w tym miejscu opisać fascynującą historię maszyny rekonstruującej pocięte, zniszczone papiery – maszyny stworzonej przez inżyniera Nickolaya Bertrama z Towarzystwa Fraunhofera, największej organizacji skupiającej naukowców w Europie, ale zostawię to raczej na felieton czwarty. Tymczasem koniecznie polecam odwiedzając Berlin zajrzeć do Muzeum Stasi. Tego nie da się odczłapać i odzapo-

Dlaczego nie napisałam książki o Berlinie. Wciąż poruszam się po linii prostej do centrum, po drodze przemilczam wiele historycznych faktów, udaję, że nie dostrzegam ulic, placów, ale dotarliśmy do Mehringdam, muszę więc wspomnieć o budynku, który fascynuje mnie od zawsze, skąpa pozostałość po jednej z największych fabryk czekolady w Niemczech – Sarotti.

Kilkaset metrów dalej za skrzyżowaniem zobaczymy niekończące się kolejki składające się z turystów i berlińczyków po currywurst (kielbaski curry) w Curry 36 i Mustafa's Gemüse Kebab czyli kebab Mustafa z warzywami lub po prostu kebab wegański.

Za kolejnym skrzyżowaniem niedaleko Niemieckiego Muzeum Techniki przy Tempelhofer Ufer dziś przepięknie odrestaurowana kamienica, w której na początku lat 80. mieścił się Dom Dla Uchodźców. Mieszkaliśmy tam z rodzicami i kamienica nie była wtedy taka piękna. Berlin wydawał mi się wówczas, podobnie jak wspomnianemu panu, mało frapujący. Ale kilka skrzyżowań dalej mieściła się Amerykańska Biblioteka, w której spędziłam wiele godzin pozbywając się powoli, ale skutecznie smutnych wrażeń.

Oto powód, dlaczego mimo kuszących propozycji, nie napisałam książki o Berlinie. Nie wiedziałabym od czego zacząć. Obfitość historii mnie przytłacza, nie potrafiłabym dokonać selekcji. Dlatego zdaję się na przypadek i wybieram budynki jak leci. Jak mawiał partyjny klasyk: bez trybu. Żadnego.

I tak oto po kilku przystankach w parkach, odwiedzinach w mieszkaniach pisarzy opozycjonistów, po czekoladach, kielbaskach i kebabach docieramy do celu. Nie, nie do Bramy Brandenburskiej czy Zamku. Lecz do Kongresshalle i do historii, któ-

ra zamierzałam opowiedzieć już w pierwszym odcinku.

Historia fascynująca, w Polsce niemal nieznana, zadziała się w 1968 roku. I znów dylemat jak to w Berlinie; czy zacząć od historii, która się tam zadziała, czy od historii powstawania gmachu?

Walka o wszystko. Cofnijmy się jednak do roku 1957, czyli do roku, kiedy to Hala Kongresowa powstawała niedaleko Reichstagu w zachodniej części Berlina z inicjatywy amerykańskiej dyplomatkii Eleanor Dulles, odpowiedzialnej za sprawy Berlina w dawnym Biurze do Spraw Niemieckich Departamentu Stanu USA. O Eleanorze Dulles i jej aktywności w Berlinie można by napisać osobny artykuł, ba! ciekawą biografię, ale nie dam się wciągnąć już w żaden nowy wątek, wstęp czy cokolwiek zaczynającego się na „w”.

Hala Kongresowa miała być wkładem Stanów Zjednoczonych w tak zwany Interbau, czyli Międzynarodową Wystawę Budowlaną w Berlinie, nad którą pracowało pięćdziesięciu trzech architektów z trzynastu krajów. Chodziło między innymi o zaprojektowanie ważnej przed wojną dzielnicy Hansaviertel, zniszczonej podczas II wojny światowej. Interbau był odpowiedzią Zachodu na hojnie zaprojektowaną Stalinallee w Berlinie Wschodnim przemianowaną później na Karl Marx Allee.

Jako ciekawostkę dopowiem, że Stalinalee, dzisiejsza Karl Marx Alea, ludzaco przypomina Plac Konstytucji w Warszawie. I tak jak on powstała w początkach lat 50. jako „centralny element wielkiego socrealistycznego założenia urbanistycznego”.

W latach powojennych budownictwo w Berlinie było konkurencją między systemami politycznymi, przyczyniając się do bezprecedensowej rozbudowy miasta w obu jej częściach. Ten wysiłek zaowocował wieloma ciekawymi projektami. Walczono do końca, aż do 1989 roku, nie tylko na parki, walczono o wszystko.

Gombrowicz patrzy przez okno. I jeszcze jedna ciekawostka dotycząca dopiero co wzniesionego w owym czasie osiedla w Hansaviertel. Otóż zamieszkał tam podczas swojego stypendium w 1963 roku Witold Gombrowicz. Przypomina o tym tablica na budynku i jego wspomnienia na „Dziennikach”: „Widok z okien moich na piętnastym piętrze. Z jednego olbrzymiego okna: naprzód oszronione drzewa i białe stawy rozległego, uśpionego parku, tuż za nim w odległości kilometra Kurfürstendamm, Zoo, samo centrum Zachodniego

Berlina o amerykańskim profilu, pulsujące, mrugające, oślepiające jawią się i nikną neony, chmury samochodów gnąą alejami. Horyzont zalega elektryczna luna.

Z drugiego olbrzymiego okna: mrok i tajemnica, olbrzymie milczenie, za murem rozsiadł się Wschodni Berlin długimi ulicami o smutnych latarniach. Kominy, wieże, zacierające się we wczesnym mroku zimy, gdzieś tam coś się świeci, biorę lornetkę, dom chyba wielopiętrowy, może na wzgórzu” (Dziennik 1953 -1969)

Ostryga. Koniec ciekawostek. Wróćmy do Kongresshalle, którą Gombrowicz mógł podziwiać ze swoich okien, ponieważ do jej budowy wycięto część parku Tiergarten, parku, o którym wspomina w „Dzien-

nikach". Objętość i oryginalny kształt dachu hali przypominał ostrygę, dlatego berlińscy ze względu na jej objętość nazywali ją potocznie „Schwangers Auster” („ciężarna ostryga”) lub „kanapkę”. Przy budowie nie zabrakło silnych polskich akcentów. Partnerem projektu architekta Hugh’a Stubbinsa był nowojorski inżynier budownictwa Fred Severud, który chciał aby przy projekcie wzorować się na słynnej hali Dorton Arena w Raleigh w Karolinie Północnej, zaprojektowanej przez polskiego architekta i amerykańskiego imigranta Macieja Nowickiego.

Także „ostrzyga” powstała w ramach wyścigu zachodu ze wschodem i była bezpośrednią odpowiedzią na Halę Kongresową, która miała powstać już niedługo w Berlinie Mitte. Kolejny „socjalistyczny prezent” socjalistycznym budowlancom dla socjalistycznej stolicy.

Podczas wmurowania kamienia węgielnego w dniu 3 października 1956 r., amerykańscy darczyńcy projektu opisywali zachodnią Halę Kongresową jako „latarnię wolności, która wysyła swoje promienie na Wschód” I rzeczywiście, intensywne nocne oświetlenie było częścią koncepcji budynku. Ponadto jako kolor dachu wybrano biały, aby mógł on intensywnie odbijać promienie słoneczne. Nie bez powodu umieszczono „ostrygę” blisko granicy z sektorem radzieckim, na wysokim kopcu ziemi, tak aby jej kontury były widoczne w Berlinie

Wschodnim. Intensywne nocne oświetlenie dopełniało resztę. Stubbins przyznał później: „Był to tak naprawdę budynek propagandowy skierowany do Sowietów, którzy znajdowali się zaledwie kilometr dalej.” Wybór miejsca budowy wynikał nie tylko z bliskości granicy sektora radzieckiego – wówczas jeszcze bez muru – ale także z tego, że już wtedy wznoszono w jej pobliżu dzielnicę rządową NRD.

Gmach „ostrzygi” wyposażono w najnowocześniejszą technologię, mieściły się tam kabiny dla tłumaczy konferencyjnych, studia radiowe i telewizyjne, dotąd spotkać można było podobnie tylko w gmachu ONZ w Nowym Jorku. Odbywały się tam wystawy, koncerty, festiwale, przemawiali prezydenci USA, Dalaj Lama apelował o pokój.

Budownictwo w Berlinie było konkurencją między systemami politycznymi, przyczyniając się do bezprecedensowej rozbudowy miasta w obu jej częściach.

Policzek. W listopadzie 1968 roku odbywał się tam także zjazd partii CDU, jednym z gości honorowych był prezydent Niemiec – Kurt Kiesinger. Nagle, pod pozorem prośby o autograf, zbliżyła się do niego młoda dziennikarka Beate Klarsfeld i z całej siły uderzyła prezydenta w twarz, wykrzykując przy tym „Nazista! Nazista!”

Klarsfeld została skazana na rok więzienia. Kary nie odsiedziała, ocaliło ją przed tym francuskie obywatelstwo. Klarsfeld była Niemką, ale mieszkała od lat we Francji, wyszła za mąż za Francuza, którego ojca zamordowali w Auschwitz Niemcy.

Noblista Heinrich Böll wysłał Beate Klarsfeld w akcie uznania za ten czyn czerwone róże, Marlene Dietrich kartę z podziękowaniami.

Kurt Georg Kiesinger był członkiem NSDAP od 1933 roku. Od 1940 r. pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w 1941 roku został zastępcą szefa Departamentu Radiofonii i Telewizji. Po wojnie w 1945 r. zapisał się do partii CDU. W latach 1958-1966 był prezydentem Badenii-Wirtembergii, kanclerzem federalnym w latach 1966-1969 i przewodniczącym federalnym CDU w latach 1967-1971.

Tak, prawidłowo to Państwo odczytują. Departament Radiofonii i Telewizji w latach 40. to nic innego, jak intratna posadka w dziale propagandy goebbelsowskiej. Były zastępca szefa propagandy zosta-

je trzecim prezydentem w powojennej historii Federalnej Republiki Niemiec. Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Ale obserwując rosnącą znów w siłę partię AfD i jej spotkania w Poczdamie, podczas których omawia się deportację obcokrajowców i nie tylko obcokrajowców do... no właśnie do „nie wiadomo dokąd”, to czy naprawdę trudno? Czy jest coś, co trudno sobie jeszcze dziś wyobrazić?

Zawsze kiedy przejeżdżam koło Hali Kongresowej, dzisiaj noszącej nazwę „Domu Kultur Świata”, myślę o tym policzku. Zapisał się on w powojennej historii Niemiec jako symbol walki pokoleniowej Rewolucji 68 r. Beate Klarsfeld, późniejsza łowczyni nazistów, jak nikt inny zasługuje na osobny felieton. Ale ja go nie napiszę. Powstały o niej niezliczone książki, nagradzane adaptacje filmowe (z Farrah Fawcett w roli głównej), nawet komiksy, ona sama napisała autobiografię. Bez zaangażowania jej i jej męża Klaus Barbie, Kurt Li-schka, szefowie gestapo na terenie Francji i inni zbrodniarze wojenni nigdy nie zostaliby wyśledzeni i osądzeni. Niewątpliwie Beate Klarsfeld i jej mąż to po Szymonie Wiesenthalu najsłynniejsi i najsukeczniejsi tropiciele nazistów.

Frapujące przypadki. Wspomnę jeszcze tylko, że w roku 1980 zawałił się fragment betonowego dachu „ostrygi”, zabijając dziennikarza i raniąc dotkliwie pięć osób. Liczni felietoniści uznali wówczas ten wypadek „za symbol upadku przyjaźni niemiecko-amerykańskiej”, gmach stał opuszczony, zarastał krzewami i powoli popadał w zapomnienie. Odbudowano go po latach, nadając mu nazwę „Dom Kultur Świata”. Byłam tam nie tak dawno podczas rozdawania nagród literackich. Cały czas patrząc w kierunku podium widziałam oczami wyobraźni przepychającą się Beate Klarsfeld i trzymającego się za policzek zastępce szefa goebbelsowskiej propagandy.

A teraz przyznam szczerze z ręką na sercu, wybrałam tę halę przypadkowo, gdybym była akurat w innej części miasta, opisałabym jakiś inny budynek, który powstał po 1945 roku. Czego jak czego, ciekawych budynków wybudowanych po wojnie w Berlinie nie brakuje. I nigdy nie wiem, co jest bardziej frapujące – one same czy historie, które się w nich wydarzyły.

Ciąg dalszy nie nastąpi. Obiecuję w następnych tygodniach dla odmiany felieton o czymś zupełnie innym. Może o jakiejś książce? Może o frapującej nas wszystkich polityce? ●



• „Pejzaż z upadkiem Ikara” przypisywany Pieterowi Brueglowi starszemu FOT. WWW.BRIDGEMANART.COM / DOMENA PUBLICZNA

AGNIESZKA JUCEWICZ: Odpowiedzialność – umiemy jeszcze ją unieść, czy już tylko zrzucamy na innych?

PROF. DARIUSZ DOLIŃSKI: Zacznę od tego, że od dziewięciu lat wraz z profesorem Tomaszem Grzybem prowadzę program badawczy dotyczący posłuszeństwa wobec autorytetu oparty na paradygmacie badań słynnego amerykańskiego psychologa Stanleya Milgrama. W latach 60. XX wieku pokazał on, że w pewnych warunkach da się skłonić człowieka do tego, żeby uderzał innego człowieka prądem elektrycznym.

Przypomnę tylko, jak ten eksperyment przebiegał w wersji klasycznej. Uczestników podzielono na „nauczycieli” i „uczniów”, z tymże „nauczyciele” nie wiedzieli, że „uczniowie” to aktorzy. „Uczniowie” mieli chwilę, żeby nauczyć się kilkudziesięciu par słów – np. „zielony balonik” – a następnie byli podpinani do maszyny rażącej prądem. „Nauczyciele” wraz z osobą prowadzącą eksperyment siadali w pokoju obok przed sterownikiem tej maszyny z trzydziestoma przyciskami. Pierwszy raz prądem o sile 15 woltów, ostatni – 450 wolt. Zadaniem „nauczyciela” było odpytanie „ucznia” z zapamiętanych par słów. Każda pomyłka oznaczała wciśnięcie kolejnego przycisku. „Uczeń” w miarę kolejnych uderzeń prądem stękał, jęczał, krzyczał, zgłaszał problemy z sercem, czasem milknął, jakby stracił przytomność (oczywiście w rzeczywistości żaden prąd przez maszynę nie płynął). Mimo to, znacząca większość uczestników eksperymentu doszła do ostatniego przycisku.

– I Stanley Milgram, tłumacząc to posłuszeństwo, używał właśnie pojęcia odpowiedzialności. Mówił, że tak naprawdę problem polega na tym, że człowiek, który siedzi za generatorem prądu i słyszy polecenie eksperymentatora „wciśnij kolejny przycisk”, „wciśnij kolejny przycisk”, a następnie dochodzi do uderzenia o napięcie 450 woltów, odpowiedzialność za to przypisuje nie sobie, lecz eksperymentatorowi. I rzekomemu

KTOŚ TONIE, A TY STOISZ W TŁUMIE

Z PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM,
PROF. DARIUSZEM DOLIŃSKIM*
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

W dyskusjach o brutalnym gwałcie w centrum Warszawy padły pod adresem przechodniów zarzuty o znieczulicę. Ich autorzy i autorki mają pewność, że zareagowaliby zupełnie inaczej. To złudne

uczniowi, który gdyby lepiej się nauczył, nie musiałby być rażony prądem.

Według Milgrama, człowiek w tym eksperymencie nie znajduje się w stanie działania, a w stanie „pośrednictwa w działaniu”. I to jest główny kłopot.

Czyli „on tylko wykonuje rozkazy”?

– Ale dlaczego je wykonuje? Bo nie czuje się w pełni panem sytuacji.

Popatrzymy na przykład na Borynę z „Chłopów”. Akurat mamy wiosnę. Boryna wychodzi na pole i ma podjąć decyzję – siał już, czy się wstrzymać. To ważne, ponieważ jeśli zasieje ziarno zbyt wcześnie, przymrozek może je wymrozić i plon będzie kiepski. Jeśli za późno, wtedy zboże nie dojrzeje na czas żniw. Boryna w końcu coś postanawia, bierze ziarno, idzie w pole i siew. A następnie w sierpniu zbiera plon, czyli ta sama osoba podejmuje decyzję, wykonuje jakieś działanie i ponosi jego konsekwencje. Można powiedzieć, że jest „panem” tego działania. Natomiast uczestnik eksperymentu Milgrama nie podejmuje decyzji. Wykonuje tylko pewną czynność, a jej konsekwencje ponosi ktoś inny – człowiek za ścianą.

Odpowiadając na pani pytanie można się zastanawiać, czy aby nie żyjemy w świecie, w którym coraz bardziej znajdujemy się w tym stanie „pośrednictwa w działaniu”.

Coraz rzadziej mamy okazję zachować się jak Boryna?

– A coraz częściej jesteśmy w sytuacji, w której ktoś za nas decyduje, my wykonujemy jakąś czynność, a ktoś inny ponosi jej konsekwencje. Albo, podejmujemy decyzję, jeśli na przykład jesteśmy szefami, inni wykonują czynności, a jeszcze inni ponoszą ich konsekwencje. Albo to my ponosimy konsekwencje decyzji i działań innych, na przykład polityków. To wszystko sprzyja braku poczucia odpowiedzialności i za własne życie, i za to, co się dzieje wokół.

Można też spytać, skąd się bierze takie ślepe posłuszeństwo?

– I jakie mogą być jego skutki? Są takie fantastyczne badania Ervina Stauba, które dobrze to pokazują. Staub polecił 11-letnim dziewczynkom, żeby usiadły w jego gabinecie i wykonały jakieś rysunki. W ścianie gabinetu znajdowały się drzwi do sąsiedniego pokoju. Zanim wyszedł i zostawił dziewczynki same mówił im albo, żeby nie wchodziły do pokoju obok, bo tam ktoś pracuje i nie wolno mu przeszkadzać. Albo przeciwnie, że w drugim pokoju są kredki i jeśli jakieś zabraknie, mogą sobie wziąć. Albo też nic nie mówił. Po kilku minutach, gdy dziecko rysowało, w sąsiednim pokoju uruchamiano dźwięk, który sugerował, że ktoś wszedł po drabinie albo po schodach, a potem nagle runął w dół. Potworny jęk i...cisza. Wszystkie dziewczynki, którym powiedziano, że w pokoju obok są kredki, natychmiast podbiegły do drzwi sprawdzić, co się dzieje. Jedna dziewczynka nawet wcześniej specjalnie złamała kredkę, którą rysowała, żeby mieć pretekst do takiej reakcji. Jednak zdecydowana większość dziewczynek z grupy, której powiedziano, że do pokoju obok nie wolno wchodzić, demonstrowała ogromne zdenerwowanie. Wierciły się na krześle, podchodziły do drzwi, przykładały do nich ucho, ale nie zdecydowały się nacisnąć klamki. Co gorsza, również dziewczynki, którym nie nie powiedziano, się tak zachowywały.

To pokazuje do jakiej patologii może prowadzić system wychowania oparty na sztywnych zakazach, nakazach, nie uczeniu tego, że mamy wpływ na nasze wybory i że od naszych zachowań czasami może zależeć czyjeś życie.

Wiadomo, dlaczego w eksperymencie brały udział same dziewczynki?

– Chyba dlatego, że po prostu łatwiej je było do tych badań zaprosić. Nie uważam, żeby ten problem dotyczy wyłącznie dziewczynek. Owszem, badania prowadzone dawniej, kilkadziesiąt lat temu pokazywały, że kobiety są bardziej skłonne do konformizmu od mężczyzn, co na pewno miało związek z wychowywaniem, ale to się zmniejsza z każdą dekadą.

Czy wiadomo coś o dziewczynkach, które mimo iż, powiedziano im, że nie mogą wchodzić do drugiego pokoju, jednak tam poszły?

– Była jedna taka dziewczynka, więc niewiele można na ten temat powiedzieć.

Kiedy po raz pierwszy odtworzyliście badanie Milgrama w polskich warunkach, wyniki były oszałamiające. Z tego, co pamiętam ponad dwie trzecie uczestników doszło do ostatniego przycisku.

– Więcej. To był klasyczny wariant tego badania. Ale od tamtego czasu sprawdzamy różne zmienne. Na przykład, co będzie, jeśli eksperymentatorką będzie kobieta, a nie mężczyzna. Czy to zmniejszy posłuszeństwo osób badanych.

Zmniejszyło?

Okazało się, że to nie ma znaczenia. Co, prawdę mówiąc, nas ucieszyło, bo to paradoksalnie pokazuje rosnącą rolę kobiet.

Był też wariant, w którym płaciliście za udział w badaniu przed, a później – po.

– Była masa tych zmiennych. Zdecydowana większość nie miała wpływu na wyniki. Wyjaśnię tylko, że prowadzimy te eksperymenty w łagodniejszej wersji, która nazywa się „obedience lite”. Psycholog Jerry Berger, patrząc na rozkład wyników Milgrama, stwierdził, że badanie można zakończyć, kiedy uczestnik wcisnie 10. przycisk o mocy 150 V, bo to oznacza, że niemal na pewno będzie wciskał je dalej. Robimy to ze względów etycznych. Nie chcemy narażać badanych na potworny stres związany z wciskaniem przycisków o silniejszej mocy.

Ostatnio znaleźliśmy jednak coś, co zmienia zachowanie badanych.

Co to takiego?

– Człowiek w eksperymencie Milgrama znajduje się w czymś, co się określa w psychologii jako konflikt „unikanie-unikanie”. To są te wszystkie sytuacje, kiedy musimy wybrać tak zwane mniejsze zło. Kiedy wszystkie opcje są beznadziejne.

U Milgrama tą pierwszą złą opcją jest krzywdzenie człowieka siedzącego za ścianą, a tą drugą?

– Zrobienie jakiejś krzywdy, oczywiście nie aż tak dużej, eksperymentatorowi, który jest sympatyczny, zaprosił nas na badanie licząc na zebranie wyników, zapłacił nam za to. Jeśli odmówimy, zepsujemy mu eksperyment i zmarnujemy jego czas. Mamy więc do wyboru: albo skrzywdzić „ucznią”, albo skrzywdzić eksperymentatora.

Układ tego eksperymentu jest taki, że „ucznią”, który siedzi za ścianą nie widać, tylko go słyszać. Natomiast eksperymentator siedzi w tym samym pomieszczeniu, co osoba badana. Zastanowiliśmy się: „a co by było, gdybyśmy zmienili ten układ i posadzili „ucznią”, „nauczyciela” i „eksperymentatora” w trzech różnych pomieszczeniach?”

Tak zrobiliście i co się stało?

– Wtedy właśnie posłuszeństwo osób badanych się zmniejszyło. Bo badany nie widząc eksperymentatora czuł na sobie mniejszą presję. Posłuszeństwo zmniejszyło się też, kiedy posadziliśmy całą trójkę w jednym pomieszczeniu, bo wtedy badany widział człowieka, którego miał uderzać prądem. Ale najbardziej się zmniejszyło, kiedy badany i „uczeń” usiedli w jednym pomieszczeniu, a eksperymentator usiadł za ścianą. Zdecydowanie łatwiej krzywdzi się tego, którego się nie widzi.

„Jeśli dużo jesz, to jesteś obżartuchem, jeśli wszyscy dużo jedzą to znaczy, że jedzenie jest smaczne”

Czy to nie jest też o tym, że różnego rodzaju „mury” zmniejszają naszą empatię?

– Z tą empatią to nie jest taka oczywista sprawa.

W naszym pierwszym eksperymencie z tej serii badaliśmy również empatię uczestników, sądząc, że wysoka empatia, taka mierzona kwestionariuszem, powinna zmniejszać skłonność ludzi do wykonywania poleceń i uderzania drugiego człowieka prądem. Okazało się jednak, że poziom empatii nie odgrywa żadnej roli. Tyle tylko, że po prostu osoby wysoko empatyczne jeszcze silniej przeżywały konflikt „unikanie- unikanie”, bo empatyzowały zarówno z „uczniem”, jak i z „eksperymentatorem”.

I dalej wciskały przyciski?

– Tak. Ale przeprowadziliśmy też inny eksperyment. Na początku „nauczyciel” i rzekomy uczeń dostali do wypełnienia krótki test dotyczący kwestii najbardziej polaryzujących Polaków. Takich, jak na przykład stosunek do prawa aborcyjnego, stosunek do możliwości rozszerzenia prawa do posiadania broni, do miękkich narkotyków, małżeństw jedнопłciowych, osób LGBT. Potem eksperymentator zestawiał odpowiedzi badanego z odpowiedziami rzekomego ucznia, łapał się za głowę i mówił: „Ojej, ale wynik! Jeszcze nigdy nie widziałem takiej zbieżności poglądów!”. Osoba badana była więc teraz przekonana, że ma uderzać prądem człowieka, który jest psychologicznie taki, jak ona. I wie pani, co się stało? Nastąpiło zdecydowane zmniejszenie skłonności do uderzania prądem. Tak mniej więcej z poziomu 80% do niecałych 60%.

Sprawdzaliście co się wydarzy, jeśli te poglądy będą rozbieżne?

Tak. Ale w drugą stronę to nie działało. Chęć do uderzania prądem się wówczas nie zwiększyła. Ale ponieważ w warunkach podstawowych tego badania mamy i tak bardzo wysokie wyniki, bo osiemdziesiąt parę, a czasami 90% osób dochodzi do ostatniego przycisku, trudno je „poprawić”.

To mi przypomina słynny eksperyment brytyjskiego psychologa Marka Levine’a z 2005 roku, który wykazał, że kibice drużyny X są bardziej skłonni pomóc ранней osobie, jeśli ta ma na sobie koszulkę ich drużyny, niż jeśli ma koszulkę drużyny przeciwnej albo neutralną.

– W ogóle myślenie w kategoriach „my” jest czymś niesamowicie ważnym z perspektywy psychologicznej. Zupełnie inaczej zachowujemy się w stosunku do ludzi, wobec których takie pojęcie stosujemy niż do osób, które nie należą do tej grupy. Proszę zresztą zauważyć, jak łatwo to „my” tworzymy. Weźmy sytuację z pociągu. Siedzi pani z obcą osobą w przedziale. Nawet się do siebie nie odzywacie, bo czytacie gazety albo bawicie się smartfonem i nagle ta osoba mówi do pani: „Wychodzę do Warsz. Czy może pani rzucić okiem na moje bagaże?”. Przecież to jest absurdalne. Ale ponieważ dzielcie przedział i już stworzyliście tę grupę „my”, ów człowiek sądzi, że pani go nie okradnie. Złodziej przyjdzie raczej z korytarza. W przedziale jesteśmy „my”, poza nim są już „oni”.

Nasza empatia jest wybiórcza. Dużo pisze o tym amerykański psycholog Paul Bloom.

„Jeśli dużo jesz, to jesteś obżartuchem, jeśli wszyscy dużo jedzą to znaczy, że jedzenie jest smaczne”

– Niektórzy twierdzą wręcz, że kiedy empatyzujemy z kimś, to tak naprawdę sobie chcemy zrobić dobrze. Dlatego, jeśli ten ktoś jest całkowicie różny od nas, nasza motywacja do tego, żeby mu pomóc dramatycznie spada. To jest też kwestia tego, jak myślimy o tej kategorii „my”. I są tacy ludzie i takie programy edukacyjne, które mają na celu poszerzanie tej kategorii. Uczenie ludzi myślenia – „my, ludzie” – a nie na przykład „my, Polacy”, czy „my, chłopaki z jednego podwórka”.

Podobnym programem, tylko nakierowanym na naukę odpowiedzialności, jest „Heroic Imagination Project”, „Projekt bohaterkiej wyobraźni” zainicjowany kilkanaście lat temu przez psychologa Philipa Zimbardo, a realizowany m.in. w USA, na Węgrzech, w Portugalii.

– W Polsce też. W wybranych szkołach na Górnym Śląsku prowadzą go między innymi psychologowie związani z katowickim Uniwersytetem SWPS.

Philip Zimbardo, który przez lata zajmował się badaniem zła w człowieku, w pewnym momencie „przerzucił” się na badanie dobra. I doszedł do wniosku, że właściwie każdy ma w sobie potencjał do heroicznych czynów – od pomocy komuś, kto się topi, do stanięcia w obronie bitego kolegi.

– Albo pomocy ofierze internetowego hejtu. Philip Zimbardo swój program zbudował na kilku modułach. Pierwszy dotyczy umiejętności rozróżniania prawdziwych autorytetów od fałszywych i w ogóle rozumienia, czym jest władza. Bo nie chodzi tu o to, żeby odrzucić wszelkie autorytety, ale o to, żeby mieć świadomość, że władza zmienia

człowieka i że trzeba uważać, kiedy na przykład samemu zaczyna się ją pełnić.

Kolejną kwestią jest szeroko rozumiany konformizm, a więc skłonność człowieka do podporządkowywania się grupie i normom grupowym, co też jest niejednoznaczne, bo nie można negować samego sensu podporządkowywania normom. Chodzi raczej o to, żeby nauczyć się rozróżniać, kiedy jest to właściwie, a kiedy niebezpieczne.

Kolejnym poruszonym tematem jest myślenie stereotypowe, które czy chcemy tego czy nie, towarzyszy nam codziennie. Tu można się dowiedzieć, czym są stereotypy, sprawdzić czy aby nie wpadamy w ich pułapkę, ale też czy nie wpadamy w pułapkę „autostereotypów”, które mogą być bardzo destrukcyjne. Bo na przykład przekonania „nie umiem”, „nie potrafię”, „nie nadaję się”- mogą hamować przed podjęciem działania.

Co jeszcze jest w tym programie?

– Wiedza o tym, co się dzieje z człowiekiem, który jest świadkiem jakiegoś zdarzenia, na przykład widzi tonącego, albo zauważa gwałt. A także nauka o bezrefleksyjności naszego funkcjonowania, o pewnych naszych automatyzmach.

Te wszystkie tematy się przenikają. To nie są jakieś sztywne lekcje, raczej warsztaty, które mają na celu wyposażać adeptów tego programu w wiedzę, która pomoże im reagować w sytuacjach kryzysowych.

Pan wierzy, że każdego da się nauczyć korzystania ze swojego „bohaterskiego” potencjału?

– Jednych nauczyć będzie łatwiej, innych trudniej, natomiast wierzę, że takie podej-

W dyskusjach o brutalnym gwałcie, który miał miejsce parę tygodni temu w centrum Warszawy, bo o tym pan mówi, padły pod adresem przechodniów zarzuty o znieczulicę. Autorzy i autorki tych zarzutów często mają absolutną pewność, że w identycznej sytuacji zareagowałiby zupełnie inaczej. To chyba złudne, prawda?

ście ma głęboki sens. I jeśli chcielibyśmy zapobiec takim przypadkom, z jakim mieliśmy ostatnio do czynienia w Warszawie, to tylko takie programy i tylko zmiana wychowania może tu coś zmienić. Tymczasem, uczniowie poznają wygląd eugleny zielonej, a nie uczą się, jak się zachować w tego typu sytuacjach.

W dyskusjach o brutalnym gwałcie, który miał miejsce parę tygodni temu w centrum Warszawy, bo o tym pan mówi, padły pod adresem przechodniów zarzuty o znieczulicę. Autorzy i autorki tych zarzutów często mają absolutną pewność, że w identycznej sytuacji zareagowałiby zupełnie inaczej. To chyba złudne, prawda?

– Nawet na pewno. Zacznę od tego, że w psychologii istnieje efekt, który koresponduje z naszą potrzebą wysokiej samooceny. Chcemy o sobie myśleć dobrze i chcemy, żeby inni o nas tak myśleli. Ten efekt nazywa się „better than average”, czyli „lepszy od przeciętnego”. Większości ludzi wydaje się, że są lepsi od przeciętnego człowieka. Sądzą na przykład, że są bardziej moralni albo bardziej inteligentni. W przypadku niektórych jest to prawda, ale w przypadku innych prawdą być nie może. Bo jeśli 90% ludzi sądzi, że jest bardziej moralna od przeciętnego człowieka, to z definicji prawie połowa musi się mylić. Gdy spytaliśmy ludzi w naszych badaniach nad posłuszeństwem, jak myślą – jak się zachowa przeciętny Polak i jak oni się zachowają? – też byli przekonani, że sami zakończyliby udział w eksperymencie znacznie szybciej od pozostałych.

Wracając do kwestii znieczulicy. Nie wiem, czy pani wie, ale rozmawiamy na dwa dni przed sześćdziesiątą rocznicą słyn-

nego zabójstwa Kitty Genovese w Nowego Jorku.

Słynnego, bo zapoczątkowało badania nad tak zwaną rozproszoną odpowiedzialnością. Skądinąd wiem, że mit dotyczący okoliczności tego zabójstwa został już obalony.

– Mit tak, ale nie zjawisko.

Zgodnie z tym mitem Kitty, a właściwie Susan Catherine, była mordowana i gwałcona przez prawie godzinę, a sąsiedzi, którzy przyglądali się temu z okien, kompletnie na to nie zareagowali. Otóż, po pierwsze okazało się, że tych świadków nie było 37, jak początkowo podawała prasa, tylko 12. Po drugie, sytuacja była bardzo niejasna. Najpierw jeden z sąsiadów, widząc co się dzieje, wychylił się przez okno i krzyknął, czym spłoszył sprawcę, który wrócił po 10 minutach i kontynuował swoje niecne działania. Inni świadkowie źle zinterpretowali sytuację, myśleli, że to awantura domowa. Ktoś w końcu zadzwonił na policję, która szybko przyjechała, ale było już za późno, więc nie mieliśmy tu do czynienia ze znieczulicą.

Tak czy inaczej, z tego typu sytuacjami spotykamy się bardzo często. Ktoś tonie, tłum ludzi stoi, przygląda się, nikt nie reaguje. Ktoś leży na trawniku, bo dostał ataku serca, ludzie go mijają, nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zadzwonić na pogotowie, więc człowiek umiera.

Psychologowie mówią, że w takich sytuacjach działa mechanizm „rozkładu odpowiedzialności”.

Wydawałoby się, że im więcej osób tym większa szansa na reakcję, bo jest większe prawdopodobieństwo, że znajdzie się ktoś odważny, czy też kompetentny?

– Tymczasem jest odwrotnie, co jest znakomitą ilustracją pewnej prawidłowości, która zakłada, że w wielu sytuacjach nie tyle osobowość człowieka, czyli na przykład odwaga, czy zdolność do narażenia własnego życia, odgrywa rolę, a sama ta sytuacja.

Żeby wyjaśnić, jak dochodzi do takiego rozkładu odpowiedzialności, psychologowie John Darley i Bibb Latané zaproponowali pewien teoretyczny model już wielokrotnie empirycznie zweryfikowany, który pokazuje, że kryzysowa sytuacja jest bardziej złożona, niż się powszechnie sądzi. Bo po pierwsze, jak dzieje się coś złego, ktoś jest mordowany, czy padł na trawniku, świadek zdarzenia musi to zauważyć.

A nie zawsze tak się dzieje.

– Właśnie. Dalej, jeśli ktoś już to zauważy, musi zinterpretować dane zdarzenie jako takie, które wymaga interwencji. A takie sytuacje są często niejednoznaczne. Bo, jeśli ktoś jest na przykład na środku jeziora w pobliżu żaglówki i macha rękoma, to trudno powiedzieć, czy się wygłupia, czy tonie. A jeśli ktoś leży na trawniku, to nie wiemy, czy dostał ataku serca, upił się, czy leży i odpoczywa. Jeśli dojdziemy do wniosku, że sytuacja jednak wymaga interwencji, to kolejnym zjawiskiem, które może jej stanąć na przeszkodzie, jest tak zwany efekt pluralistycznej ignorancji. Otóż, jeśli już wiemy, że coś złego się dzieje, patrzymy na innych wokół nas. Jeśli nie reagują, to nawet jak coś podejrzywamy, możemy uznać, że to przesada i pomyśleć: „gdyby to była naprawdę groźna sytuacja, to ktoś już coś by zrobił.”

Tyle, że inni myślą to samo?

– Dokładnie. Nawiasem mówiąc, to jest sytuacja często występująca w szkole. Nauczyciel pyta: „wszystko jest jasne?”. Uczniowie nie rozumieją, rozglądają się po kolegach i koleżankach, ale że nikt niczego nie sygnalizuje, zakładają, że są jedynymi, którzy nie zrozumieli, więc nie będą się wygłupiać i tego zgłaszać. To jest ten sam mechanizm.

Kolejnym elementem w tym modelu jest przypisanie sobie odpowiedzialności za reakcję. I na tym etapie też łatwo ją z siebie zrzucić.

Na przykład?

Jeśli już mam pewność, że ktoś się topi, mogę dojść do wniosku, że w tłumie ludzi, którzy się temu przyglądają jest ktoś, kto lepiej pływa albo ma doświadczenie w ratowaniu, więc to on powinien pospieszyć z pomocą, nie ja. Następnym krokiem jest wybranie formy interwencji, jeśli się jednak na nią zdecyduje, bo można wskoczyć do wody, a można zadzwonić pod 112. I dopiero na końcu jest ta właściwa reakcja.

Proszę zauważyć, że w tym modelu każdy kolejny etap ma szansę wystąpić pod warunkiem, że wystąpią wszystkie poprzednie. Dlatego ludzie tak rzadko reagują, bo ten proces decyzyjny może trafić po drodze na wiele przeszkód.

A wie pani, kto ma największą szansę zareagować w tłumie?

Kto?

– Na przykład ktoś, kto jest łysy i od tej łysiny odbija się światło słoneczne. Albo ktoś o płomiennie rudych włosach. Albo osoby, które mają na głowie jakąś służbową czapkę, na przykład listonosza. Dlatego, że jak stoimy w tłumie, to patrzymy na siebie nawzajem, zastanawiając się co robić. Człowiek wyróżniający się z tłumu skupia na sobie wzrok innych. I to uczucie, że „ludzie na mnie patrzą” powoduje, że staje się świadomy rozbieżności między tym, jak się zachowuje, a jak powinien się zachować w świetle norm. To uczucie nie jest przyjemne, a najłatwiej sobie z nim poradzić działając w zgodzie z normami, czyli tu – interweniując.

Młodzi ludzie, którzy uprawiają hejt w internecie, nie zdają sobie sprawy z konsekwencji. I że to nie jest abstrakcja. Dopiero jak wydarza się tragedia, przychodzi otrzeźwienie

W październiku 2021 roku w Filadelfii w USA miała miejsce podobna sytuacja do tej w Warszawie. W wagonie, w którym byli ludzie, mężczyzna przez kilkanaście minut gwałcił kobietę. Nikt nie zareagował. Niektórzy psychologowie wypowiadając się na temat tego zdarzenia sugerowali, że doświadczenie pandemii sprawiło, że ludzie zobojętnieli na cudzą krzywdę. Czy taki długotrwały silny stres rzeczywiście może „wyłączyć” w nas reaktywność?

– Na pewno, poczucie zagrożenia „egocentryzuje”. Sprawia, że jesteśmy w większym stopniu skupieni na sobie i na własnym dobrostanie, a mniej wrażliwi na innych. Możemy też być mniej skłonni do działań w przypadku osób, których nie zaliczamy do grupy „my”. Jeśli nie wliczamy do tej grupy na przykład osób o odmiennym kolorze skóry, albo mówiących innym językiem, to przyjdzie im z pomocą może stanowić duże wyzwanie.

Do tego dochodzi jeszcze kwestia kosztów. Psycholożka Jane Piliavin mówi, że zawsze jest jakiś koszt udzielenia pomocy i koszt nie udzielenia pomocy. Jeśli widzimy, że ktoś jest zabijany, czy gwałcony to oczywiście koszt nie udzielenia pomocy jest bardzo duży. To są wyrzuty sumienia. To jest poczucie, że zachowałem się, zachowałam się niewłaściwie. To jest pewien niesmak w stosunku do samego, samej siebie. Ale koszt udzielenia pomocy, takiej bezpośredniej, też może być wysoki. To może być, na przykład, narażenie się na atak nożownika, na pobicie. Dlatego, jak pokazują badania, w takich sytuacjach ludzie chętniej udzielają pomocy pośredniej, czyli na przykład dzwonią na policję. Tylko, że jak wiemy, w Warszawie, nawet takiej reakcji nie było.

A media społecznościowe? Komunikacja zapośredniczona? Możliwość anonimowego zabierania głosu w internecie? Czy to też może mieć wpływ na to, że łatwiej nam zbyć się odpowiedzialności?

– Zdecydowanie w internecie więcej wolno bezkarnie. A przynajmniej tak się wielu ludziom wydaje. To powoduje, że agresja werbalna, na przykład w stosunku do rówieśników, stanowi jeden z najpoważniejszych problemów, z jakimi mierzy się dziś szkoła, czy rodzice. Ilość mobbingu, prześladowania, dręczenia w sieci, jest porażająca. I tu od razu powiem, że niektóre badania pokazują, iż młode kobiety są bardziej skłonne do psychicznego niszczenia koleżanek i kolegów, niż chłopcy, czy młodzi mężczyźni. Oni mają większą skłonność do agresji fizycznej.

Co by pana zdaniem pomogło ukrócić tę bezkarność, choćby w szkole?

– Nagłośnienie sprawy, bo to by zmniejszyło tę anonimowość. Sensowne wydaje mi się poświęcenie lekcji nie tyle na piętnowanie sprawcy, czy sprawczyni przemocy, co na analizę tego typu zachowań w ogóle. Warto by było, na przykład, przedstawić uczniom i uczennicom wyimki takich nienawistnych wypowiedzi z internetu i pokazać im jaki jest związek między nimi, a na przykład samobójstwami. Chodzi o to, żeby młodzi ludzie, którzy uprawiają hejt w stosunku do swoich koleżanek i kolegów, zdali sobie sprawę z konsekwencji swojego działania. I że to nie jest abstrakcja.

Myśli pan, że sobie nie zdają?

– Myślę, że w zdecydowanej większości sobie nie zdają. Dopiero, jak wydarza się tragedia, przychodzi otrzeźwienie.

Unikamy odpowiedzialności między innymi po to, żeby nie doświadczać trudnych, nieprzyjemnych uczuć, jak poczucie winy, czy wstyd. Ale czy takie ciągle zrzucanie z siebie odpowiedzialności nie sprawia przypadkiem, że to właśnie tych emocji doświadczamy najczęściej? Trudno mi sobie wyobrazić człowieka, który ciągle to robi i czuje się z tym dobrze.

– Oczywiście, są skrajne przypadki takie, jak na przykład psychopatia, czy w ogóle tak zwana ciemna triada, a więc również narcyzm i makiawelizm, kiedy to ludzie żyją po prostu jakby w alternatywnej rzeczywistości. Są przeświadczeni, że to inni popełniają błędy, inni są źli, oni sami są doskonali. Towarzyszy temu również przekonanie, że „mi więcej wolno”, a więc nie musimy przestrzegać pewnych norm, które obowiązują innych. Jednak w zdecydowanej większości ludzie przypisują sobie odpowiedzialność, tylko na przykład ją umniejszają. Mówią: „owszem jestem winny, ale nie tylko ja”. Psycholog Melvin Snyder mówi: „jeśli dużo jesz to jesteś obżartuchem, jeśli wszyscy dużo jedzą to znaczy, że jedzenie jest smaczne”. Ucieczka w taką powszechność daje pewną ulgę. Natomiast sytuacja, żeby ktoś ciągle i na każdym kroku zrzucal z siebie odpowiedzialność, wydaje się mało prawdopodobna.

A jakie mogą być korzyści z brania odpowiedzialności?

– One mogą być dwojakie. Po pierwsze, uczymy się, gdzie popełniliśmy błąd.

Analizujemy co sprawiło, że do niego doszło i zastanawiamy się, co zrobić, żeby go nie powtórzyć. Nie przyjmując odpowiedzialności, pozbawiamy się tej możliwości, co powoduje, że w przyszłości możemy się zachować tak samo źle. A po drugie, budujemy w ten sposób swój dobry, społeczny „image”. Bo człowiek, który przyznaje się do błędów, jeśli jednocześnie ma na swoim koncie różne pozytywne działania, zyskuje w oczach innych. A może wypaść nawet lepiej niż ktoś, kto w ogóle błędów nie popełnia. Co, na marginesie, jest niemożliwe.

Przyszedł mi do głowy taki przykład, z polityki. Otóż, główną wpadką amerykańskiej dyplomacji w czasie kryzysu kubańskiego była słynna inwazja w Zatoce Świn, kiedy to prezydent Kennedy, a właściwie jego doradcy, postanowili rozwiązać problem komunizmu na Kubie wysyłając tam ponad tysiąc uzbrojonych ochotników na statkach wycieczkowych, jachtach i kutrach rybackich. To było kompletne fiasko. Nie dość, że nie udało się obalić reżimu Castro, to jeszcze ci ludzie zostali zabici albo uznano ich za zaginionych. Kiedy Kennedy wziął na siebie odpowiedzialność za to co się stało, politolodzy natychmiast zainteresowali się tym, jak bardzo zmniejszy się jego popularność w społeczeństwie amerykańskim. Tymczasem ona się jeszcze zwiększyła.

Dlaczego?

– Bo Kennedy uważany był za człowieka niezwykle inteligentnego, elokwentnego, dowcipnego, przystojnego. Można powiedzieć, że miał same plusy. A to jego przyznanie się do błędu potraktowano jako kolejny plus. Poza tym, wydał się ludziom bardziej autentyczny, bo prawdziwi ludzie popełniają przecież czasem błędy. I przez to był jeszcze bardziej ceniony.

Może więc tego moglibyśmy życzyć naszym politykom? Żeby częściej przyznawali się do błędów?

– Najpierw raczej tego, żeby byli kompetentni, znakomicie zorientowani w materii, którą się zajmują i żeby ich lubiano. A dopiero potem, żeby, jeśli popełnią błąd, nie chowali głowy w piasek. ●



FOT. KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA WYBORCZA.PL

**prof. dr hab.
Dariusz Doliński**

• członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, kierownik Katedry Psychologii Społecznej Uniwersytetu SWPS we Wrocławiu, koordynator ds. rozwoju Uczelni. Zajmuje się empirycznym badaniem technik wpływu społecznego, mechanizmami emocji i motywacji, ludzką bezrefleksyjnością oraz fenomenem posłuszeństwa wobec autorytetu

NAGLE PRZYCHODZĄ MISTRZOWIE NIEPEWNOŚCI

Czy mój katolicyzm doprowadziłby mnie do tego samego gestu, który zrobił Kolbe, z jego chrześcijaństwem narodowym, antysemickim, ludowym, prostym?

Z OJCEM **TOMASZEM DOSTATNIM***
ROZMAWIA **EWA KALETA**

EWA KALETA: Dlaczego pan został księdzem?

O. TOMASZ DOSTATNI: Kiedy byłem w szkole średniej doświadczyłem przejścia. Wkroczenia Pana Boga w moje życie. Nazywam to doświadczeniem przejścia od wiary dziecięcej do wiary osobistej. To był czas choroby nowotworowej mojego ojca, jego umierania. A kontekst – to czas pierwszej Solidarności, Stanu Wojennego. Byłem wtedy w duszpasterstwie szkół średnich ojca Jana Góry, dominikanina, w Poznaniu. Pod koniec szkoły średniej pomyślałem, że chcę wstąpić do dominikanów. Mówilem o tym ojcu, odpowiedział, że będę sandalkowym. Minął rok, dokładnie w dniu matury umiera moja mama. Poszedłem się z nią pożegnać, gdy wychodziłem na egzamin, zobaczyłem, że nie żyje. Sąsiad zawiózł mnie rano do dominikanów, a potem na maturę. Ważne jest dla mnie autobiograficzne opowiadanie o wierze, bo pokazuje Boga, który jest żywy. Od 40 paru lat wiem, że jestem na swoim miejscu. Byłem wczoraj na monodramie poświęconym Korze w Teatrze Polskim. W pewnym momencie Korą śpiewa, że jeśli istnieje Bóg to tylko w człowieku i w przyrodzie. Ja się z tym całkowicie zgadzam.

Ale to Korę doprowadziło do buddyzmu.

– Nie wchodzę w doświadczenie osobiste Kory. W buddyzmie nie ma doświadczenia Boga osobowego, ale jest doświadczenie świata duchowego. Przyjaźniłem się z Małgosią Braunek, jej mężem Andrzejem Krajewskim. Zapraszała mnie na spotkania buddystów w Kazimierzcu, tworzyła ćwiczenia duchowe i pamiętam rozmowy z polskimi buddystami. Ktoś mówił, że przychodzi do kościoła Dominikanów na Służewiu, bo mu się tam dobrze modli. To dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie religii, które nazywam „przenikaniem światów”. To określenie księdza Tomasza Halika, mojego przyjaciela.

Rozumiem.

– Halik stara się opisać podstawowe sprawy w pięciu religiach: rodziny człowieka, rodzinę, małżeństwo, umieranie, posiłek, świątynię, pogrzeb itp. Ludziom z różnych religii często jest bliżej do siebie w doświadczeniu religijnym niż do współwyznawców. Często podkreślam, że mnie niewiele łączy z ojcem Rydzykiem, z politycznym katolicyzmem uprawianym przez ludzi, którzy wykorzystują katolicyzm do swoich celów narodowych, politycznych. To jest koncepcja Romana Dmowskiego, narodowej demokracji.

Kiedy słucha się lewicowych katolików, można odnieść wrażenie że chodzi w zasadzie o to, żeby być dobrym człowiekiem, wszystko się trochę rozmyło, obraz tak się rozjaśnił, że zamienił się w łagodne „wszystko jedno”....

– Pani mówi: „lewicowy katolicyzm”, „prawicowy katolicyzm”. To są sformułowania z kategorii politycznej. Inni mogą takie łatki przypisywać i przypisują je też mnie. Mam przyjaciół wśród osób, którym serce bije po lewej stronie i mam wśród osób o poglądach prawicowych, narodowych. Żyjemy w takim świecie. Dla mnie wiara to jest relacja z żywym Bogiem. I kiedy rozmawiamy o Bogu, to mi jest bliższa kwestia bycia dobrym człowiekiem niż rozmowa o instytucji czyli polityce. Przez lata mieszkalem w Czechosłowacji, w kraju, w którym jest mały procent chrześcijan, ludzi religijnych – chociaż tu się zawaham.

Dlaczego?

– Bo człowiek religijny według filozofii religii to jest taki, który jest otwarty na absolut, na doświadczenie duchowe, na transcendencję. Może ono być wyrażane w jakiejś religii, ale nie musi.

Takim dobrym przykładem był Vaclaw Havel, który nie był człowiekiem religijnym, ale kiedy siedział w więzieniu, napisał fantastyczne listy do Olgi, swojej żony. To są małe traktaty filozoficzne, 12 lub 13 z nich ma charakter metafizyczny. Nie używał słów

„Bóg”, „laska”, mówił o „absolutnym horyzoncie”, o „minimum moralnym dla świata”. Mieszkam w Szczecinie, Szczecin ma 75proc. mieszkańców, którzy nie chodzą do kościoła albo nie utożsamiają się z chrześcijaństwem. Czy oni nie są dobrymi ludźmi, nie mają potrzeb duchowych? Filozofia religii, socjologia religii używa dziś kategorii „nones”, bezreligijni, nie będący ani wierzącymi w klasycznym ujęciu, ani ateistami. Ich liczba jest dziś największa. Ale oni mają swoje potrzeby duchowe.

Czy jeśli ktoś ma potrzebę duchową ułożoną w astrologii, to nadal znajduje się w doświadczeniu duchowym i przenikaniu światów?

– Tak, ja akurat mam niewielkie doświadczenie w spotkaniach z ludźmi, którzy wierzą w astrologię. Ale mam doświadczenia spotkania z ludźmi, którzy nie wierzą, ale poszukają. Czekalaby mnie ciekawa rozmowa, gdybym spotkał człowieka o poglądach astrologicznych, pytałbym jakie ma patrznie na sprawy duchowe, religijne, a nawet bym spytał, jakie ma patrznie na Pana Boga. I tu znowu przytoczę Tomasza Halika, który od lat prowadzi duszpasterstwo dorosłych, gdzie przez trzydzieści lat doprowadził do chrztu ponad 1000 dorosłych osób. Kiedy przychodzi do niego ktoś zbuntowany w stosunku do Pana Boga, mówi: opisz mi tego Boga, w którego nie wierzysz. Słuchał i mówił: w takiego Boga to ja, ksiądz katolicki, też nie wierzę. To oznacza, że nosimy w sobie różne stereotypy, przesady obrazy.

Nie uważam, że Pan Bóg jest zagrożeniem dla człowieka, czy go zniewala. Jeśli ktoś uważa inaczej, zapraszam do rozmowy

To by znaczyło, że wszyscy, którzy myślimy o Bogu, w ogóle nie mylimy się?

– To jest dobre pytanie. Ja mogę odpowiadać jako chrześcijanin, że myśląc o chrześcijańskim doświadczeniu Boga wiem, że się nie mylę.

Dlaczego Pan wytrwał w swoim życiu? W swoim wyborze?

– A dlaczego miałbym nie wytrwać?

Jest Pan taki ciekawy świata, ludzi, doświadczeń, przenikania się.

– Dlaczego miałbym to wszystko porzucić? Jestem spełnionym człowiekiem. Przecież mówiłem, że czuję, że jestem na swoim miejscu.

Tak, przepraszam.

– Przy dzisiejszej galopującej laicyzacji łatwiej trzasnąć drzwiami, niż zadać sobie pytanie: dlaczego tu jestem. Dlaczego zostaję w Kościele.

Domyślam się, że nie jest dziś łatwo być księdzem.

– To nie jest tylko odczucie. Moje teksty i różne wystąpienia nie są przyjmowane w kościele entuzjastycznie, zderzenie następuje. Ale nie jestem dysydem, nie widzę potrzeby zabierania głosu, który byłby destrukcyjny, i na każdy kościelny temat.

Mam dużo perspektyw, z których mogę doświadczać świata, bo rozumiem, że o to mnie pani pyta. To, że nie mam rodziny, że nie prowadzę aktywnego życia seksualnego, to nie znaczy, że niczego nie doświadczam. Rozumiem rodziny, małżonków, ludzi zakochanych, wiem jak silny to jest element w człowieku. Ale są też inne perspektywy. Mam doświadczenie ostatnich trzech lat, kiedy po 20 latach mieszkania w klasztorze w Lublinie, działalności i pracy, nagle zostaje mi to zabrane, bo mój nowy przełożony – kolega, były podwładny – ma inne spojrzenie. I to egzstencjalnie wysadza człowieka w powietrze. To, że nie dostałem zawału jest

związane ze świadomością, że składałem ślubu posłuszeństwa i przełożony ma prawo mnie przenieść. Ma prawo zlikwidować, to co robiłem, jednym ruchem. Ale to doświadczenie też jakoś mnie kształtuje. Nawet gdy wydaje się bezsensowne. Udało mi się wtedy powstrzymać opis tej bezsensowności w mediach. Bo byłoby to jeszcze bardziej destrukcyjne.

Nie chce Pan doprowadzać sytuacji do ściany.

– Tak, nie chcę. Patrząc na historię chrześcijaństwa, znaczący jest moment wierności. Śluby zakonne składałem dobrowolnie, dojrzewałem do nich, jestem w nich obecny, ale to jest moja decyzja. I tej decyzji nie muszę ciągle uzasadniać, mam momenty zakrętów i zastanawiam się, co mi Pan Bóg chce przez to powiedzieć, ale to tylko zakręt. Mam w swoim życiu dramatyczne momenty, umieranie najbliższych, gdy byłem jeszcze bardzo młody.

Zauważyłam, że mało się ksiądz uśmiecha.

– Prowadzimy rozmowę on line. Może gdyby była na żywo, inaczej by to pani odbierała. Tak korzystamy z dobrodziejstwa sztucznej inteligencji. Ale nic nie zastąpi żywego spotkania.

Mówił pan o wierności, jak dobra żona albo mąż.

– To mnie zaciekawiło, może to jest takie odczucie, ale musimy doprecyzować.

– Myślę, że nie. A jeśli chodzi o kategorię wady, czegoś z czym się ze sobą nie uporałem, to takie rzeczy widzę. Jeśli się pojawia grzech, człowiek przeprosza za grzech, doświadcza Bożego miłosierdzia, odpuszczenia. To jest trochę chorobliwe, kiedy człowiek z jakiegoś grzechu spowiada się, doświadcza odpuszczenia, przebaczenia, a jednak ciągle do tego grzechu wraca. Jest to wyraz niedojrzałości duchowej, gdy człowiek rozpamiętuje grzechy. A to trzeba zostawiać, dlatego że chrześcijaństwo jest religią nadziei i odpuszczenia, i w tym ma swoje korzenie.

Pamiętam, jak w serialu „Młody Papież” Jude Law mówi do zakonnic, że jej rozpacz po śmierci kogoś bliskiego jest tak duża, że zdradza jej ateizm.

– To jest wielki problem. Ateizm ma wielką skalę. Pod pojęciem ateizmu jest wiele ludzkich doświadczeń. Można być ateistą rodząc się w rodzinie ateistycznej i z pokolenia na pokolenie to przejąc. Ktoś staje się ateistą, bo doświadczył ogromnego cierpienia, rozpacz, lub je widział. Zło doprowadziło do destrukcji człowieka. Tak, ateizm może mieć charakter rozpacz czy odwrotnie, ateizm może być odpowiedzią na rozpacz.

Ateizm może być powierzchowny, tak jak katolicyzm może taki być.

No tak, nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Doświadczenie II wojny światowej mogło doprowadzić do ateizmu, doświadczenie największego barbarzyństwa, czyli Holocaustu. Wśród Żydów byli ludzie religijni i oni

też tracili wiarę, widać to zło w ludzkiej postaci, w drugim człowieku, to powodowało bunt rozpacz. Ale też pojawiała się pytanie w tradycji żydowskiej, gdzie był Bóg w trakcie Holocaustu?

To nadal bardzo przytomne pytanie. Moim zdaniem ateizm jest w dużej mierze pochodną holocaustu.

– Niektórzy Żydzi mówią, że Bóg był tam, gdzie ratowano drugiego człowieka, tam, gdzie ratowano Żydów, czyli wśród Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Doświadczenie opisane przez Primo Levięgo, przez filozofów czy teologów żydowskich. Proszę zobaczyć też doświadczenie chrześcijańskie. Ja mogę się nie utożsamiać z wieloma poglądami ojca Maksymiliana Kolbe, ale jego gest, żeby oddać życie za drugiego człowieka, jest gestem ludzkim, ale też religijnym. W wydawanym przez niego „Małym Dzienniku” były teksty antysemityczne. Ale jego chrześcijaństwo się dopełniło w komorze gazowej. Nie tylko doświadczenie żydowskie, ale też katolickie. Jest takie opowiadanie Jana Józefa Szczepańskiego, „Przed nieznanym trybunałem”. Wielki polski pisarz zadaje pytanie: czy mój katolicyzm, uformowany tak i tak, doprowadziłby mnie do tego samego gestu, który zrobił Kolbe, z jego chrześcijaństwem narodowym, antysemitycznym, ludowym, prostym?

Rozumiem, że był przyzwoity, więc nie był co do tego przekonany.

– Miał wątpliwości.

Ksiądz mówi o Bogu w kawalkach, jak w przypadku Maksymiliana Kolbe, mamy różne kawalki, niektóre nie najlepsze, ale są te, w których prześwituje Bóg.

– W kawalkach? Nazwałbym to inaczej. Pan Bóg w człowieku jest obecny na różne sposoby. To doświadczenie biblijne, że Bóg przychodzi w delikatnym powiewie, inaczej niż oczekujemy. Jak następuje nawrócenie, powrót człowieka do Boga, to widać, że Pan

Bóg działa bardzo różnie. Dla mnie to było doświadczenie młodego człowieka działającego w duszpasterstwie szkół średnich: umiera mi ojciec, umiera mi – dokładnie po roku – mama, widzę bezsens życia w koło, widzę stan wojenny i Bóg staje mi w tych doświadczeniach na drodze. Po 42 latach opowiadał tę historię jako człowiek szczęśliwy. Ja wtedy miałem takie myślenie, że mama sama zostanie w domu. Ja idę do zakonu. Siostra mieszka bardzo daleko. Co będzie z mamą. I Bóg ją nagle zabiera.

Czy jest mi ksiądz w stanie odpowiedzieć z pełną powagą i odpowiedzialnością, czy Bóg naprawdę istnieje?

– Tak. Jeszcze raz przywołam słowa Kory: jeśli istnieje Bóg, to tylko w człowieku i w przyrodzie. Jeśli spotykam w drugim człowieku dobroć i miłość. Jeśli spotykam harmonię i ład w przyrodzie, to jest to dowód. Czytam swoje życie w taki sposób, że do mnie przez to mówi Pan Bóg. Kiedy spotykam drugiego człowieka, jest to dla mnie dowód na istnienie Pana Boga.

Czy jest ksiądz w stanie odpowiedzieć, po prostu: tak?

– Tak.

To dlaczego ten świat jest taki fatalny, dlatego zło w nas wygrywa?

– To jest prosta odpowiedź. Ona może być nazwana językiem kulturalnym lub lekko ludowym: bośmy go zepsuli, lub bośmy go spieprzyli. To my spowodowaliśmy i powodujemy dziś, że świat może być zły. Skąd się biorą wojny, skąd się bierze zabijanie? To nie jest abstrakcyjna kategoria. To człowiek. I możemy się zastanawiać, dlaczego. Bo porwano piękną Helenę, bo jest żądza pieniądza, bo chcemy zdobywać, bo są nacjonalizmy, bo jest chęć sprawowania władzy nad innymi. To my. Przez lata miałem własny program, „Rozmowy w drodze”. I zaprosiłem do studia Hannę Gronkiewicz-Walt, która była wówczas prezesem NBP. I tak stworzyłem scenografię, że na kamieniu był banknot 100 zł, na którym był podpis HGW. Na każdym banknocie jest zawsze podpis prezesa NBP. I pierwsze pytanie jakie zadałem brzmiało: jak się pani prezes czuje, gdy ten podpis jest na pani banknocie, a ten banknot można wrzucić na tacę, albo zapłacić nim w domu publicznym. I ona mi natychmiast odpowiedziała, bo to mądra kobieta: pieniądz nie ma moralności, pieniądz nie ma etyki. Etyka jest u tego, kto pieniądze wydaje. Proszę spojrzeć na aspekt ekologiczny.

Ani pan, ani ja nie mogliśmy o tym zdecydować bezpośrednio, mam na myśli zanieczyszczenie. To znaczy że inni o tym zdecydowali.

– A ci inni też są ludźmi. Czyli co pozostaje nam? Wśród żydów jest powiedzenie „Tikunn olam”, że trzeba tak żyć, żeby świat pozostawiać choć trochę lepszym. Trzeba świat naprawiać. Ja bym bardzo się cieszył, żeby chrześcijaństwo, katolicy potrafili myśleć w tych kategoriach.

Ja się boję, że wy, księża, przychodzicie nas jedynie pocieszyć.

– A dlaczego pani się boi pocieszenia?

Bo boje się, że stoi za nim marzenie, a nie prawda. W rozpachy chwytamy się was, możemy nie praktykować, nie wierzyć, ale bliskich chowamy na waszych cmentarzach. A wy wtedy chwytacie się nas, myślicie, że Bóg w nas wygrał, przemówił w tym powiewie. A my się boimy. I wy też się boicie, i z tego strachu wzajemnie siebie przekonujemy, że Ktoś tam jest. Ostatecznie nie jest to takie złe, wzrusza. – Dlatego chwyciłem panią za słowo „pocieszenie”. Bo mój zakon powstał z pocieszenia. Św Dominik widział w średniowieczu ludzi, którzy byli przeciwko kościołowi instytucjonalnemu. To byli Katarzy, Albigeni, Waldensi, widzieli bogactwo kościoła i widzieli, że kościół nie realizuje radykalizmu ewangelicznego. Św Dominik wiedział, że ci ludzie błędzą w swoim radykalizmie

i nie będą zbawieni. I chciał ich pocieszyć. Czyli odpowiedzieć na ich dobrą tęsknotę za innym Kościołem. Chciał im pokazać, że można żyć tak jak oni – ja jestem z zakonu żebraczego – czyli można żyć radykalnie ewangelią, i można pokazywać, że tę pociechę daje Bóg dobroci i Bóg miłości.

To jest Bóg chrześcijaństwa. Wiara w Boga nie musi oznaczać, że Bóg jest przeciwko człowiekowi, że ta wiara prowadzi do destrukcji. To jest wirus pewnego typu myślenia oświecenia, a nawet konkretnie Woltera, który mówił, że Bóg jest zagrożeniem dla człowieka. Bóg judeochrześcijański jest inny. Ja tego doświadczałem i o tym mówię. Czy jest to pocieszenie? Nie, ja po prostu mówię o swoim doświadczeniu. Święty Augustyn pomimo napisania wielkich traktatów teologicznych, w wielu kwestiach określający doktrynę katolicką, mówi, że dla niego Bóg-Chrystus jest lekarzem, a wiara jest uzdrowieniem duszy. I w tym sensie jest to pocieszenie. Mówi to on, który miał związek nieformalny, po prostu zakochał się, miał syna z tego związku, i jak się pani domyśla, był to sposób życia niekoniecznie akceptowalny już wtedy. I nagle on to wszystko zostawia, bo Pan Bóg wkroczył w jego życie. I mówi z tęsknotą: za późno ciebie poznałem. Nie uważam, że Pan Bóg jest zagrożeniem dla człowieka, czy go zniewala, jeśli ktoś uważa inaczej, zapraszam do rozmowy.

Ksiądz stworzył ideę niewywrotowego Boga. I pan istnieje i ja istnieje, i ta rozmowa istnieje, dobro i zło też w nas

istnieje, w związku z tym Bóg istnieje.

– Podobą mi się to określenie „niewywrotowy”.

Mam dwa ateistyczne argumenty. Pierwszy to parafraza Żizka, mówił że katolicyzm jest tak naprawdę ateizmem, stworzył sumienie. Bóg uśmierca sam siebie, poprzez zesłanie swojego syna na śmierć. Ale zostawia nam sumienie. Sumienie staje się Bogiem.

– Nic nowego nie wymyślił. Kiedy pojawiło się chrześcijaństwo, w Rzymie, w Grecji chrześcijanie byli traktowani jak ateści, dlatego, że nie wierzą w bogów, w których wierzy Rzym i Grecja. Oni przychodzą z inną koncepcją Boga i z innym Bogiem, judeochrześcijańskim. Bardzo dobrze pani wychwyciła moment niepokoju wokół sumienia. Dlatego, że religia Rzymu, Grecji to była religia oparta o kult związany z wierzeniami, które budowały kulturę antyczną. To nie była wiara w jednego Boga, to był ciekawy politeizm. Kwestia sumienia to fundamentalna rzecz w katolicyzmie. Za dużo słyszę o posłuszeństwie w instytucji kościoła, a mało słyszę o ważności, wolności i autonomii indywidualnego sumienia. Ja akurat jestem dominikaninem, a u dominikanów jest dosyć ważny nurt świętego Tomasza z Akwinu, który wyraźnie pokazywał, że w naturę człowieka jest wpisane sumienie i że sumienie jest najważniejsze. Potem to mocno podkreślał np. błogosławiony kardynał J.H. Newman, w Polsce przypomina to myślenie tomistyczne w codziennym życiu ojciec Ludwik Wiśniewski. Kiedy mówi o tym, że ja mam być wierny swojemu sumieniu, czyli głosowi wewnętrznemu, który w sobie odkrywam. Jako chrześcijanin wiem, że to głos Boga. W Polsce teolodzy będą to powtarzać i będzie to dobrze brzmiało, tylko nie przekłada się to na codzienne nauczanie, że w konflikcie sumienia z kościołem, ja mam być wierny własnemu sumieniu.

Znam ludzi, którzy poszli na szafot, czy zostali spaleni, wierni własnemu sumie-

niu, wielkie postacię kościołów, np Jan Hus, Giordano Bruno i inni..

Muszę Panu zdradzić, że miałam ochotę przylapać pana na ateizmie, na jakiś zastanych, nieruchomych, koturnowych pojęciach. Przepraszam, proszę kontynuować.

– Wie pani, co powiedzieli św Pawłowi? Mały świadectwo w Nowym Testamencie: przyszedł i widzi na areopagu jeden ołtarz poświęcony nieznanemu Bogu. I mówi im o Chryście, który zmartwychwstał. O Bogu, który stał się człowiekiem. A oni mu mówią: posłuchamy cię innym razem, jak Bóg może być człowiekiem, jak Bóg może zmartwychwstać. Ja też wierzę, że Jezus zmartwychwstał i żyje w swoim Kościele, w człowieku.

A Hegłowska przygodność? Rzeczy po prostu przytrafiają się, napadają nas, stwarzamy sens już po fakcie, kiedy jesteśmy wobec nich bezradni.

– Hegel należy do kategorii myślicieli, o których mówiono, że byli mistrzami niepewności, mistrzami podejrzeń. I ta niepewność chyba miała człowieka wprowadzać w lęk, w strach. Ale ja w tym widzę coś bardzo dobrego w historii filozofii. I kiedy rozmawiamy o Panu Bogu i o religii, to konsekwencją tego myślenia jest pojęcie, że wiara w Boga wcale nie jest rzeczą oczywistą. Jesteśmy teraz w Polsce w takim momencie wiary, kiedy to przestało być czymś oczywistym. Jeszcze u moich dziadków, pani pradiadków, wiara w Boga była czymś oczywistym. I na-

mam słabą wiarę. To jest to spojrzenie. Ja się nie boję spotkań z ludźmi o innych poglądach, bo mnie ciekawi, co ich napędza, jaki jest ich sens życia, co nimi kieruje, jaki jest horyzont ich życia.

Można więc powiedzieć, że ateizm jest czymś stopniowalnym?

– Zrobiłem rozmowę z Ryszardem Kapuścińskim o wierze i o niewierze, ukazała się po jego śmierci. Mówił, że nigdy nie spotkał ludzi niewierzących, człowiek który zwie-dził cały świat i opisywał różne kultury. Mówił, że czasem spotykał kogoś, rozmowa się nie kleiła i dopiero, kiedy rozmówcy pytali go o wiarę, a Kapuściński odpowiadał, że jest katolikiem, otwierali się. To byli ludzie z Afryki, Ameryki Łacińskiej, którzy żyli blisko natury.

Pamiętam, kiedy w Taizé przed wieloma laty, w grupie 4-5 osób z różnych stron świata, padło pytanie, jak Bóg jest obecny w ich życiu. Protestant, student z Heidelbergu, powiedział, że dla niego podczas studiowania teologii ważne jest słowo – jak brzmi po angielsku, niemiecku, w kulturze aramejskiej. On przeżywał obecność Boga na poziomie filologicznym, w intelektualnym wysiłku.

A obok niego siedziała młoda hinduska, która opowiadała, że rodzice kupili jej szkła kontaktowe, bardzo drogie. Ona jedną z tych soczewek zgubiła. Zaczęła się modlić o jej znalezienie, gorliwie. I znalazła. I to są dwa różne doświadczenia obecności Boga.

Pan myśli, że ta soczewka się znalazła za sprawą boskiej interwencji?

– Istnieje katolicki kult świętego Antoniego, jako patrona rzeczy zagubionych. Silny jest we Włoszech. Choć nie tylko.

Ale to nie Antoni znajduje te rzeczy zagubione.

Tylko Bóg pozwala mi rozumowo prze-myśleć, gdzie mogłem to zgubić. Mój ojciec, nie był bardzo religijny, mawiał: to co zgubiłeś, jest pewnie tam, gdzie to zostawiłeś. Nie chodzi o to, aby wiarę budować na cudowności wydarzeń, czy znaczeń. Bóg pisze prosto po krzywych liniach naszego życia. Bóg istnieje, ale to my często sprowadzamy go do załatwiania naszych spraw. Robimy z nim interesy. To redukcja Boga do współnika z biznesu. Dla mnie jego obecność to piękna przygoda w życiu. Doświadczam tego stale, prawie każdego dnia. I daje mi to szczęście. Dobra teologia mówi, że Bóg jest totaliter aliter, całkiem inny. I pozwala nam się stale odkrywać na nowo i inaczej. ●

***Tomasz Dostatni**

• jest dominikaninem, znanym publicystą i autorem książek. Od 2020 r. mieszka w Szczecinie.

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wielicki;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-
rowski (szef), Marek Markowski (zastę-
pc), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński,
Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Tomasz
Lebioda, Jakub Piotrowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska
8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl, 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy
jest zabronione.



eprasa.pl e56f0f1a28



Dwudziesty trzeci marca 1998 roku, Los Angeles, Kalifornia. W Shrine Auditorium trwa 70. Ceremonia wręczenia nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej. Czyli Oscarów. Mistrzowsko poprowadził ją Billy Crystal („pokazał formę ostrą jak żyłeta” – komentowało „San Francisco Chronicle”), ale bohater wieczoru był jeden.

I wcale nie był to człowiek, choć tradycyjny zastęp gwiazd uzupełniło kilkadziesiąt kolejnych legend kina, zaproszonych do LA z okazji jubileuszowej, 70. ceremonii, by zrobić „portret rodzinny”.

Największą gwiazdą okazał się pewien sławny transatlantyk, który w 1912 roku, podczas dziewiczego rejsu z Southampton do Nowego Jorku, zatonął po zderzeniu z górą lodową.

Film „Titanic” w reżyserii Jamesa Camerona był nominowany w 14 kategoriach (Kate Winslet i Gloria Stuart były np. pierwszą parą aktorek nominowanych za sportretowanie tej samej postaci w tym samym filmie) – czym wyrównał rekord „Wszystko o Ewie” z 1950 roku. Ten wyczyn powtórzył później jeszcze tylko „La La Land” (2016).

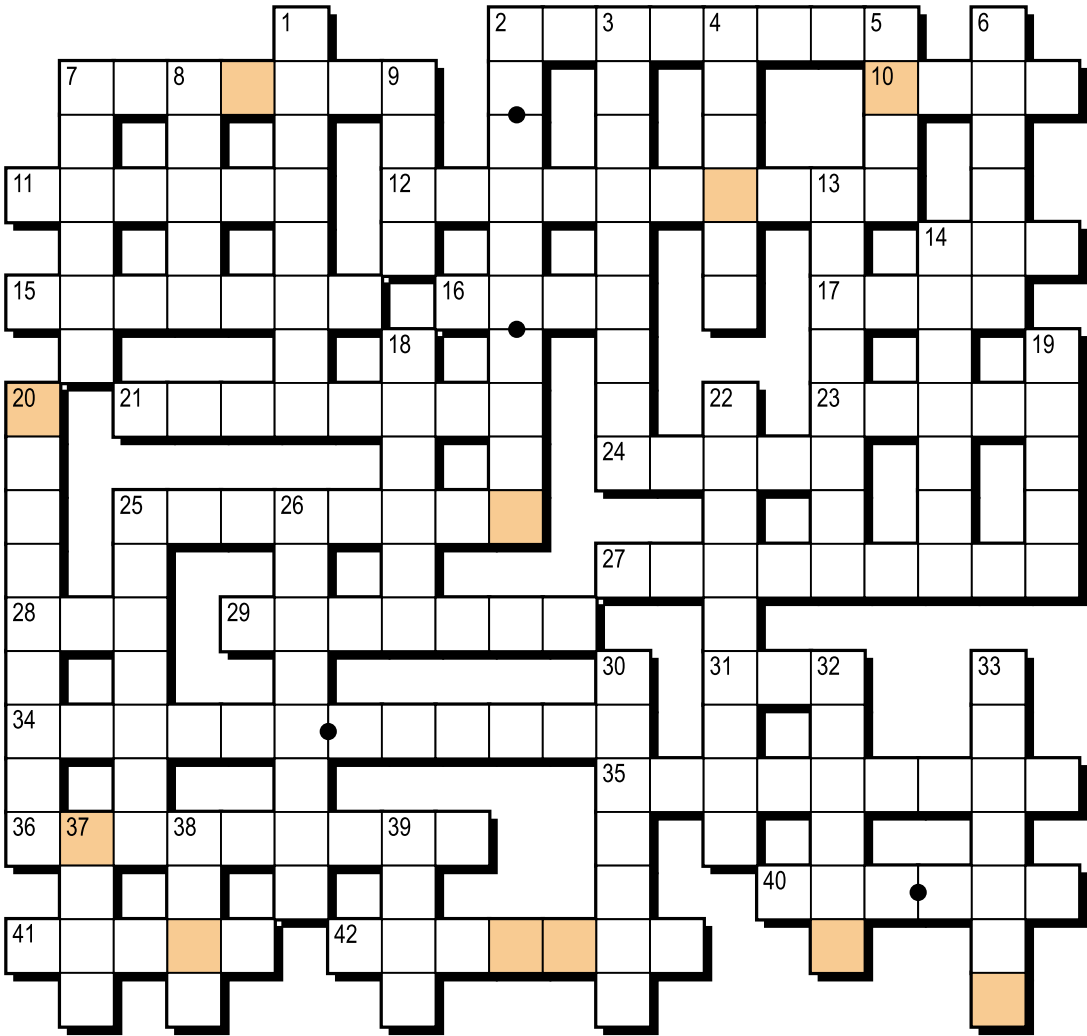
Kiedy Sean Connery ogłaszał, że spośród wielkiej piątki: „Goło i wesoło”, „Buntownik z wyboru”, „Lepiej być nie może”, „Tajemnice Los Angeles” oraz „Titanic” to ten ostatni okazał się najlepszym filmem, stało się jasne, że dzieło Camerona znów wyrównało niebotyczny rekord. Tym razem należący do „Bena-Hura” z 1959 roku - Oscar za najlepszy film był II. statuetką, którą tego wieczoru zdobył „Titanic”.

Dzieło Jamesa Camerona kosztowało ponad 200 mln dol. – ogromne koszty wygenerowała zwłaszcza mierząca 230 metrów replika statku, którą na potrzeby produkcji zatopiono w specjalnie zbudowanym basenie. To więcej, niż kosztowała budowa oryginalnego „Titanica”. Okazało się jednak, że było warto – film nie dość, że dokonał prawdziwego oscarobrania, to zarobił krocie: ponad 2,2 mld dol. Był pierwszym filmem, którego zyski przekroczyły miliard dolarów.

Wyczyn „Bena-Hura” i „Titanica” – 11 Oscarów – powtórzył potem obraz Petera Jacksona „Władca Pierścieni: Powrót Króla” (2003). Co ciekawe film zdobył wówczas Oscara w każdej kategorii, w której był nominowany – to też rekordowe osiągnięcie.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, jak już z pewnością Państwo się domyślili, poświęcamy więc wielkim, oscarowym hitom. Bo naprawdę warto!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 94
z 16.03:

- Poziomo:**
3) Rudolf 8) Mamuśki
11) synek 12) śmiech
13) Kidler 14) I kto tu rządzi
15) Marian 18) fan 19) Karol
20) seriale 21) Zelt
24) ordynator 28) dom
30) komik 33) Kasia
34) koleżanka 35) Marta
36) Agnieszka 39) Kot
40) Piotr 41) Buła i spółka
44) Arnold 45) Stoik
46) Graczyk 47) Dygant

- Pionowo:**
1) Halina 2) Full 4) Danuta
5) lekarze 6) komedia
7) Bohdan 9) Karina
10) renifer 11) sitcomy
16) rzeźnik 17) aktor
20) Sztuka 22) charakter
23) Wrocław 25) Niania
26) Ross 27) Adam Ferency
29) Marek 31) Koziołek
32) Pershing 37) opaty
38) żona 41) blok
42) plan 43) Olga

HASŁO: **LOKATORZY**

OSCAROWY TOP

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2)** filmy takie jak „West Side Story” (10 Oscarów), 2 pionowo i 25 pionowo
7) dla eleganta, na galę oscarową
10) „Najlepsze ... naszego życia” (8 Oscarów)
11) ojczym Jamesa Camerona, reżysera
12) film, który przyciągnął (!) ... statuetek
14) ... Harrison, odtwórca głównej roli męskiej w 2 pionowo
15) Frank w obsadzie filmu „Stąd do wieczności” (8 Oscarów)

- 16)** imię 27 poziomo
17) David, reżyser filmu 37 pionowo
21) na gali oscarowej pełna gwiazd
23) ... Doltittle, rola Audrey Hepburn w filmie 2 pionowo
24) Vivien Leigh – Scarlett, Clark Gable – ?
25) Ben, zagrał główną rolę w filmie „Gandhi” (8 Oscarów)
27) nazwisko reżysera filmu z określenia 15 poziomo
28) ... Fosse, reżyser
29) melodramat z Rose i Jackiem (11 Oscarów)
31) ... Hulce, odtwórca głównej roli w „Amadeuszu” Formana (8 Oscarów)
34) zagrał główną rolę w obrazie „Na nabrzeżach” (8 Oscarów)

- 35)** nazwisko reżysera filmu z określenia 3 pionowo
36) wybitne – w filmach występujących w tej krzyżówce
40) historyczne widowisko z Charltonem Hestonem (11 Oscarów)
41) ... Malik, Hindus z filmu „Slumdog. Milioner z ulicy” (8 Oscarów)
42) pisarz, który byłby dumny z ekranizacji „Powrotu króla” (11 Oscarów)
Pionowo:
1) Leonardo w obsadzie 29 poziomo
2) „Pigmalion” Shawa w wersji filmowej (8 Oscarów)
3) Oskar, bohater filmu nagrodzonego 7 Oscarami

- 4)** „Ostatni ...” Bernarda Bertolucciego (9 Oscarów)
5) imię 19 pionowo
6) imię 35 poziomo
7) nazwisko gwiazdy filmu „Lawrence z Arabii” (7 Oscarów)
8) najśłynniejsza filmowa Scarlett
9) musical Vincente’a Minnellego (9 Oscarów)
13) ... Binoche, zagrała w „Angielskim pacjencie” (9 Oscarów)
14) pojazd kojarzący się z filmem 12 poziomo
18) ojczyma Vivien Leigh, Ralphi Fiennesa, Colina Firtha
19) nazwisko reżysera filmu z określenia 38 poziomo
20) aktorka taka jak Marilyn Monroe
22) Leonard, skomponował muzykę do „West Side Story”

- 25)** z niezapomnianą kreacją Lizy Minnelli (8 Oscarów)
26) Alec, zagrał w 37 pionowo
30) Kevin, jego „Tańczący z Wilkami” nagrodzono 7 Oscarami
32) Karl, zagrał w filmie wojennym „Patton” (7 Oscarów)
33) kolor w tytule filmu Spielberga, który mimo aż 11 nominacji nie otrzymał ani jednego Oscara
37) „Most na rzece ...” (7 Oscarów)
38) imię aktora z określenia 7 pionowo
39) Elijah, Frodo Baggins w ekranizacji „Władcy Pierścieni”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play